

CZARNA SERIA

Malin
Persson Giolito

To tylko dziecko

Malin
Persson Giolito

To tylko dziecko

przełożyła
MAŁGORZATA KŁOS

Wydawnictwo Czarna Owca
WARSZAWA 2014

Dla Elsy, Nory i Béatrice od mamy

Dziękuję, Christophe

Dziękuję, Mari

Urodził się. Uparta położna za pomocą zimnych stalowych kleszczy wyciągnęła go z opornego krocza matki. Trzymała go chłodnymi rękoma za szyję i pomarszczoną pupę, kiedy odcinano mu pępowinę. Skórę miał czerwoną, miejscami sinoniebieską i lepka od mazi płodowej. Oczy – ciemne, do tego mokre, skręcone włosy. Położna posłała mu krótkie spojrzenie, potem podała go matce.

Z TYM DZIECIAKIEM COŚ jest nie tak.

Karin Lindstrand, nauczycielka w szkole podstawowej w Berdze, siedziała właśnie w pokoju nauczycielskim, pochłaniając swój dzisiejszy lunch: tłustą wędzoną makrelę, włókniste awokado i kilka rozmiękłych pomidorów. Wyglądała przez okno i rozmyślała.

Coś tu nie gra.

Kanciaste płatki śniegu wirowały w powietrzu, niepewne, czy opaść na ziemię.

Siedmioletni Alex Andersson kręcił ósemki na asfaltowym dziedzińcu, uginając przy tym swoje źrebiące nogi i wymachując rękami.

Kurtkę miał rozpiętą, jedną nogawkę przemoczoną aż po kolano. Sznurówki ciągnęły mu się po ziemi. Pewnie za godzinę śnieg rozpada się na dobre.

Alex podszedł do boiska do koszykówki. Już jakiś czas temu siatka odpadła od kosza. Kilkoro gimnazjalistów próbowało trafić w środek obręczy. Za każdym razem, gdy piłka uderzała w tablicę, rozlegało się dudnienie. Alex przystanął, zastąpił im drogę, opuścił ramiona i zaczął się kiwać.

Karin zmrużyła oczy. W końcu udało jej się przełknąć ostatni kęs ryby. Nie chodziło o zwykłą dietę, ale o nowy styl życia. Od sześciu dni na śniadanie jadła omlet, na lunch łososia bez dodatków, a wieczorem, oglądając wiadomości, przegryzała niesolone orzeszki. Udało jej się schudnąć dwieście gramów. Mniej więcej, wszystko zależało od tego, czy stojąc na wadze, pochylała się do przodu, czy do tyłu.

Na wzgórzu, pod bukami, kilkoro uczniów starszych klas stało pod parasolem i popalało wspólnie papierosa. Parę dziesięcioletek z gołymi głowami podskakiwało przy ścianie do gry w piłkę. A Alex Andersson stał i patrzył przed siebie. Nie

miał bynajmniej ochoty grać z innymi. Właściwie woźny powinien mieć dyżur w czasie przerwy, ale nigdzie nie było go widać. Może zajął się sortowaniem kluczy, które nosił w pęku.

Karin westchnęła. Czuła, że jej brzuch już nigdy nie będzie tak płaski jak wtedy, gdy miała dwadzieścia lat. No i przerwa dobiegała końca. Udało jej się jednak przysiąść na dziesięć minut, nie było więc tak najgorzej.

Wieczorem spróbuję jeszcze raz zadzwonić do rodziców Alexa, postanowiła. Musimy przedyskutować, co zrobić, jak to zrobić, no i za co.

Mama Alexa była małomówną osobą. Karin wydawało się, że jest nieśmiała. Jego ojciec pojawił się w szkole tylko raz, przed ponad miesiącem. Był chudy, a na karku i na wewnętrznej stronie przedramienia miał niewyraźne, niebieskie tatuaże. Bez słowa wyjaśnienia zabrał Alexa dwadzieścia pięć minut przed końcem zajęć. Karin była tak zdziwiona, że nawet nie poprosiła o wyjaśnienia. Później już go nie widziała. Zawsze był „w delegacji”. Jednak Karin nie wierzyła, że to podróże służbowe i konferencje pod krawatem nie pozwalają mu przychodzić do szkoły.

W budżecie nie było pieniędzy na dzieci takie jak Alex. Ich podstawówka nie zatrudniała pedagoga szkolnego, a to, czego nie dało się zalepić plastrem, nie wchodziło w tak zwany zakres obowiązków pielęgniarki. Mimo wszystko widać było, że Alex potrzebuje pomocy. W poskramianiu humorów i nadążaniu z materiałem przerabianym na zajęciach. Ktoś musi mu wyjaśnić, że może po prostu powiedzieć, czego chce, nie zrywając przy tym mapy świata ze ściany.

Narzuciwszy kurtkę na ramiona, Karin dopiła ostatni łyk wody i pchnęła drzwi. Oby tylko zdążyła na boisko, zanim Alex kogoś uderzy.

Kiedy już była na zewnątrz, zobaczyła, że Manuel też idzie w stronę kosza. Manuel był wuefistą i często spędzał przerwy na dworze, choć nie było takiej potrzeby. Był już prawie na miejscu, kiedy Alex runął na ziemię jak długi. Karin ruszyła biegiem.

– Wystraszyłem go – wyszeptał jeden z uczniów. – Naprawdę

nie chciałem, ale chyba jednak się przestraszył. Ja tak niechęć. Ja... niechęć.

Karin przykucnęła. Alex zwinął się do pozycji embrionalnej, schował głowę w ramionach. Gdy tylko dotknęła jego kurtki, chłopiec eksplodował. Jego ręce i nogi jakby rozerwała detonacja. Kiedy Karin próbowała go złapać, ugryzł ją w dłoń. Wstał, zamachnął się i kopnął ją w udo, potem w ramię. Raz i drugi. I w żebra, w brzuch. Starła się osłonić twarz, ale trafił ją nad ustami.

Wszystko skończyło się równie nagle, jak się zaczęło. Manuel odciągnął Alexa i objął go, unieruchamiając ręce. Jednak jego chudziutkie chłopięce nogi wciąż kręciły kółka w powietrzu.

Karin podparła się i wstała. Językiem przesunęła po wargach. Pozostali uczniowie stali obok z rozdziawionymi ustami. Jeden z nich pokręcił głową.

– Cholerny brudas! – Alex wisiał w objęciach Manuela. Potrząsał głową i krzyczał tak, że aż się zapluł. – Zabiję cię, ty cholerny brudasie!

Manuel kiwał się w takt kolejnych podrygów Alexa, pojękiwał z wysiłku. Mimo to szedł szybko za Karin w stronę szkoły.

Kiedy weszli do gabinetu, Alex przestał wierzgać. Znieruchomiał. Manuel położył go na łóżku pod ścianą i bez słowa wyszedł. Skinął tylko głową, kiedy Karin poprosiła go, by zajrzał do jej klasy.

– Podła dziwka – wysyczał Alex i odwrócił się do ściany. – Odgryzę ci pizdę, jeśli tylko mnie ruszysz, ty wiedźmo.

Zacisnęła pięści, wytarła dłonie o dżinsy. Przysiadła na łóżku, starając się przy tym nie dotykać Alexa, i spuściła ramiona. Chłopiec jeszcze bardziej się skulił.

Nie tylko ja się boję, pomyślała. Nie tylko ja.

Po chwili, która wydawała się wiecznością, położyła mu dłoń na plecach.

– Zostaliśmy sami – zaczęła. Wydawało jej się, że to ważne. – Jesteśmy sami, tylko ty i ja.

Gładziła go po plecach. Delikatnymi, kolistymi ruchami. W tę i z powrotem. Pachy swędziały ją od potu. Zaczęła odliczać w myślach, żeby czas szybciej mijał. W końcu Alex się odwrócił i

położył na plecach. Zamknął oczy, nogi mu drgnęły.

Zatrzepotał rzęsami. Cienkie niebieskie żyły na powiekach pulsowały. Palcem wskazującym przesunęła po jego nosie, najpierw u nasady, potem po grzbiecie. Ostrożnie dotknęła jego jaśniotkich brwi. Przyłożyła mu dłoń do czoła i przesunęła ją bliżej włosów. Potem wyżej, do czubka głowy. Skórę miał nierówną, włosy połyskiwały od potu, z tyłu zwieszały się strąkami. Jej mama też tak robiła, kiedy Karin była mała i nie mogła zasnąć. Kiedyś ona sama też co wieczór siadała na brzegu innego łóżka. Jednak od tamtej pory minęło już pięć lat i jedenaście miesięcy. Teraz nie miała już powodu tego robić, nie miała dla kogo.

Przez pięć minut siedziała nieruchomo i wpatrywała się w leżącego Alexa. Miał otwartą buzię, w kąciку ust zebrała się kropla śliny. Płytki oddech i puls widoczny na szyi. Spod nogawki džinsów wyglądał ciemnoniebieski siniak, a paznokcie były ogryzione niemal do mięsa. Chłopiec śmierdział.

Karin wstała i podeszła do okna.

Dziedziniec był pusty. Zapadał już popołudniowy zmierzch. Nie było wiatru, ale śnieg rozpadał się na dobre. Płatki duże niczym liście jesionu opadały na białą ziemię.

Kaloryfer brzęczał, a suche ciepło zdawało się syczeć.

Karin przyłożyła czoło do chłodnej szyby. Kryształki śniegu topniały na powierzchni, a krople zlewały się ze sobą i parami spływały na parapet. Karin zamknęła oczy.

Coś tu jest nie tak, pomyślała po raz nie wiadomo który.

Coś jest nie tak z Alexem Anderssonem. Dzieci się tak nie zachowują.

2

– MAM DLA CIEBIE nowego klienta.

Adwokat Sophia Weber oderwała wzrok od ekranu komputera i spojrzała na swoją sekretarkę. Nowego klienta? O tej porze?

Położyła rękę na karku i podniosła zapięcie łańcuszka,

przeniosła ciężar z jednego pośladka na drugi i wygięła plecy. Bolało ją biodro. Od kwadrans po szóstej rano siedziała przed komputerem. Nie miała ani jednego spotkania czy choćby telefonu, które mogłyby ją oderwać od opracowywania petycji. Zrobiła sobie trzydziestopięciminutową przerwę na lunch, przejrzała szybko wiadomości w necie. Dzień upłynął spokojnie. Niedługo zbierała się do domu. Peter dzwonił już cztery razy. Za trzecim razem był zły, za ostatnim – tylko zrezygnowany.

Powinnam iść do lekarza, pomyślała Sophia, uciskając kciukiem łądzwie. Coś musi być nie tak, zawsze boli mnie w tym samym miejscu.

– Halo, śpisz czy co? Powiedziałam, że mam nowego klienta.

Anna-Maria Sandström, jedyna sekretarka zatrudniona w kancelarii adwokackiej Gustafsson & Webers, stała w progu, owijając zakręcony pieczolowicie lok wokół równie perfekcyjnie pomalowanego paznokcia z białą obwódką. Żuła coś zawzięcie.

Nie mogła się obejść bez szarej gumy z nikotyną. Bez przerwy obracała w ustach przeżute drażetki. Szczęki miała chyba tak mocne, że mogłyby przegryźć łańcuch. Jeśli z jakiegoś powodu nie żuła gumy, to popalała po kryjomu. Albo też parzyła ziołową herbatkę, mieszała krem do rąk własnej produkcji lub jadła sałatkę z soczewicy na lunch.

– Słyszysz, co mówię?

– Mhm. – Sophia uśmiechnęła się nieznacznie. – Oczywiście, że słyszę, przecież krzyczysz.

– No tak. Wprawdzie nie chodzi o jakiegoś ważnego dyrektora. – Anna-Maria zrobiła minę, jakby to była jej wina. – Choć wydaje mi się, że sprawa ci się spodoba. Naprawdę. – Potrząsnęła plikiem papierów jakby dla zachęty. – Chodzi o małego chłopca. Siedmiolatek. Nazywa się Alex Andersson, pochodzi z Bergi, a jego rodzice to takie typy, z którymi raczej nie chciałabyś spędzić Bożego Narodzenia czy Wielkanocy. Innych świąt zresztą też nie.

– Przejęcie opieki?

– Tak. Natychmiastowe. Już zabrali chłopca.

– Przymusowe?

– Owszem. Nauczycielka zaalarmowała opiekę społeczną kilka dni temu. Od dawna przychodził do szkoły z siniakami na rękach. A kiedy pojawiły się u niego świeże ślady przypalania papierosem, nauczycielka przestała wierzyć, że przewrócił się na WF-ie. Poza tym uważa, że chłopiec jest zamknięty w sobie, małowówny i ma problemy z koncentracją. Znana historia. Zasypia na lekcjach, jeśli akurat nie wda się w bójkę z kimś, kto przypadkiem znalazł się obok. Ostatnio sprawa zrobiła się poważniejsza i nauczycielka postanowiła nie puścić go do domu. Było jasne, że go pobito. Z pielęgniarką namówiły opiekę społeczną, żeby od razu po niego przyjechali. Teraz chłopiec jest w pogotowiu opiekuńczym. Matka chce go odzyskać. Twierdzi, że wyrzuciła z domu ojca albo może wkrótce to zrobi. Stara śpiewka: to wszystko wina ojca, ale teraz ona zajmie się synem. Akurat! Aha, zapomniałam dodać, że policja wszczęła postępowanie wyjaśniające w sprawie znęcania się nad dzieckiem. Będiesz kuratorką w tej sprawie.

Anna-Maria zazwyczaj szczegółowo badała sprawy dotyczące odebrania opieki nad dzieckiem. Kilka razy Sophie próbowała ją pouczyć, wyjaśnić, że czasami lepiej nie wiedzieć za dużo. Wtedy Anna-Maria wbijała wzrok w jakiś odległy punkt i mówiła, że wręcz przeciwnie, liczy się odwaga, chęć poznania, zbliżenia się do swoich uczuć, otwarcia swego wnętrza, uwolnienia się z ucisku. Potem zaś wręczyła Sophii ekologiczną świecę zapachową wyprodukowaną na Gotlandii. Świeca pachniała wodą różaną i cynamonem. Zgodnie z treścią załączonej ulotki воск miał równoważyć negatywne odczucia, uwalniać w ciele materii ułatwiające aktywną medytację, której według Anny-Marii Sophia powinna spróbować. Świeca stała na regale. Opakowanie wciąż było nietknięte.

– Aha, opinię dostaniemy pojutrze.

– Daj mi akta – odparła Sophia. – Przeczytam je w domu, bo już idę. – Nie zajmie mi to więcej niż godzinę, pomyślała. Z reguły lektura akt dotyczących tego konkretnego paragrafu szła szybko. Przejrzę je, kiedy Peter będzie już spał. Nie będzie mógł narzekać, że pracuję w domu.

– Już idziesz? – zaśmiała się Anna-Maria. – I co będziesz

robić tak wcześniej? Przecież jest dopiero wpół do ósmej.

Co będę robić o tej porze? Zajmę się swoim hobby, spędzę czas z moimi bliskimi, będę się rozwijać i żyć jak należy, pomyślała Sophia, wylogowując się z komputera.

– Nic szczególnego – odparła. – Nic szczególnego.

Na dworze było ciemno, latarnie świeciły niewyraźnie, a wiatr pachniał deszczem. Kancelaria adwokacka Gustaffson & Weber znajdowała się na Starym Mieście, wśród kocich łbów, ulicznych grajków i pocztówek po osiem koron za sztukę. Wysoki na cztery metry budynek miał ciasne podwórko z tyłu, wąskie okna wychodzące na uliczkę i wejście dostosowane do osób niepełnosprawnych. Tuż za rogiem mieścił się dom handlowy NK.

Sophia przez chwilę wpatrywała się w rower przypięty do brzozy rosnącej na podwórku. Dostała go od Anny na trzydzieste urodziny. Wówczas był to najnowocześniejszy i najbardziej luksusowy model. Te czasy jednak minęły. Sześć z dwunastu biegów przerzutki nie działało, tylne światło się psuło, a linka lewego ręcznego hamulca zwisała luźno z kierownicy. Sophia postanowiła zostawić rower na podwórku. Cały dzień spędziła w czterech ścianach. Pomyślała więc, że spacer dobrze jej zrobi.

Już przy Teatrze Dramatycznym pożałowała tej decyzji. Była głodna jak wilk. Wiedziała, że w domu czeka na nią jedzenie. Peter wspomniał o tym dwa razy. Może nawet trzy, nie słuchała go dokładnie.

Półbiegiem pokonała Sybillegatan i przeszła przez ulicę. Na wysokości kościoła Hedvig Eleonory wygrzebała z kieszeni telefon i napisała SMS-a do Anny, która akurat była na jakimś spotkaniu w Wiedniu. Zazwyczaj o tej porze przyjaciółka Sophii kryła się w restauracyjnej toalecie i dzwoniła do dzieci. Kiedy jej towarzysze żalili się, że nie dostali jeszcze deseru, Anna z pamięci recytowała bajki, odpytywała z pracy domowej i rozstrzygała spory o to, kto kogo pierwszy ukłuł w brzuch.

Przyjaźń Anny i Sophii nie była już taka jak kiedyś. Teraz życiem Anny rządził ortalion, ochraniacze antypoślizgowe, ocieplane kozaki i reguła „żadnych miseczek z orzeszkami na

wysokości mniejszej niż metr czterdzieści pięć”. Dziesięć lat wcześniej, sześć tygodni przed terminem porodu, Anna zamówiła wózek, kupiła pościel w neutralnym kolorze i zapełniła dziecięcymi artykułami wszystkie szuflady w kuchni, także tę z rachunkami, starymi bateriami i gwarancją tostera, który się spalił. Wciąż dzwoniły do siebie niemal codziennie, ale Anna rzadko wpadała na kolację, nie mogąc dostosować się do chaotycznego życia towarzyskiego Sophii. Przez dziesięć lat urodziła czworo dzieci i dorobiła się własnej firmy zatrudniającej trzydzieści osób.

Na wyświetlaczu Sophia zobaczyła, że matka dzwoniła trzy razy w ciągu ostatniej godziny. Trzy nagrania na pocztę głosową to pewnie też ona. To, że dzwoniła namolnie, nie zapowiadało nic dobrego.

Sophia wysłała wiadomość do Anny i schowała telefon. Znow ruszyła biegiem. Skręcało ją z głodu.

Na schodach pachniało czosnkiem i oliwą. Wieszając kurtkę w przedpokoju, przełknęła ślinę. Peter podszedł do niej od tyłu – poczuła na policzku jego oddech – i wsunął jej do ust kawałek smażonej mozzarelli. Zamknęła oczy, a on objął ją w pasie.

Czy ja cię kocham, zdążyła jeszcze pomyśleć. Chyba tak. Inaczej by cię tu nie było. Później krew zaczęła jej krążyć szybciej; Sophia pozwoliła, by ściągnął z niej koszulę. Zsunęła ramiączka od stanika, który, podczas gdy Peter ją całował, opadł do pasa niczym zepsuty żagiel. Gdyby nie te szerokie męskie dłonie, jej życie byłoby nieporównanie prostsze.

– Jeszcze – wyszeptała, sama nie wiedząc, czy nie ma na myśli sera.

ZJADŁA W ŁÓŻKU. Kiedy już skończyli, pozwoliła Peterowi położyć się z tyłu i gładzić siebie po policzku. Oczy miała szeroko otwarte, żeby nie zasnąć, w myślach zaczęła liczyć. Peter oddychał coraz ciężiej. Kiedy Sophia doszła do

osiemdziesięciu czterech, spał już głęboko. Leżał na wznak, usta miał otwarte, a głowę ułożył tak wysoko na poduszce, że odchyliła się do tyłu. Sophia nigdy nie mogła pojąć, jak można tak szybko zasnąć.

Wstrzymała oddech, zsunęła jego dłoń ze swojego biodra i zapaliła lampkę nocną. W aktach, które dostała od Anny-Marii, było wszystko, czego potrzebowała. Sądząc po objętości, sprawa nie wydawała się zbyt poważna. Zazwyczaj na tym etapie prowadzone przez pomoc społeczną postępowanie wyjaśniające dopiero się rozkręcało.

Wszyscy uważali, że Sophia świetnie się nadaje do takich spraw, chociaż jako jedyna z zatrudnionych w kancelarii nie miała doświadczenia w opiece nad dziećmi. Pewnego lata na obozie jeździeckim musiała zmienić pieluchę czteromiesięcznej córeczce instruktorki – na tym jej praktyka się skończyła. Do dziś pamiętała woń zasikanych pieluch i bobasa. Możliwe jednak, że myliła go z aromatem melasy, którą raz w tygodniu podawali koniom. Jak dotąd była to jedyna pielucha, którą musiała zmienić.

Mimo to uchodziła za ekspertkę w sprawach dotyczących dzieci. I zasługiwała na tę opinię, bo była w tym niezła. Rzecz jasna, nikt nigdy nie kazał jej zmieniać pieluch klientom, choć od niektórych czuć było tak, jakby tego potrzebowali.

Sophia pośliniła palec i zaczęła kartkować decyzję sądu rejonowego oraz kilka dodatkowych dokumentów. Wiedziała, że lektura i zrobienie notatek zajmą jej godzinę. Tyle czasu powinno wystarczyć. Oświadczenie, które wydawała na tym etapie sprawy, rzadko kiedy miało więcej niż kilka zdań. Zrzuciła mniej ciekawe dokumenty na podłogę i zabrała się do przeglądania protokołu władz rejonowych. Przygryzła dolną wargę i przycisnęła dłoń do piersi. W teczce była też opinia lekarza, który zbadał chłopca tuż po tym, jak przejęto nad nim opiekę, oraz służbowa notatka urzędnika zajmującego się sprawą.

Ulicą przejechała karetka; niebieska poświata padła na blade strony akt, a także na ściany i sufit. Po chwili jednak pokój rozjaśniało już tylko białe światło lampki nocnej. Dźwięk syren

cichł w oddali, odbijając się coraz słabszym echem. Sophia podciągnęła się na poduszce i usiadła, by przeczytać resztę dokumentów.

Językiem urzędowym posługiwała się płynnie, zarówno w mowie, jak i w piśmie. Dwa dni wcześniej siedmiolatka zabrano rodzicom. Wkrótce miała się dowiedzieć dlaczego.

*

– Alex, musisz przestać. Mówię poważnie.

Alex miał gorszy dzień. Z drugiej ławki co rusz leciały papierki, gumy do żucia i ołówki. Karin pozwoliła mu usiąść tam, a nie w pierwszym rzędzie jak zwykle. Wydawało jej się, że w ten sposób łatwiej będzie mu się zintegrować z grupą. Że jeśli będzie udawała, że wcale nie trzeba mieć go ciągle na oku, chłopiec zapomni o konieczności zwracania na siebie uwagi. Tak to sobie wykoncypowała: nie z tyłu klasy i nie z przodu, tylko gdzieś w środku, w tłumie jak inni. Taktyka jednak się nie sprawdziła. Teraz było jasne, że wszystko w klasie kręci się wokół Alexa i jego humorów.

Trzydzieści minut przed końcem lekcji nietknięty podręcznik do matematyki Alexa przeleciał przez salę, odbił się od framugi i spadł na rękę niejakiej Elli. Dziewczynka wybuchnęła histerycznym płaczem.

Książka trafiła ją kantem w kciuk. Było widać, że będzie z tego siniak, skóra wokół paznokcia była zadrapana, choć obyło się bez rany. Karin pogłaskała Ellę po policzku, żeby ją uspokoić. Potem podeszła do Alexa i popatrzyła na niego.

– Masz przestać – powtórzyła.

Nie chciała go straszyć, więc zamilkła i kolejny raz zerknęła na zegarek.

Co robić? Do końca zostało dwadzieścia dziewięć minut, a już wyczerpały się jej pomysły. Kątem oka zauważyła, że Alex podnosi rękę. Trzymał w niej zeszyt w twardej oprawie. Ze znużeniem, ale i determinacją Karin chwyciła go za nadgarstek, żeby powstrzymać cios.

W mgnieniu oka zawadiacka mina zniknęła z jego twarzy. Alex opuścił wzrok, źrenice mu się powiększyły. Zrobił się siny.

Kropła potu spłynęła mu po czole i wargach. Coś go zabolalo, i to dotkliwie.

Karin przykucnęła i podwinęła mu rękaw do łokcia. Najwidoczniej sprawiła mu ból, chciała więc wiedzieć jak, bo nie chwyciła go mocno.

Nie musiała długo szukać. Cztery rany ułożone w równy owal. Wściekle różowe i ropiejące. Dwie z nich pękły i były mokre. Przykleiło się do nich kilka włosów. Zobaczyła gęsią skórkę, pewnie marżł. Już po sekundzie wiedziała, co to jest. Aż zakręciło się jej w głowie.

Jakim cudem komuś udało się zranić go tak symetrycznie? Alex musiał siedzieć bez ruchu, pewnie nie drgnął na milimetr. Jak można zmusić dziecko, żeby się nie ruszało, kiedy robi mu się coś takiego?

Opuściła rękaw i wstała. Alex nie musi przecież pokazywać ran kolegom, pomyślała. Podeszła do telefonu i zadzwoniła do pokoju nauczycielskiego. Odebrała anglistka ze starszych klas.

– Wysyłam swoją klasę na boisko. Muszę iść z uczniem do pielęgniarki. Możesz mieć na nich oko do końca zajęć?

Kiedy zamknęły się drzwi za ostatnim uczniem, Karin odwróciła się do Alexa. Nie miała pojęcia, co powiedzieć. Może powinna wrócić do domu po zaczęty już list do pomocy społecznej i skończyć go? Z jakiegoś powodu myśl o napisaniu oficjalnego pisma wydawała się jej kojąca. Wiedziała jednak, że na to jest już za późno. Musi zająć się tym natychmiast. To już nie są żarty.

– Myślę, że musimy iść do pielęgniarki – wydusiła z siebie.

Karin Lindstrand wyciągnęła rękę. Alex ją chwycił.

– Poprosimy, żeby posmarowała ci rany maścią, żeby aż tak nie bolało.

Mia Schlyter, pielęgniarka szkolna, skończyła niedawno sześćdziesiątkę. Była szeroka i statyczna niczym masywne dębowe wrota kościoła. Miała lekki wąsik, a na szyi, na tasie, wisi okulary.

Kiedy znaleźli się w gabinecie, Alex wyrwał się i rzucił w kąt za nadnaturalnych rozmiarów fikus w donicy. Siedział tam z głową schowaną między kolanami i plecami wygiętymi do góry.

Mia była nieporuszona.

– I tak się nie wyrwie. Zamknęłam drzwi. Zostawmy go w spokoju, niech sobie posiedzi.

Otworzyła mikrofalówkę stojącą na wypełnionym po brzegi regale i wstawiła do niej kubek. Po trzydziestu sekundach, które upłynęły w ciszy, wyjęła go i dosypała jakiegoś proszku z torebeczki. Z szuflady biurka wyciągnęła garść słodkich pianek, które dodała do napoju.

– Cała ta obsesja na punkcie cukru, która opanowała wasze pokolenie, to największa głupota. Bo musisz wiedzieć, Karin, że cukier to ważna broń w walce z dziećmi. Uspokaja, łagodzi ból i koi lepiej niż cokolwiek innego. Za moich czasów dodawało się go nawet do pasty do zębów. A nie mam ani jednej dziury. Ja, stara baba, nie mam ani jednej dziury.

Postawiła kubek na podłodze, obok Alexa.

– Posiedź tu sobie przez chwilę. Ja porozmawiam z twoją panią.

Karin patrzyła na Mię szeroko otwartymi oczami. Serce waliło jej dwa razy szybciej niż zwykle.

– I co zrobimy? – Głos jej drżał. Zbierało jej się na płacz. Może i ona powinna poprosić o gorącą czekoladę.

– Spokojnie. Potem go obejrzymy, ja spiszę notkę, a ty będziesz słuchać, co mówię, tak żebym nie przegapiła czegoś ważnego albo nie napisała nieprawdy.

Karin pokiwała głową. Mia odwróciła się w stronę fikusa. Kubek zniknął. Słysząc było brzęk łyżeczki.

– Będę ostrożna, żeby go nie bolało.

Z kąta rozległ się cichy dźwięk. Brzmiało to tak, jakby Alex lizał sobie palce.

– Potem zadzwonimy do pomocy społecznej. Poprosimy o rozmowę z Lisą Zeiger. Kiedyś z nią pracowałam. Jest dobra. Zwłaszcza jeśli trzeba działać natychmiast. Ma już tyle lat, że nie będzie się bała podjąć niezbędnych kroków. Przyjedzie tu i go zabierze.

– Zabierze? – Karin słyszała, że głos się jej łamie. – Jak to zabierze?

– Zobaczymy, jak to wszystko wygląda, ale przecież nie

możemy odesłać go do domu, gdzie traktują go jak popielniczkę. – Mia się obróciła. – Posłuchaj, mały. Wyjdź no z kąta i weź sobie jeszcze trochę pianek. Zabierz ze sobą kubek, a ja tymczasem obejrzę twoje ręce.

On za nic nie wyjdzie z własnej woli, zdążyła pomyśleć Karin, ale wtedy Alex wyczołgał się z kąta i wstał.

– Wskakuj tutaj. – Mia wskazała na leżankę przykrytą papierowym ręcznikiem. – Kubek możesz postawić obok. – Alex posłuchał. – Wyciągnij ramiona w górę.

Powinna być poskramiaczką lwów w cyrku, pomyślała Karin, albo wysłanniczką pokojową na Bliskim Wschodzie.

Potem Karin zobaczyła plecy i ramiona Alexa. Na sekundę mocno zacisnęła powieki, po czym znów je otworzyła, opuściła i podniosła wzrok.

Jak mogłam coś takiego przegapić? I to we własnej klasie.

Mia wzięła chłopca za ręce, obejrzała je z jednej i drugiej strony, po czym delikatnie pogładziła go po plecach.

– Lepiej, żebyś ty notowała – powiedziała. Jej głos stracił nieco na sile. – Kartka i długopis są na biurku. Jesteś gotowa?

Mia wyglądała, jakby szykowała się do skoku. Karin przelknęła ślinę. W ustach czuła kwaśny posmak. Chwyciła długopis tak mocno, aż zbiałały jej knykcie.

– Ślady oparzeń na rękach i plecach. Okrągłe, około centymetra średnicy. Wyglądają na świeże. Niektóre z nich mają identyczny kształt i wielkość. – Mia patrzyła Alexowi w oczy. – Powinieneś powiedzieć tacie, że palenie jest niezdrowe.

Alex sięgnął po kubek i zaczął pić czekoladę. Mia odwróciła się do Karin, która pisała tak szybko, jak umiała.

– Nadążasz? Naliczyłam co najmniej siedem. Do tego cztery, nie, sześć blizn tego samego rodzaju. Wszystkie powyżej pasa. Kilka siniaków na ramionach. Jeden większy siniak w dolnej części tułowia. Z lewej strony... Siedź spokojnie, mały, prawie skończyłam... boli przy dotknięciu. – Mia odchrząknęła. – Trudno mi ocenić, kiedy doszło do tych obrażeń, wiem tylko, że te cztery oparzenia są świeże. Resztę będą musieli zbadać w szpitalu.

Alex wyprostował się i podniósł głowę. Spał się. Jedną rękę

miał wygiętą na zewnątrz, w drugiej ścisnął kubek. Po szyi ciekły mu łzy, ale nawet nie pisnął.

– Zaraz kończymy, obiecuję – ciągnęła Mia, chuchając mu na plecy. Jego ostro zarysowane łopatki wystawały niczym cieniutkie skrzydła.

– Trzeba mu zrobić rentgen, trzecie żebro chyba jest pęknięte, możliwe, że czwarte też. Zainfekowany strup na szyi, u nasady włosów. – Zręcznym ruchem Mia obejrzała też uszy z tyłu. – Dzięki – wyszeptała. – Żadnych siniaków za uszami.

– Tak mam napisać, żadnych siniaków za uszami?

Skinęła głową.

– Czy wy się już niczego nie uczycie na tych studiach? To właśnie za uszy łapią. – Mia znów pochyliła się nad Alexem. – Dostaniesz ode mnie lekarstwo, żeby cię nie bolało. I pojedziemy do szpitala, ty i ja. Spodnie też zdejmiesz?

Ani Mia, ani Karin nie zdążyły zareagować. Alex zsunął się z leżanki i w tej samej sekundzie cisnął kubkiem prosto w Mię. Naczynie trafiło ją w szczękę, a resztkę gorącej czekolady zaczęła spływać po szyi. Alex przekręcił klucz, otworzył drzwi i wybiegł na korytarz na wpół rozebrany, z bluzą w rękę.

Mia ręką wytarła brodę.

– Musimy ich poprosić, żeby go zabrali. – Oblizła dolną wargę. – Krwawię – wymamrotała. – Cholera, Karin, to jedna z najgorszych rzeczy, jakie widziałam. – Pokręciła głową. Policzki nieco jej pobladły. – Biedne dziecko. – Pochyliła się nad leżanką, żeby zdjąć papierowy ręcznik.

– Co u licha... – zaczęła węszyć. Wciąż trzymając papier w rękę, odwróciła się do Karin. – Zauważyłaś, że aż tak się bał?

– Co masz na myśli?

– Zsikał się. Siedział spokojnie, kiedy go badałam, i nawet nie pisnął. I się zsikał. – Mia podeszła do telefonu. Ze złości pociemniały jej oczy. Usta zrobiły się wąskie jak kreska. Jedną rękę zacisnęła na ręczniku. – Masz samochód?

Karin przytaknęła.

– Jedź za nim i przywieź go tutaj, jeśli dasz radę. Ja zadzwonię do pomocy społecznej. Ten dzieciak nie może przebywać z ojcem ani sekundy dłużej. Ani sekundy.

Litery zdawały się grać w berka na kartce. Sophia zebrała notatki, protokoły i raporty, które zsunęły się na plecy Petera. Wetknęła je do teczki i zamknęła ją na gumkę.

Leżący obok Peter mlasnął, ale się nie obudził. Sophia przetarła oczy. Była bez makijażu. Nie żeby to miało jakieś znaczenie, i tak nie zamierzała umyć się tym specjalnym mydłem w płynie, którego nigdy nie używała. Mimo wszystko przyjemnie było porządnie potrzeć oczy.

Jutro zadzwoni do opieki społecznej i zapyta, kiedy może odwiedzić Alexa w pogotowiu opiekuńczym.

Chłopiec na pewno tęskni za domem, pomyślała. Dzieci w jego wieku i sytuacji często tak mają. Bez względu na to, czy „dom” jest narkomańską meliną bez prądu i odrobiny ciepła, bez względu na to, jak często rodzice biją.

Sophia stłumiła ziewnięcie i odłożyła akta na podłogę. Upewniła się, że budzik jest nastawiony na szóstą, i zgasiła lampę.

Wyrok sądu rejonowego miał zapaść już w piątek. Jeśli ośrodek pomocy społecznej też podejmie decyzję, ich przedstawiciele będą mieli sześć tygodni na przeprowadzenie dokładniejszego dochodzenia i opracowanie bardziej szczegółowego planu opieki nad dzieckiem. Sophia zostanie dopuszczona do wyników postępowania kilka tygodni przed procesem. Zazwyczaj dopiero wtedy można po raz pierwszy zaznajomić się dokładniej ze sprawą. Do tego czasu będzie się musiała zadowolić tym, co ma.

Ciekawe, czy dla Alexa Anderssona to pierwsza noc spędzona poza domem, pomyślała. Mnie, dopiero kiedy skończyłam dziewięć lat, udało się namówić rodziców, żebym mogła spać u Anny. A i tak po pierwszej w nocy dziadek musiał po mnie przyjść, bo uznałam, że jej prześcieradło dziwnie pachnie.

Nazajutrz Sophia zamierzała zadzwonić do pomocy społecznej i zadać kilka pytań dotyczących akt, które właśnie przeczytała. Sen nadchodził, zaczynał ją wciągać, rozmywał granice myśli. Gdy zasypiała, Peter się obrócił i przytulił ją do siebie.

Sophia Weber wiedziała, że zrobi wszystko, co w jej mocy, by

ratować Alexa Anderssona. Wysłucha go, porozmawia z nim, spróbuje zrozumieć, czego chce. Był jej klientem, a ona dla klientów robiła wszystko. Oczywiście z wyjątkiem zmieniania im pieluch. Tym się nie zajmowała.

Przyszli do nas do domu ot tak. Zadzwonili do drzwi i powiedzieli, że Alex nie wróci, bo gdzieś go zabrali. Decyzja już zapadła, pokazali ją na papierze. Jakimś formularzu z małymi kwadratowymi polami. W jednym z nich napisany był adres. Tam miał mieszkać. Powiedzieli, że będę mogła go odwiedzać, ale nie teraz i nie bez ich zgody i nadzoru.

O wszystkim zdecydował ktoś, kto nawet nigdy w życiu nie widział Alexa. Nazwisko osoby odpowiedzialnej za tę decyzję też było wypisane na arkuszu. Jestem matką, ale nie mogłam zrobić nic więcej jak tylko gapić się na nich jak ciele. Przeczytałam dokument. Potem musiałam się podpisać w odpowiednim polu.

Czy to nie chore?

Nauczycielka Alexa nosi maluchne sweterki, ma skudłone włosy i bardzo współczuje Alexowi. Tak bardzo, że aż łzy stają jej w oczach, kiedy o nim mówi. Jakby naprawdę się przejmowała, jakby rozumiała. Ale wcale tak nie jest. Ona nie ma pojęcia.

Zafajdana baba z pomocy społecznej, całkiem pozbawiona wcięcia w kostce, ciągle ze mną gada. Wygląda, jakby mnie słuchała. Mogę jej powiedzieć cokolwiek, a ona bez przerwy kiwa głową. Mówi, że rozumie. A i tak zabrała Alexa.

Mnie przewieźli do domu pomocy dla kobiet. Pomoc społeczna uznała, że tak będzie lepiej. Wszyscy tam uwielbiają pomagać innym. Pracownicy ubrane w workowate dzinsy z supermarketu przesiadują nad kawą w pokojkach z marszczonymi firankami, zajadają się ciasteczkami domowego wypieku i mają poczucie, że są ważne dla świata. Jakby miały swój własny wkład w jego losy. Gadają o ucisku i tym, że nienawidzą mężczyzn, podpisują listy i palą znicze na demonstracjach.

W domu dla kobiet chcą się przytulać. Wszyscy opowiadają mi, jak się czuję.

Ci z pomocy społecznej zawsze traktują mnie jak idiotkę. Widać po nich, co myślą. Biedaczka, myślą. Ale mają to gdzieś.

A ja nie jestem idiotką. Jestem jego matką. Chyba powinni zrozumieć, że to coś znaczy. Ja, tylko ja. Alex jest mój. Nie ich, nikogo innego. Nie mają prawa mi go odbierać.

A jednak odebrali.

O tak. Biedny mały, myślą pewnie. I biedna Linda. A potem go zabrali. Nie pytając mnie o zdanie. Musiałam podpisać papiery.

4

BYŁO JESZCZE CIEMNO, ale w centrum Sztokholmu zaczął się poranny ruch. Korki ciągnęły się na wszystkich wjazdach i zjazdach estakady Slussen. Ciemny asfalt połyskiwał od deszczu, na zamkowym wzgórzu stało kilka taksówek. Kierowcy pochylali się nad grafikami jazdy, gazetami lub krzyżówkami. Silniki i ogrzewanie mieli włączone. Jeden z nich przysnął z otwartymi ustami na siedzeniu, oparty o matę z drewnianych kulek. Nikt nie stał na zewnątrz i nie rozmawiał o pogodzie.

Jakaś kobieta pchała wózek dla bliźniąt po podjeździe przy staromiejskiej stacji metra. Tłoczyli się tam ludzie, szli przygarbieni, a w rękach trzymali komórki, parasole i różne torby. Przy schodach ruchomych, na rozłożonej gazecie przysiadł zasmarkany bezdomny. Głowę owinął sobie zrobionym na drutach szalem w czterech kolorach.

Sophia siedziała w biurze przed komputerem. Zdjęła buty. Przetarła dłonią ekran i sięgnęła po telefon. Numer знаła na pamięć, dzwoniła tam nie po raz pierwszy. Już tego ranka próbowała sześć razy. Nikt nie odpowiadał. Nawet recepcja była wciąż zamknięta.

Trzeba się było zatrudnić w pomocy społecznej, pomyślała Sophia. Włączyła głośnik i rozparła się w krzesło. Najwidoczniej Lisa mogła się wysypiać do późna.

Słuchając kolejnych sygnałów, zapatrzyła się w swój pełny do

połowy kubek.

– Lisa Zeiger.

– Oho! – Sophia rzuciła się do słuchawki. – Tu Sophia Weber. Jak się masz? Wszystko w porządku? Mam reprezentować niejakiego Alexandra Anderssona na rozprawie o przejęcie opieki. Sprawa trafiła do nas wczoraj. Poczekaj proszę. Zaraz podam ci numer, gdzieś go tu mam.

– Wiem, o której sprawie mówisz. Właśnie nad nią siedzę. Czekam do dziewiątej, wtedy będę mogła zadzwonić do pogotowia opiekuńczego, w którym jest chłopiec. Dowiem się, jak się miewa.

– Rozumiem. – Zaskoczona Sophia zerknęła w prawy róg ekranu. Dopiero ósma? – Przepraszam. W takim razie zadzwonię później.

– Ależ nie to miałam na myśli. Nic się nie stało. Chciałaś zapytać o coś konkretnego?

– Tak, właściwie tak. – Sophia zaczęła wertować akta. Próbowwała znaleźć kartkę, na której spisała pytania. – Przepraszam... może najpierw powiesz mi coś o jego stanie. Mam go reprezentować w postępowaniu wyjaśniającym. Kiedy będą go przesłuchiwać?

– Prosiłam, żeby wyznaczili termin najpóźniej w przyszłym tygodniu. Czwartek lub piątek, pasuje?

– Musi. Omówiliście już jego przypadek?

– Wczoraj.

– Okej. Jeśli wyznaczycie kolejne spotkanie w tej sprawie, chętnie wezmę udział.

– Ach tak... – W głosie Lisy dało się wyczuć wahanie. – Zazwyczaj nie zapraszamy osób reprezentujących dzieci.

– O ile wiem, nie można tu mówić o żadnym „zazwyczaj” – zripostowała Sophia. – Przecież dopiero zaczęliście pracować według tej procedury, czyż nie? A dla mnie to dobra okazja, żeby być na bieżąco. To chyba nie problem? Jeśli ktoś będzie chciał powiedzieć coś, czego nie powinnam słyszeć, obiecuję, że wyjdę.

– Zobaczę, co da się zrobić.

– Dziękuję, to naprawdę miło z twojej strony. W takim razie

liczę na spotkanie. Gdzie umieściliście chłopca? Chcę go odwiedzić.

– W Mariefred.

Sophia westchnęła.

– Lisa. – Próbowала przybrać żartobliwy ton. – Czy możesz mi wytłumaczyć, dlaczego zawsze umieszczacie dzieciaki tak daleko od Sztokholmu?

Nie mogła pohamować irytacji. Wynajęcie samochodu kosztowało, ale nie miała wyjścia. W przeciwnym razie by nie zdążyła.

– Byłoby miło, gdybym kiedyś mogła odwiedzić któregoś z moich klientów bez potrzeby wyjazdu na wieś. Dwie godziny jazdy, myślisz, że będę mogła to sobie odliczyć z kieszonkowego chłopca?

– Sophia. – Lisa zaśmiała się mimowolnie. – Daj spokój. Robimy, co możemy. Jeśli w mieście nie ma wolnych miejsc, umieszczamy dzieci, gdzie się da. Przecież wiesz. Staramy się z całych sił, żeby jakoś to wszystko funkcjonowało. O tym też wiesz.

Sophia znów włączyła głośnik i szybko napisała maila do Anny-Marii, prosząc ją o wynajęcie auta. Najtańszego modelu. Wiedziała, że rozmowa jeszcze trochę potrwa. Lisa Zeiger mogła mówić godzinami.

– Cóż, co mogę ci powiedzieć? Wiem niewiele więcej niż ty. My prowadzimy swoje postępowanie, a policja swoje. Przynajmniej teraz oni przesłuchają go pierwsi. Nikt nam nie powie, że przez nas zeznania chłopca są mniej wiarygodne, bo mały musiał wcześniej rozmawiać z wieloma dorosłymi.

– Znaleźli już ojca?

– Nie, ale nie sądzę, żeby to był dla nich priorytet. Wiadomo, że przeciążona policja używa psów gończych tylko w razie konieczności. Ale rozmawiałam z nimi, poprosili matkę chłopca, żeby zadzwoniła, jeśli ojciec się pojawi. Kobieta chyba rozumie, że to w jej interesie. Kto wie? Może faktycznie zdaje sobie z tego sprawę. Ja też muszę jechać do pogotowia opiekuńczego. Masz coś przeciwko temu, żebyśmy zabrała się z tobą?

– Skądże. Czy powinnam jeszcze o czymś wiedzieć, zanim napiszę swoje oświadczenie? Coś, co nie wynika bezpośrednio z akt?

– Nie, nic szczególnego nie przychodzi mi do głowy. Niestety ten przypadek nie różni się bardzo od innych. – Lisa zamilkła na chwilę. – Zdziwiło mnie tylko, że wcześniej nie dotarły do nas żadne sygnały. Owszem, przed dwoma miesiącami ktoś z pomocy społecznej rozmawiał z nauczycielką, spisano wtedy notatkę. Jednak nauczycielka nie podała żadnych konkretów, pytała tylko ogólnie, co należy zrobić. Nigdy nie zrozumieję, jak to jest. Dostajemy takie nagłe zgłoszenia i kiedy zaczynamy rozmawiać z ludźmi, okazuje się, że od samego początku coś podejrzewali, ale nie chcieli się do nas wcześniej zgłosić. Wydaje im się, że muszą mieć dowody. Do głowy im nie przyjdzie, że kiedy pojawiają się dowody, to jest już... cóż, wtedy jest już za późno. Zresztą co można uznać za dowód? Dla wszystkich to chyba jasne, dla mnie nie. Że też nikt nie zareagował w przedszkolu czy w przychodni. Przez życie tego dziecka przewijały się kolejne osoby i zapewne każda myślała, że coś jej się przywidziało, że coś sobie uroiła. Jednak w zeszły czwartek, cóż, wtedy już nie dało się... wtedy było już za późno.

Sophia nastawiła maksymalną głośność. Po drugiej stronie słyszała szmery. Lisa chyba czekała na jej reakcję.

– Hm. – Sophia nie wiedziała, co powiedzieć. – Czy poza przesłuchaniem Alexa w przyszłym tygodniu powinnam sobie zarezerwować jeszcze jakieś terminy?

– Wczoraj dzwoniли do mnie z sądu rejonowego. Decyzję podejmą w piątek przed południem. Chcieliby jednak jak najszybciej wyznaczyć termin rozprawy. Pewnie za mniej więcej tydzień dostaniemy wezwanie. Jeśli pojawią się jakieś okoliczności, przez które trzeba będzie to odłożyć, trudno. Daj znać, jeśli nie dostaniesz żadnej wiadomości w ciągu dwóch tygodni.

Rozległ się sygnał maila Sophii. To Anna-Maria załatwiła samochód.

– Mogę cię zgarnąć za godzinę sprzed World Trade Center przy Klarabergsviadukten? Potem powinnam szybko wracać. –

Lisa Zeiger nie musi wiedzieć, że spotykam się z dziadkiem, pomyślała. – O trzeciej w sądzie okręgowym mam rozmowę w innej sprawie.

Kiedy już się rozłączyły, Sophia znów rozparła się na krześle i zamknęła oczy.

Nie było jeszcze dziewiątej. Słońce odbijało się w nierównej powierzchni szyb. Za niecałą godzinę schowa się za dachami sąsiednich budynków, pogrążając jej pokój w półcieniu.

Sięgnęła po torebkę i wyciągnęła z niej puste opakowanie po lekach przeciwbólowych. Wyrzuciła je do kosza. W szufladzie znalazła dwie białe płaskie tabletki wyglądające na apap. Były nieco zakurzone, więc podmuchała, żeby je oczyścić. Zażyła obie bez wody. Jedną ręką zatkała nos, otworzyła szeroko usta i przelknęła. Aż strzyknęło jej w uszach, poczuła też pulsowanie w skroniach. Poruszyła ramionami i spróbowała złapać oddech.

Dlaczego tak trudno mi zrobić głęboki wdech? – pomyślała, ziewając. Na pewno coś jest nie tak, skoro nawet nie mogę normalnie oddychać.

5

POGOTOWIE OPIEKUŃCZE, w którym przebywał Alex Andersson, mieściło się w czerwonym drewnianym domku z białymi narożnikami oddalonym o kilka metrów od wiejskiej drogi, niegdyś zapewne prowadzącej gdzieś dalej. Nieruchomość zakupiono w całości. Domek kształtem przypominający karton od butów otaczały niedawno zasadzone, ale szybko rozrastające się drzewa iglaste. Do furtki podbiegł terier. Szczekał, ocierał się o ogrodzenie, popiskiwał i uginał łapy z zadowolenia. Był bardziej rozanielony niż prezenter prowadzący piątkowy program rozrywkowy. Sophia z Lisą Zeiger czekały przy płocie. Jakaś ubrana w dres i trepy kobieta wyszła z domku i ruszyła w stronę zamkniętej furtki, żeby je wpuścić. Jej rezygnacja była równie widoczna jak podniecenie psa. Na rękach trzymała trzyletnie dziecko. Obok żwirowej ścieżki terier zaznaczył teren, zostawiając małą żółtą

plamę w resztkę śniegu zbitego w grudki. Kiedy już skończył, stanął na tylnych łapach przed Sophią. Wystawił język i spojrzał na nią zachęcająco, machając przy tym ogonem. Sophia właśnie się pochylała, żeby się z nim przywitać, ale nie zdążyła.

– Anette – powiedziała kobieta, wyciągając przed siebie wiotką rękę. Drugą podniosła dziecko. Pies zawrócił i zniknął gdzieś przy domu. Kiedy Sophia się przywitała, Anette skinęła w stronę Lisy. Wyglądało na to, że się znają.

– Alex jest za domem. Huśta się.

Przeszły na plac zabaw, na którym mieściły się domek do zabaw, piaskownica i huśtawki ustawione w leśnym zagajniku. Sophia wpatrzyła się w plecy chłopca. Stał na jednej z dwóch huśtawek i próbował ją rozbijać własnym ciężarem. Kurtkę miał rozpiętą, włosy nieco za długie. Anette postawiła dziecko na ziemi i chwyciła się za krzyż.

– Często to robi. Praktycznie rzecz biorąc, huśta się bez przerwy, odkąd do nas trafił. Przez pierwsze dwa dni musieliśmy siłą odrywać mu rękę od tej cholernej huśtawki i wносить go do domu, kiedy zbliżała się pora spania.

Anette wyciągnęła chusteczkę, głośno wydmuchała nos i dokładnie go wytarła. Kiedy już skończyła, rozwinęła chusteczkę i przyjrzała się jej zawartości, dopiero potem wetknęła ją z powrotem do kieszeni.

– Nie pytajcie nawet, jak myjemy mu zęby. Żeby go doczyścić, przydałby się wąż pod ciśnieniem. W każdym razie do wanny nie daje się go zagonić. – Podniosła głos i zerknęła na Lisę. – Wczoraj kopnął Engłę w brzuch tak mocno, aż myśleliśmy, że trzeba będzie jechać z nią do szpitala. Mały zagraża zdrowiu innych. Wiesz, że wiele mogę znieść, ale tego chłopca nie mogę tu trzymać.

Sophia popatrzyła na Alexa. Znajdował się cztery metry dalej.

– Wiem. Mówiłaś już. Robię, co mogę. Obiecuję, że kiedy tylko znajdę inne rozwiązanie, przyjadę po niego – wyszeptła Lisa.

– Byle szybko. Nie wytrzymamy tu z nim.

– Nie rozumiem. – Sophia spojrzała na Lisę. – Jakby mało

było tego, że chłopiec musi mieszkać osiemdziesiąt kilometrów od domu, i to u kogoś, komu... jak by to powiedzieć... średnio zależy na zdobyciu jego zaufania, to przeniesiecie go stąd jeszcze przed końcem postępowania? Gdzie trafi tym razem, do Sjöbo?

Sophia nie czekała na odpowiedź. Pokręciła tylko głową, odwróciła się i podeszła do Alexa. Huśtał się teraz jeszcze wyżej. Jedną nogę miał wysuniętą w przód, drugą w tył. Łańcuchy aż się poluzowały. Sophia wciąż pamiętała, gdy sama bujała się tak na huśtawce.

Może w dzisiejszych czasach dzieci nie oglądają już starych dobrych programów telewizyjnych, ale w kwestii huśtania niewiele się zmieniło.

Właściwie Sophia miała ochotę na chwilę przysiąc, pokazać, że może zaczekać. Jednak ziemia była mokra i zimna, ona miała na sobie eleganckie ubranie, a do tego się spieszyła. Obeszła więc huśtawkę i rozejrzała się za właściwym miejscem. Takim, z którego mogłaby spojrzeć swojemu klientowi prosto w oczy. Przystąpiła z nogi na nogę. Nie chciała wyglądać na zestresowaną, wołała sprawiać wrażenie, że ma mnóstwo czasu.

Ale nie pomogło to, że z zadowoloną miną stanęła blisko huśtawki. Alex nadal bujał się jak zawzięty. Kiedy odchrząknęła, też nie zareagował. Nie zszedł, żeby się przywitać. Nawet na nią nie spojrział. Kiedy się pochyliła, znajdując się niemal na drodze rozbijanej huśtawki, żeby nawiązać z nim kontakt wzrokowy, w ogóle nie zwrócił na nią uwagi.

– Cześć. – Sophia oddychała spokojnie. Wdech przez nos, wydech ustami. – Nazywam się Sophia – spróbowała ponownie. – Ekhm... Weber.

Rozhuśtał się jeszcze mocniej. Łańcuchy uginały się w miejscach, gdzie zaciskał na nich dłonie. Palce miał lekko zaczerwienione, uszy też.

– Jestem twoją adwokat. To znaczy, że będę ci pomagać. Dlatego pomyślałam, że spróbuję ci wyjaśnić, co się teraz dzieje. No wiesz, chodzi o to, że nie możesz być w domu z

mamą i tatą i tak dalej.

Rozbujana huśtawka była bardzo blisko, więc Sophia cofnęła się o pół kroku.

– Najważniejsze, żeby nikt cię nie bił. Wiesz chyba, że nikt nie ma prawa cię bić? To bardzo ważne. Naprawdę bardzo, bardzo ważne.

Wreszcie Alex przysiadł i podniósł wzrok. Popatrzył na Sophii prosto w oczy. Huśtawka w końcu się zatrzymała, a on wciąż patrzył bez mrugnięcia powieką. Powoli zszedł, stanął na szeroko rozstawionych nogach kilka centymetrów od Sophii i splunął jej prosto na stopę. Potem obrócił się i odszedł, znikając za domkiem do zabaw.

Sophia popatrzyła na swój but. Biaława ślina spłynęła z noska na ziemię. Wyszła błyskawicznie, nie zostawiając po sobie śladu.

Ciszę, która zapanowała po jej słowach, pochłonał pobliski las. Sophia włożyła ręce do kieszeni. Wiatr zaczął podwiewać jej kurtkę, więc zapięła się dokładniej. Było nieznośnie zimno. Jeszcze kilka tygodni temu pasma lodu ciągnęły się od oddalonego o kilka kilometrów zamku Gripsholm aż do wjazdu do Sztokholmu. Pod podeszwami butów Sophia czuła wciąż zmarzniętą ziemię. Było jej zimno w stopy.

Zanosilo się na deszcz, chmury były coraz niżej. Pobliski lasek wyglądał na opuszczony. Wyjałowiona przez przemysł gleba była pozbawiona tego, co przesądza, że zbiorowisko drzew staje się prawdziwym lasem. Mchu i jagód nie da się szybko wyhodować. Huldry¹ i duszki najwidoczniej przeniosły się gdzie indziej. A i wodnik zapewne nie wybrałby drzew zasadzonych w stu równych rzędach na miejsce, do którego zwabiałby i topił ludzi.

Sophia nie widziała, dokąd uciekł Alex.

Nie czekając, aż Lisa zapnie pas, Sophia przekreśliła kluczyk w stacyjce i wycofała auto z miejsca parkingowego.

Samochód podskoczył na zakręcie prowadzącym do głównej drogi. Włączyła się tkwiąca w odtwarzaczu płyta z muzyką

1 Huldra – według norweskich wierzeń ludowych żeński odpowiednik trolla (wszystkie przypisy tłumaczki).

klasyczną i z głośników popłynął Kanon Pachelbela.

Sophia starała się oddychać w rytm vibrato wiolonczeli. Zerknęła na buty. Na czarnej skórze nie było już ani śladu śliny.

Lisa wyglądała przez okno. Sophia docisnęła gaz do dechy, dźwięk silnika niewielkiego samochodu brzmiał jak turkot maszyny do szycia. Deska rozdzielcza drgała. Za oknami migał las, tutejsze drzewa rosły gęściej i były starsze.

Po powrocie do biura Sophia zamierzała poprosić Annę-Marię o napisanie szkicu oświadczenia dla sądu rejonowego. Zaopiniuje w nim przejęcie opieki nad chłopcem. Powinien wystarczyć zwykły jednostronicowy wzór pisma. Sporządzi też wykaz kosztów tej wizyty, poprosi o zapłatę za półtorej godziny, około tysiąca pięciuset koron. A potem na poważnie porozmawia z Lisą. Teraz nie miała na to siły, ale będą musiały znaleźć Alexowi inne miejsce. Nie mógł zostać w Mariefred.

Rozpadało się. Włączyła wycieraczki, które ze zgrzytem pocierały o szybę.

Trzymała kierownicę tak mocno, aż zbielały jej knykcie. Serce waliło jej w rytm dźwięków skrzypiec. Zwiększyła głośność w odtwarzaczu stereo, wrzuciła piąty bieg i rozparła się w fotelu.

Jesteś bardzo ważny, pomyślała. Naprawdę.

Od tamtej pory nie pościeliłam jego łóżka. Musiałam mu spakować walizkę. Z piżamą, kilkoma ubraniami, szczoteczką do zębów i paroma zabawkami. Babka z pomocy społecznej zapytała, czy mały ma jakiegoś misia, z którym zazwyczaj sypia. Uznała, że jeśli tak, powinnam mu go zapakować.

Ale on nie ma misia. Ulubionego kocyka też nie.

Czasami ssie kciuk. Wydaje mu się, że o tym nie wiem, ale oczywiście wiem. Tylko mam gdzieś to, że powinien przestać, bo już skończył osiem lat. Czemu miałoby mnie interesować, co robi z kciukiem. Jeśli chce, może sobie go ssać aż do emerytury, to nie mój problem.

W dużym pokoju znalazłam jakiegoś psiaka przytulankę. Spakowałam go.

Jego pokój wygląda okropnie jak zawsze. Wszędzie porozrzucane rzeczy.

Rozbebeszone łóżko. Pościel śmierdząca jak zwykle.

SOPHIA SZŁA PEWNYM krokiem w stronę przeszklonych drzwi prowadzących do Fjärilsgården. Zazwyczaj otwierały się automatycznie, jednak tym razem odbiła się od nich i musiała pchnąć skrzydło łokciem, ponieważ obie ręce miała zajęte. Niosła teczkę z ważnymi dokumentami, swoją zbyt przewiewną kurtkę, czerwone róże oraz zakupy ze spożywczego.

Fjärilsgården było ośrodkiem przeznaczonym dla osób starszych. Lokatorzy mieli zapewnioną opiekę medyczną, administracja dbała o zieleni, a stołówka serwowała dwa, według dziadka zupełnie niezjadliwe, posiłki. Dziadkowie Sophii wykupili jeden z najładniejszych apartamentów w tym domu, kiedy babcia zachorowała. Teraz dziadek Sture mieszkał tam sam.

Każdego przedpołudnia gospodyni robiła obchód i sprawdzała, czy zawieszki na drzwiach są obrócone w odpowiednią stronę. Był to znak, że lokator nie leży martwy i się nie rozkłada. Gospodyni nigdy nie pukała do mieszkań bez potrzeby. Mieszkańcom, o ile jeszcze żyli, absolutnie nie należało przeszkadzać. Jednak ci, którzy mieszkali w domu, nie powinni zatruwać powietrza sąsiadom, a już na pewno nie własnymi zwłokami.

Ze ściśniętą od stresu przeponą Sophia półbiegiem pokonała korytarz. Wyłożona laminatem podłoga skrzypiała pod stopami. Mieszkanie dziadka mieściło się na parterze. Balkon wychodził na park należący do tej samej posesji. Dziadek nie lubił, kiedy ktoś się spóźniał, ale akurat tym razem jeden z jej klientów zadzwonił, bo przytrafił mu się wypadek. Policja zatrzymała go, kiedy łomem podważał drzwi balkonowe w willi na Täby. Funkcjonariusze myśleli, że próbuje się włamać, ale to było nieporozumienie, bo klient oczywiście był niewinny.

Poza tym Sophia rozmawiała też z Lisą Zeiger. Chciała się dowiedzieć, ile czasu zajmie znalezienie nowego lokum dla Alexa. Najlepiej, gdyby jak najszybciej opuścił tę prowincjuszkę

i jej pieska. Już w drodze powrotnej Lisa obiecała zająć się tym po dotarciu do biura. Sophia trzymała ją za słowo; zadzwoniła już godzinę po tym, jak odwiozła Lisę do centrum. Nawet jeśli Alex przeprowadzi się jeszcze dziś, i tak będzie to kilka dni za późno.

Sophia otworzyła drzwi własnym kluczem, wytarła buty i szybko przemknęła do sypialni.

– Proszę, proszę. Więc jednak zdecydowałaś się przyjść. A już myślałem, że moją jedyną wnuczkę przejechał jeden z tych pijanych kierowców, których z takim uporem broni.

Dziadek leżał w ubraniu na zaścielonym łóżku. Podniósł się do pozycji siedzącej, głównie siłą woli. Sophia pocałowała go szybko w świeżo ogolony szorstki policzek.

– To przez pracę – wyjaśniła.

– Domyślam się. Kolejnemu szacownemu obywatelowi niesłusznie wlepili punkty za zakłócanie porządku. Co za szczęście, że jesteś ty. Stępisz ostrze naszego zepsutego społeczeństwa.

Sophia milczała zrezygnowana. Pochyliła się nad dziadkiem, przyciągnęła do siebie jego miękką dłoń i przyłożyła ją sobie do policzka. Ręce dziadka z prosto przyciętymi paznokciami, niegdyś wielkie jak bochny, teraz jakby pokryte marszczonym jedwabiem, wciąż dawały równie dużo poczucia bezpieczeństwa co wieczorny pacierz.

– Dobrze już, dobrze – wymamrotał. Zabrał dłoń i poklepał wnuczkę po ramieniu. – Jak się miewa moja mała pani adwokat? Są dla ciebie mili?

– Owszem – odparła Sophia. – Twoja pani adwokat miewa się nie najgorzej. – Przysiadła na brzegu łóżka.

– Wynajęłaś samochód? I kupiłaś kwiaty? – Dziadek westchnął i chwycił się za lewe ramię.

– Tak. – Sophia popatrzyła mu prosto w oczy. – Powiedz lepiej, jak ty się czujesz.

– Moja droga Fio, co niby mam ci powiedzieć? Dobrze? Otóż czuję się znakomicie! Naprawdę wspaniale. Nie narzekam.

Sophia spojrzała na zdjęcie ustawione na stoliku nocnym i podała dziadkowi rękę. Drugą objęła go za plecy i pomogła mu

wstać. Schudł od jej ostatniej wizyty.

– Naprawdę mi przykro, że tak późno przyjechałam, ale próbuję pomóc pewnemu chłopcu, który musiał wynieść się z domu. Objęto go opieką, no i... cóż, zebrało się kilka rzeczy.

Dziadek przez chwilę łapał równowagę. Kiedy już wyprostował plecy i szyję, wzięła go pod ramię.

– Muszę coś zjeść, zanim wyjedziemy. – Zakasłał i uwolnił się z jej objęć. – Jestem pioruńsko głodny. Pamiętałaś, żeby kupić, co prosiłem?

Sophia skinęła głową.

– Jasne, że tak. A tak w ogóle to mama dzwoniła. Dziś nie była w formie. Spróbuje się do ciebie wybrać w przyszłym tygodniu, ale na razie serdecznie pozdrawia.

– Dałabyś radę zrobić coś do jedzenia przed wyjściem? – Dziadek doczłapał do salonu i włączył telewizję. – Coś na szybko. Muszę coś przegryźć, inaczej padnę.

Sophia poszła do kuchni i rozpakowała jedzenie, które kupiła. Na dużą, żelazną patelnię wrzuciła trzy kielbaski jagnięce i jajko. W lodówce znalazła kilka ugotowanych ziemniaków. Postanowiła podsmażyć je na maśle.

Babcia uwielbiała odsmażane ziemniaki z mnóstwem soli. Od jej śmierci minęły już dwa lata i czasem Sophii trudno było sobie przypomnieć czasy, gdy babcia była zdrowa. Kiedy jeszcze mogła się śmiać, nie tracąc przy tym tchu. Starsza pani z kuponami lotto i krzyżówkami, co piątek zasiadająca przed telewizorem, sącząca przy tym półtorej szklaneczki sherry. Babcia, która jej nie zostawiła, której osobowość charakteryzowała beztroska typowa dla tych, co nie muszą się martwić o pogodę. Jakby była z południa Włoch, a nie z Djursholmu położonego na północ od Sztokholmu.

Sophia ustawiła na tacce jedzenie i szklankę wody. Pokręciła głową, żeby odegnąć myśli. Zaraz będą musieli jechać, żeby złożyć kwiaty na grobie. A potem wizyta w restauracji Ulla Winbladh. Sophia miała zamiar zamówić pulpeciki i wypłakać się w serwetkę. Dziadek zazwyczaj zamawiał smażoną rybę, śledzia, jeśli akurat mieli. Pewnie będzie narzekał, że ostatnio kucharz guzdrał się z jedzeniem, a wino było za zimne. Może i

on będzie płakał.

– I pomyśleć, że przyjeżdżasz zajmować się dziaduniem. – Uśmiechnął się i przesiadł na sofę. – Dałabyś radę wykombinować jeszcze zimne piwo? I kielonka? Muszę wypić jednego, jeśli mam przetrwać ten dzień. Wiesz przecież.

Chwycił talerz w lewą rękę, a widelec w prawą. Z pełnymi ustami spojrzął na Sophię.

– Powinniśmy razem zamieszkać. Ty i ja, to by dopiero było. Wiesz co, przynieś całą flaszkę. Jest w lodówce. – Przez chwilę przeżuwał jedzenie. – A ty nie jesz?

Sophia pokręciła głową.

– Zjadłam przed wyjazdem. Na razie pójdę trochę posprzątać w kuchni.

– Naprawdę zrobisz to dla swojego staruszka? Jak ja bym sobie bez ciebie poradził? Ech. Bez mojej malutkiej Fii leżałbym pozostawiony na pastwę starości. A włączysz zmywarke? Nie pojmuję, jak to działa. Może jest zepsuta. Weź zerknij, co? No i skoro już się tak krzątasz, może zajrzałybyś też do łazienki? Wiesz, że ja się do tego nie nadaję. A nie jest tam najczyściej, wanna wygląda, jakby ktoś kąpał w niej psa. Ta pani, która przychodzi tu ogarniać... cóż, w swoim kraju jest na pewno neurochirurgiem, no i jest cudowna pod każdym względem, ale sprzątać nie potrafi. Znajdziesz wódkę? Jest w lodówce.

TO ŚWIŃSKA GRYPA, pomyślała Sophia. Ból głowy był silniejszy niż kiedykolwiek i paliło ją w gardle. Do tego źle spała w nocy.

Kolacja z dziadkiem się przeciągnęła. W Ulla Winbladh spotkali kilkoro jego dawnych studentów z uniwersytetu. Ci, dziś w średnim wieku, robili wszystko, żeby zwrócić na siebie uwagę profesora, a dziadek opowiadał historie, które wszyscy już słyszeli. Sophia pilnowała, żeby nie dolewali mu tak często jak sobie.

Z dziadkiem zawsze tak było. Kiedy z kimś się spotykał, jego nastrój od razu udzielał się innym. Jeśli był zadowolony, ludzie się śmiali, jeśli się złościł i irytował, jego zły humor wypełniał przestrzeń niczym dym. Jeśli milczał, cisza pokrywała wszystko jak radioaktywny pył. Dla wszystkich było to oczywiste, ale dziadek tego nie zauważał.

Dopiero po pierwszej w nocy Sophia odwiozła go do domu, potem musiała pojechać do kancelarii.

Następnej nocy spała jeszcze krócej. Siedziała do późna nad decyzją dotyczącą imigranta, położyła się dopiero przed czwartą. Peter, który akurat miał nocną zmianę, wrócił pół godziny przed tym, jak zadzwonił jej budzik. Obudził ją, żeby zapytać, gdzie są jego okulary. Wstała i wyjęła je z jego szafki nocnej, a potem wzięła zimny prysznic. Gdy on zasypiał, ona siedziała już w kuchni. Kawa stygła, a Sophia zaciskała pięści i czuła puls rozrywający skronie. Kiedy weszła do kancelarii, czekała już na nią decyzja sądu rejonowego w skrzynce na listy obok recepcji.

„Przewodniczący kolegium Rejonowego Ośrodka Pomocy Społecznej Liljeholmen w Sztokholmie zadecydował... zgodnie z par. 6 ustawy o przejmowaniu opieki nad nieletnimi... o przejęciu opieki nad Alexem Anderssonem. Decyzja uzasadniona została następująco...”

Bla-bla-bla. Przekartkowała dokument do ostatniej strony.

„Z uwagi na dotychczasowe ustalenia w postępowaniu Sąd Rejonowy uznaje, że Alex Andersson musi zostać przygotowany na przejęcie nad nim opieki na mocy ustawy o przejmowaniu opieki nad nieletnimi. Decyzja ta jest natychmiastowa z uwagi na to, że zdrowie i rozwój Alexa Anderssona są zagrożone. Jeśli w ustawowym terminie podstawy do natychmiastowego przejęcia opieki nie ulegną zmianie, decyzja zostanie uprawomocniona. Utrzymuje się zatem postanowienie o przejęciu opieki”

Można się było tego spodziewać, jednak Sophia odetchnęła z ulgą. Przyniosła do siebie bloczek z żółtymi samoprzylepnymi karteczkami i na jednej napisała „zadzwoń do Lisy z pomocy społecznej i zapytaj o lokum dla Alexa”. Przyczepiła notatkę na

końcu całego rzędu podobnych karteczek wieńczącego ekran komputera. Kolejny telefon do wykonania. Kolejna instytucja, z którą trzeba się skontaktować. Kolejna osoba, z którą trzeba porozmawiać i przekonać do własnych racji.

Ból głowy nie mijał.

Jeszcze jeden formularz do wypełnienia i moje życie będzie idealne, pomyślała. Utkwiła wzrok w mlecznobiałym skrawku nieba za oknem.

Zapaliła lampkę na biurku. Sufitowa już się świeciła. Nie padało, ale było na tyle wilgotno, że miała ochotę wytrzeć włosy ręcznikiem. Chciała się wreszcie rozprawić z tym przeżyciem oraz z zatykającymi wszystkie komórki ciała smogiem i mgłą znad przystani oddalanej zaledwie o kilka metrów od ulicy.

Dziś wieczorem położę się wcześniej. Zjem popcorn, obejrzę Seks w wielkim mieście i prześpię co najmniej dziewięć godzin.

Wydmuchała nos i wetknęła orzeczenie Sądu Rejonowego do teczki w szafce. Zrobiła głęboki wdech, który – jak miała nadzieję – wyrażał determinację.

Kto wie, jak się potoczą sprawy dla Alexa Anderssona. Może wszystko się ułoży? W każdym razie przez najbliższy miesiąc nie będzie musiała zajmować się nim i jego problemami. Miała zresztą inne rzeczy do roboty. Wszystkie te papiery nie muszą przecież ciągle zalegać na jej biurku.

Sophia włączyła komputer i czekała na dźwięk, który oznajmiał, że ma wprowadzić hasło i tym samym zacząć kolejny dzień pracy.

Hurra, pomyślała i ziewnęła. Ping!

SĄD REJONOWY W SZTOKHOLMIE w środku wyglądał nieco bardziej zachęcająco niż na zewnątrz. Budynku z rzędami malutkich okien nie sposób było zapamiętać, choćby nie wiadomo ile razy stało się przed jego szarą fasadą. Wnętrze było nieco lepsze. Wypełniała je sztuka pod różnymi postaciami: zasysające energię szklane instalacje, jasne tkaniny artystyczne, obrazy olejne i fotografie w ramach. Słowem, przyjazna przestrzeń, będąca prostym dowodem na to, że pieniądze publiczne wykorzystano wyjątkowo na coś innego niż budowanie kraju przyjaznego przedsiębiorcom.

Jednym z droższych eksponatów była rzeźba z brązu przedstawiająca zgiętą wpół dziewczynkę, a może młodą drobną kobietę. Postać wyglądała, jakby opierała głowę na kolanach, żeby się rozplakać. Całkiem adekwatna scena, pomyślała Sophia, której klienci bywali smutni, zwłaszcza tutaj.

Minęło już niemal sześć tygodni, odkąd rodzicom Alexa Anderssona odebrano opiekę nad dzieckiem. Sąd Rejonowy miał zweryfikować decyzję kolegium pomocy społecznej, dlatego zarządzono przesłuchania. Sophia przyszła pół godziny za wcześnie, przywitała się ze strażnikiem i ruszyła prosto na półpiętro, gdzie na wprost gabinetu rzecznika stała rzeźba na piedestale. W gabinecie Sophia odstawiła teczkę i zdjęła płaszcz. Ubranie było wilgotne, a włosy pokrywała pajęczynka kropelek.

Rozprawę wyznaczono na dziesiątą. Sophia wymachiwała teczką, czekając, żeby strażnik otworzył salę. W chwilach zastoju, oczekiwania, zawsze robiła się trochę nerwowa. Przecież przez ten czas mogłaby załatwić coś innego.

Za dwadzieścia dziesiątą strażnik otworzył drzwi. Sala była

duża. Ovalny stół z dziesięcioma krzesłami stał naprzeciwko ławy sędziowskiej ustawionej na podium. W głębi znajdowało się wysokie okno z cienkimi płóciennymi firankami.

Sophia jak zwykle zajęła miejsce naprzeciwko ławy sędziowskiej. Obok niej na czas przesłuchania mogli zasiąść ewentualni świadkowie. Jeśli nie zostali wezwani, Sophia będzie siedziała sama. Alex był za mały, żeby brać udział w rozprawie.

Na lewo od Sophii swoje miejsca mieli Lisa Zeiger z pomocy społecznej i zatrudniony przez miasto radca prawny. Z prawej strony siedział przedstawiciel rodziców. Czekał na swoich klientów. Dla innych rozprawa była zamknięta. Podczas posiedzeń tego typu miejsca dla publiczności były z reguły puste. Nikt nie mógł się przysłuchiwać postępowaniu, nie wyłączając producentów telenowel dokumentalnych, mimo ich wyraźnie okazywanego zaangażowania w kwestie związane z wychowaniem dzieci oraz inne problemy społeczne.

Dwie minuty po wyznaczonej godzinie do sali wpadła zziębnięta kobieta w czarnych traperach, z ogromną torbą sportową na ramieniu.

Sędzia przewodniczący Stieg Jahve rzucił jej przeciągłe spojrzenie znad dokumentów.

– Witamy – powiedział z kwaśną miną. – Jak to miło z pani strony, pani Andersson, że jednak się pani pojawiła.

Linda Medner Andersson wyglądała na zdezorientowaną. Nie zdążyła zdjąć kurtki. Jej przedstawiciel skinął na nią ręką i odsunął krzesło najbliżej ławy sędziowskiej.

– Bardzo przepraszam za spóźnienie – powiedziała. – Naprawdę nie chciałam.

– Dobrze, dobrze. Nazywam się Stieg Jahve i jestem sędzią. To moi koledzy – odburknął sędzia, nieudobruchany jej przeprosinami, wskazując na boki. Był znany z braku pobłażliwości dla osób, które się spóźniały lub przychodziły w ostatniej chwili na prowadzone przez niego rozprawy.

– Przedstawicielka pomocy społecznej – wskazał Lisę Zeiger siedzącą naprzeciwko Lindy – która zajmuje się sprawą pani syna, siedzi tam. Zresztą domyślam się, że już ją pani zna.

Linda rozejrzała się po sali, potem spuściła wzrok. Usiadła. Stieg Jahve mówił dalej:

– Wolałbym, żebyśmy zaczęli przed przerwą na lunch. Gdzie jest ojciec dziecka?

Odchrząknął młody mężczyzna w garniturze i ciasno zawiązanym krawacie. Zaczął mówić szybko, zupełnie jakby czytał z kartki:

– Wyznaczono mnie na przedstawiciela Christera Anderssona. Niestety muszę poinformować sąd, że nie udało mi się skontaktować z moim klientem. W oczekiwaniu na taki kontakt muszę więc powstrzymać się przed wygłoszeniem jakiegokolwiek oświadczenia.

– No proszę. – Sędzia Jahve był też znany z antypatii do adwokatów, zwłaszcza tych w garniturach od krawca. – Wprost niesamowite. Czy pomoc społeczna się z nim kontaktowała?

– Nie. Nadal go poszukujemy, ale w chwili obecnej nikt nie wie, gdzie jest.

Lisa Zeiger odpowiedziała, nie podnosząc wzroku znad papierów:

– Nie wiemy zatem, jak ojciec ustosunkowuje się do zaproponowanych przez was środków zaradczych?

– Zgadza się, nie wiemy.

– Jest jednak zameldowany pod tym samym adresem co druga osoba sprawująca opiekę nad dzieckiem?

– Według naszych ustaleń mieszka w tym samym miejscu. Rodzice są małżeństwem, mieszkają razem i wspólnie sprawowali opiekę nad dzieckiem.

– Nie wie pani, czy pani mąż ma zamiar się dziś pojawić? – zwrócił się sędzia do Lindy Medner Andersson.

Kobieta pokręciła głową i przez chwilę patrzyła na niego. Potem położyła łokcie na stole, podparła rękoma głowę i się rozplakała.

– Nie możecie mi zabrać Alexa. Nie możecie. Nie pragnę niczego innego, chcę tylko jego. Jeśli pozwolicie mu do mnie wrócić, zrobię, co tylko chcecie. Ale go nie zabierajcie.

Linda Andersson przepłakała całą rozprawę. Jej przedstawiciel podtykał jej kolejne chusteczki do nosa.

Na świadka powołano lekarza, który badał Alexa. Zazwyczaj lekarze nie byli przesłuchiwani podczas takich rozpraw, jednak tym razem zrobiono wyjątek. Zapewne dlatego, że był to świetny świadek. Taki, jakich lubił sędzia Jahve.

Najpierw lekarz powiedział, że badał Alexa tego samego dnia, kiedy przewodniczący kolegium Ośrodka Pomocy Społecznej podjął decyzję o natychmiastowym przejściu opieki nad chłopcem.

Kiedy chłopiec trafił do szpitala, miał złamane trzy żebra. Niewielkie, okrągłe ślady na ciele były najprawdopodobniej pozostałościami po przypalaniu papierosami. Ponadto zdjęcia rentgenowskie wykazały cztery dawne pęknięcia kości: dwa palca środkowego prawej ręki, jedno żebra oraz jedno lewego przedramienia.

Dalsze badania pozwoliły stwierdzić, że poza przypaleniami, złamaniami, oszpecającymi bliznami oraz siniakami Alex cierpi na niedosłuch w lewym uchu oraz na zaburzenia zmysłu równowagi.

– Istnieje ryzyko, że pacjent doznał trwałego uszkodzenia układu słuchowego spowodowanego obrażeniami nerwu przedsionkowego. Według moich ustaleń nie można wykluczyć, że owe obrażenia powstały na skutek wielokrotnego bicia w policzki oraz okolice szczęki. Podobne obrażenia spotkać można u pacjentów poddawanych torturom. Są dość częste wśród osób ubiegających się o azyl. Pozwoliłem sobie przynieść zdjęcia na wypadek, gdyby sąd uznał, że okażą się przydatne. Mogę je pokazać.

– Nie ma takiej potrzeby – odparł sędzia.

Adwokat wyciągnął kolejną chusteczkę i podał swojej klientce. Stieg Jahve pochylił się nad ławą.

– Czy są jakieś jaśniejsze punkty w tej ponurej historii?

– Wątpię. Chyba że... – Lekarz przez chwilę się zastanawiał.

– Na podstawie przeprowadzonych badań mogę stwierdzić, że wydaje się mało prawdopodobne, by dziecko było wykorzystywane seksualnie. Oczywiście nie ośmieliłbym się tego nazwać jaśniejszym punktem, niemniej jednak to pewna ulga, pozwolę sobie zauważyć. Z drugiej strony skutki tego typu

przemocy nie zawsze da się zauważyć naocznie.

– Czy chłopiec mógł się sam okaleczyć? Może na przykład upadł?

– Pęknięcia mogą być skutkiem różnego rodzaju wypadków. Dzieci często się przewracają podczas zabawy. Nie moją rolą jest spekulowanie, czy istnieje jakieś inne wyjaśnienie. Jednakże według mnie można wykluczyć, że chłopiec sam spowodował u siebie takie obrażenia.

Sędzia z zadowoleniem skinął głową. On też wątpił, że Alex sam złamał sobie żebra i przypalił skórę na plecach. Chciał jednak, aby takie stwierdzenie zostało zaprotokołowane.

– Czy chciałby pan coś dodać? – zapytał.

– Chętnie skorzystam z okazji i zwrócę uwagę sądu na moim zdaniem niepokojącą okoliczność. Według mnie... a przeprowadziłem mały rekonesans, wykonałem kilka telefonów... wygląda na to, że służba zdrowia nigdy wcześniej nie była informowana o poważnych obrażeniach, jakich doznawało dziecko. Zatem... Wydaje się... To znaczy... Otóż przyznaję, że dla mnie to nieco dziwne, że siedmioletni chłopiec nigdy nie był w szpitalu. – Lekarz schował okulary do wąskiego skórzanego etui. – Zwłaszcza dziecko tak dziwnie podatne na wypadki jak Alex Andersson.

Jedna z kobiet siedzących w radzie sędziowskiej przyłożyła dłoń do ust.

– Chce więc pan powiedzieć, że obrażenia, których doznał chłopiec, leczono na własną rękę? – Między brwiami sędziego pojawiła się głęboka bruzda. – Że żadnego ze złamań nie badał lekarz?

Świadek przytaknął.

– Na to wygląda. Dziwne, nieprawdaż?

Adwokat położył pozostałe chusteczki na stole przed Lindą Medner Andersson. Uznał, że łatwiej będzie, jeśli sama się obsłuży.

Kiedy lekarz opuścił salę, Lisa Zeiger przedstawiła pokrótce ustalenia przeprowadzonego przez opiekę społeczną wywiadu środowiskowego dotyczącego rodziców Alexa.

– Zarówno matka, jak i ojciec wykazują tendencje do

nadużywania alkoholu. Oboje są też znani policji. Lindę Medner Andersson zatrzymano dwukrotnie za zakłócanie porządku publicznego, jednak kilka lat po urodzeniu chłopca jej nazwisko przestało się pojawiać w kartotekach. Ojciec, Christian Andersson, jako nastolatek był wielokrotnie pozywany za przestępstwa z użyciem siły. Tuż po skończeniu osiemnastu lat został skazany na miesiąc więzienia za pobicie. Cztery lata później zatrzymano go za posiadanie miękkich narkotyków, nie wniesiono jednak aktu oskarżenia. Także w jego przypadku po narodzinach dziecka nie odnotowano poważniejszych incydentów kryminalnych.

Christiana Anderssona jednak nie można było znaleźć. Ślad po nim zaginął, w związku z czym policji trudno było zbadać okoliczności maltretowania Alexa.

Linda Medner Andersson też nie sprawowała się lepiej. Dotąd odmawiała wszelkiej współpracy, a gdy wyjątkowo przyszła na ustalone przez pomoc społeczną spotkanie, była pijana i wściekła. Według Lisy Zeiger nie ulegało wątpliwości, że w obecnej sytuacji Alex nie może mieszkać z rodzicami.

Pod koniec rozprawy przyszła kolej na Sophie, która przedstawiła swoje stanowisko. Nie trwało to długo.

– Mój klient nie chciał się wypowiadać. Spotkałam go dwa razy. Nie chciał rozmawiać. Wydaje mi się jednak, że ośrodek, w którym przebywa obecnie, się sprawdza. Po Alexie widać już, że czuje się lepiej i że mieszkanie w stabilnym i spokojnym otoczeniu ma na niego pozytywny wpływ. Dopóki rodzice nie wyrażą zgody na przejęcie opieki przez pomoc społeczną i dopóki Alexowi nie będzie można zapewnić bezpieczeństwa w domu rodzinnym, zmuszona jestem podtrzymać wniosek. Tak jak pomoc społeczna wnioskuję o przejęcie opieki.

Sędzia Stieg Jahve był człowiekiem, który jeśli chciał strzelić, robił to szybko. Zakończył rozprawę, mówiąc, że uczestnicy zostaną bezzwłocznie poinformowani o jej wyniku. Adwokaci i pozostali obecni czekali na korytarzu za ledwie kwadrans, a tymczasem rada sędziowska się naradzała. Potem wezwano wszystkich do sali, gdzie zajęli miejsca.

Odczytując decyzję, sędzia patrzył prosto na Lisę Zeiger.

Podtrzymano wniosek pomocy społecznej. W oparciu o ustawę o opiece nad małoletnimi zarządzono przejęcie kurateli nad Alexem Anderssonem. Decyzja miała wejść w życie natychmiast. Skinąwszy głową w stronę adwokatów, sędzia upewnił się, że nie mają oni żadnych uwag, po czym odwrócił się do Lindy Medner Andersson.

Jahve uważał się za osobę o zdolnościach pedagogicznych, dlatego postanowił skierować do niej kilka słów wyjaśnienia, dlaczego Alex nie będzie mógł jeszcze przez jakiś czas wrócić do domu.

– W naaaszej oceeenie – powiedział – małoletni Alex Andersson, to znaczy pani syn, ewidentnie wymaga przejęcia opieki przez państwo. – Odchrząknął i zrobił pauzę. – Potrzeby Alexa nie mogą zostać zaspokojone w domu. Z uwagi zaś na niewystarczającą opiekę istnieje wyraźne... tak, wy-raż-ne ryzyko, że zdrowie i rozwój Alexa są zagrożone. Jak to pani dziś powiedziała, zrobiłaby pani wszystko, miło mi to słyszeć, jednak musimy się najpierw upewnić, że sytuacja jest wystarczająco stabilna i że wytrwa pani w swoim postanowieniu. Zatem w chwili obecnej uznajemy pani zapewnienie za niewystarczające, jako że nie gwarantuje pani dziecku należnej opieki.

Stieg Jahve zrobił wydech. Twarz mieniła mu się na czerwono. Zmęczyło go wyjaśnianie za pomocą prostych słów. Linda Medner Andersson chyba nie rozumiała, że jest prostaczką. Płakała. Łzy same ciekły jej z oczu.

– Zrobię wszystko – wyszeptwała. – Wszystko. – Ochrypla od długiego płaczu.

– Zatem postanowione – powiedział sędzia. Jego cierpliwość się wyczerpała. Już od godziny trwała przerwa na lunch. – Wyrok na piśmie będzie wydany w ciągu najbliższego tygodnia. Kopie zostaną wysłane do wszystkich pod wskazane adresy. No i cóż, życzę powodzenia.

Stieg Jahve wstał, skinął głową na wszystkie strony i wyszedł z sali. Jego koledzy ruszyli za nim.

Kiedy drzwi stuknęły po raz kolejny, Sophia zebrała papiery i wetknęła je do teczki. Mocowała się trochę z prawym zamkiem,

ale wreszcie się udało.

To była dobra rozprawa. Nie za długa, bez świadków plotących, co im ślina na język przyniesie. Poza tym Sophia była zadowolona ze swojego oświadczenia. Na ogół nie trzeba się rozgadywać, gdy człowiek zgadza się z pomocą społeczną.

Lisa Zeiger i prawnik stali kilka metrów dalej. Oni też pakowali swoje rzeczy. Lisa świetnie się spisała. Sophia zapisała nazwisko lekarza w komórce. Dwaj adwokaci reprezentujący Lindę i jej męża niemal w tym samym momencie unieśli dłonie, żeby pomachać Sophii na pożegnanie.

Tuż za nimi stała matka jej klienta oraz jego była opiekunka Linda Medner Andersson. Wstała z krzesła, łzy zdążyły już obeschnąć.

Sophia pokręciła głową. Dzięki Bogu sąd nie uległ jej zapewnieniom, że „zrobi wszystko”. Niektórzy sędziowie nabierali się na takie numery, wierzyli słodkim, zapłakany mamusiom.

A Linda Medner Andersson była ładna, to nie ulegało wątpliwości. Torba, z którą weszła do sali rozpraw, leżała teraz na podłodze. Kobieta jeszcze jej nie podniosła, czekała najwyraźniej na swojego adwokata. Tymczasem rozglądała się po sali.

Nagle spojrzała wprost na Sophię. Oczy miała zielone, policzki rozpalone od płaczu. Powieki nawet jej nie drgnęły. Sophia odwzajemniła spojrzenie. Po plecach spłynęła jej zimna kropla potu. Odwróciła więc wzrok i wyszła.

Przystanąła przy posągu przedstawiającym załamaną dziewczynę. Poglądziła gładką powierzchnię i przeciągnęła palcem wskazującym po konturach rzeźby.

Właściwie dziewczyna wcale nie płakała. Dzieło nosiło tytuł Medytacja.

Sophia nie wiedziała, dlaczego Linda Medner Andersson zanosila się płaczem. Wiedziała tylko, że ją to irytuje. Być może kobieta nie rozumiała, co znaczy „ewidentnie”, może nie rozumiała też, dlaczego jej „niewystarczające zapewnienia” nie wpłyną na to, kto będzie kładł Alexa do snu, dawał mu

śniadanie i prał jego brudne ubrania. Może płakała dlatego, że do tej pory tak rzadko robiła to sama. Bez względu na jej pobudki Sophia się wściekła.

Półbiegiem pokonała schody i wyszła przez szklane drzwi. Portier rozmawiał przez telefon. Na zewnątrz kwietniowe niebo wisiało nisko, niemal na wysokości kolan, deszcz zaś padał z uporem godnym sumiennego biurokraty. Drzwi zamknęły się za nią ze zgrzytem. Na chłodnym powietrzu złość wreszcie zelżała.

Kolejna rozprawa w Sądzie Rejonowym, w zupełnie innej sprawie, czekała ją dopiero za ponad tydzień.

Sophia ciasniej otuliła się płaszczem.

Może autor tej rzeźby chciał zmusić widzów do refleksji, pomyślała. Sprawić, by zastanowili się, dlaczego wszystko poszło nie tak.

Medytacja. Tego właśnie trzeba było Lindzie Medner Andersson. Ludzie jednak nie są skłonni do medytacji i refleksji nad tym, co już zrobili. Tak było i jest. Wszyscy myślą tylko o sobie.

Nie ma mnie. Tak właśnie się czuję.

Dali mi adwokata. Nie muszę mu płacić, ale przecież mi pomoże. Spotkaliśmy się raz przed rozprawą. Powiedziałam mu, że chcę odzyskać Alexa.

– Ach tak – odparł. – Oczywiście, to jasne. Rozumiem.

Wyglądał na cholernie zestresowanego. Po piętnastu minutach musiałam wyjść. Miał kolejne spotkanie.

– Zrobię, co w mojej mocy – obiecał.

Ale nic nie zrobił. Powiedział mi tylko, że mam się podporządkować pomocy społecznej. Że mam ich słuchać, chodzić na wszystkie spotkania i robić to, co mówią. Jakbym sama nie umiała na to wpaść.

Nie ma mnie. Nie ma.

SOPHIA NIE MIAŁA żadnych zastrzeżeń do decyzji Sądu Rejonowego ani do planu przejęcia opieki nad chłopcem. Opieka zastępcza nad dzieckiem miała trwać sześć miesięcy. Sophia nie miała już nic do zrobienia, przynajmniej na razie. Mimo wszystko nie mogła się skupić na tym, co zaplanowała, a więc na czytaniu innych akt ani nawet na myśleniu o przyjemnych rzeczach.

Bolał ją kark. Leżała na kanapie, z laptopem na kolanach. Jedno dochodzenie, dwanaście spraw w Sądzie Okręgowym oraz opinia Rady Prawniczej² – chciała to przejrzeć, zanim włączy telewizję. Lubiła być na bieżąco. Jednak tego wieczoru umysł odmawiał współpracy.

Odkąd zaczęła studiować prawo, rzadko sięgała po literaturę piękną. W dzieciństwie było zupełnie inaczej. Anna kilka razy próbowała wciągnąć ją do kółka czytelniczego, ale Sophia za każdym razem odmawiała. Dostawała mdłości na samą myśl o tym, że miałyby opowiadać, dlaczego ta czy inna książka przypadły jej do gustu, i siorbać przy tym domową minestrone.

Za to Peter czytał bez przerwy: w wannie, trzymając duży palec u nogi na kurku z ciepłą wodą, na kanapie z ręką zwieszoną luźno nad rogiem poduszki i rano przy stole w kuchni. Kryminały i lirykę, cykle i powieści reportażowe, grube cegły o ludziach prowadzących wojny przed wiekami i cieńsze książki w kremowych okładkach, z nierównymi marginesami, których autorzy na dwudziestu stronach rozpisywali się o wzorze tapety w przedpokoju, zanim w jakimś zdaniu podrzędnym zdradzili wreszcie, że tuż obok, na dywanie, leży ktoś, kto podciął sobie gardło grawerowanym japońskim nożem o dwóch ostrzach.

Jako dziecko Sophia też czytała. Siedziała z książką w szafie babci, czując zapach lasu, oczyma wyobraźni widziała inne światy, czarownice i słabe światło magicznych latarni. Często

² Rada Prawnicza (*Lagrådet*) – rada złożona z sędziów Sądu Najwyższego, której zadaniem jest opiniowanie propozycji ustaw mających trafić pod głosowanie parlamentu.

przesuwała dłonią po grzbietach książek w regale rodziców i dziadków. Po oprawionych częściowo w skórę okładkach z tłoczonymi literami. Czasami zabierała książki do szkoły. Chowała je w kurtce i szła tam, gdzie nikt jej nie przeszkadzał. Najchętniej zamykała się w toalecie. Jednak nie zawsze dało się tam wytrzymać aż do dzwonka na lekcje, bo niektórzy z dyżurujących na korytarzu nauczycieli sprawdzali, jak długo kogoś nie ma, po czym pukali do drzwi i pytali, czy wszystko w porządku. Żalotne – w takich okolicznościach odpowiadać na pytanie o samopoczucie.

Książki składały się na jej dzieciństwo. Żyła przygodami bohaterów. Jeśli od czasu do czasu się od nich odrywała, to tylko kiedy pojawiała się Anna.

Z sypialni rozległo się chrapanie Petera. Jak zwykle zasnął szybko, a teraz charczał, wydychając powietrze.

Sophia zamknęła drzwi do salonu. Wieczorna narkolepsja Petera ją irytowała. W pewnym sensie był uroczy. Owsianka, dbałość o właściwe ciśnienie krwi, jogging w getrach à la faceci w rajtuzach i w podkoszulku bez rękawów.

Co z nią jest nie tak? Przecież ma chłopaka. Lekarza, który lubi ją przytulać, jest przystojny i wysportowany. Dobrze się im razem żyje. A jednak najlepiej czuła się wtedy, kiedy Peter spał, czytał, wychodził z kumplami albo emocjonował się, oglądając mecz na dużym ekranie. Z nią na pewno coś jest nie w porządku.

Powinam się bardziej starać, pomyślała, otwierając kolejny plik w komputerze. Powinniśmy częściej ze sobą rozmawiać. Tak na serio, o tym, o czym myślimy.

W rzeczywistości Sophia uważała, że faceci, którzy gadają, są nie do zniesienia. Tacy, co to oczekują, że człowiek będzie wysłuchiwał gadania o zarządzie, skokach olimpijskich, kursach doszkalających i restrukturyzacji firmy. Taki facet milkł tylko wtedy, gdy rozsiadał się na jej kanapie, ściskając pilota. Z reguły w takich momentach związek się rozpadał. Wszystko miało przecież swoje granice.

Pod tym względem Peter był w porządku. Nie interesował go jej telewizor.

Kiedy Sophia była młodsza, spotykała się z facetami w innym typie: pełnymi pasji łobuzami, dzięki którym czuła ból duszy i miała otarcia na wewnętrznych stronach ud. Z takimi, którzy uważali, że dobry kochanek się nie śpieszy. Którzy recytowali rosyjską poezję, mówili o pragnieniu zespolenia się z własnym losem, o znaczeniu pieniędzy wobec śmierci i o tym, że chcą być postrzegani takimi, jacy są. Wyrosła już z tego.

Sophia podciągnęła się na kanapie i sięgnęła po poduszkę z fotela, żeby móc się ułożyć nieco wyżej. Trzeci raz w ciągu ostatnich dziesięciu minut zaczęła czytać o tym samym dochodzeniu, ale nie mogła się skupić. Postanowiła, że nazajutrz zadzwoni do pomocy społecznej i zapyta, czy nie można zorganizować Alexowi jakiegoś transportu do jego poprzedniej szkoły. Powinien uczyć się w znanym sobie środowisku. Chyba nie zaszkodzi, jeśli im o tym napomknie.

Wcześniej tego dnia sprawdziła, czy wśród bliskich Alexa nie ma kogoś, z kim można by współpracować i kontaktować się w jego sprawie. Czasami tak postępowano. Szukano osoby, którą dziecko już zna i lubi, i wciągano ją do grupy. Nie chodziło zresztą o samego Alexa, ale też o to, żeby odciążyć jego rodziców.

Najlepiej, gdyby znaleźli jakiegoś krewnego, który prowadzi normalne, spokojne, uporządkowane życie. Mogliby go zaangażować w sprawę. Jednak Lisa Zeiger wyjaśniła Sophii, że w rodzinie Alexa brakuje nie tyle krewnych o ustakowanym trybie życia, ile krewnych w ogóle, nie licząc cierpiącego na demencję dziadka i wujka, który siedział za kratkami za kradzież. Żaden z nich nie wydawał się odpowiednim kandydatem. Lisa Zeiger obiecała, że porozmawia z poprzednią nauczycielką Alexa, która może zechce im pomóc.

Sophia zamknęła oczy. Pomysł, żeby tego wieczoru się doszkalać, okazał się nietrafiony. Uznała, że musi się zająć czymś innym niż praca. W tej sprawie zrobiła, co mogła. Jeśli pomoc społeczna będzie jej potrzebować, to sami się z nią skontaktują.

Z sypialni dobiegało coraz głośniejsze chrapanie. Sophia wyłączyła komputer i sięgnęła po pilota. Z pewnością wszystko

ułożyłoby się lepiej, gdyby ona i Peter wybrali się na wspólny urlop. Dla niej ten związek był dobry, miewała już gorszych facetów.

Pogłośniła telewizor i przeskoczyła przez wszystkie kanały ze dwa, trzy razy. W końcu wybrała angielski kryminał. Starszy korpulentny komisarz w cywilu próbował schwytać seryjnego zabójcę, który podczas polowania na lisy uśmiercił ze dwudziestu arystokratów. Miejszem zbrodni był osiemnastowieczny zamek należący do głównego podejrzanego oraz jego przemiej zezowatej matki. Z pozoru bezmyślny policjant krążył po lesie przystrojonym jesiennymi barwami i rozmawiał z podejrzanymi. Nie używał notatnika, miał za to asystenta, który wiecznie się spóźniał. Między jednym blokiem reklamowym a drugim komisarz natrafiał na kolejne ukryte w suchych liściach zwłoki ubrane w lodenowe marynarki, przez co nudne jak flaki z olejem śledztwo rozkręcało się na nowo. Jednak spotkania ze śmiercią sprawiały, że komisarza dopadała melancholia. Wówczas siadał w miejscowym pubie nad kuflem spienionego piwa.

Sophia włączyła opis filmu. Zostało pół godziny do zdemaskowania miłej mamusi, bo to ona okazała się mściwą zabójczynią. Kiedy piękna barmanka podała komisarzowi kolejne piwo, Sophia odłożyła pilota, obróciła się twarzą do oparcia kanapy i zamknęła oczy. Zasnęła od razu. Film leciał dalej.

Obudziła się w nocy. Wyłączyła telewizor i doczłapała do sypialni. Udało się jej jeszcze zdjąć sweter i spodnie, po czym runęła na łóżko obok Petera. Ułożyła się dość blisko niego. Ostrożnie położyła dłoń na jego biodrze i zasnęła.

Śniły jej się piwo, mokre liście, bluszcz i uciekający przed pogonią lis. Rzucił się jej w objęcia, a ona, zupełnie naga, zacisnęła ramiona na jego szorstkim futrze. Zwierzę oddychało szybko, czerwone serce przeświecało mu przez białe tułów. Mrucząc niczym zadowolony kot, lis drapał ją w piersi i lizał w szyję chropowatym językiem. Zaciskał łapki i raz po raz chował pazury. Sophia nie chciała trzymać zwierzęcia, ledwo mogła oddychać, jednak nie miała odwagi go wypuścić.

Kiedy Alex się urodził, wydawało mi się, że wszystko będzie inaczej. Że będzie lepiej. Ale na porodówce było po prostu strasznie.

Tego było już za dużo. Te jego paznokcie i lepkie dłonie, które nie zwalniały uścisku. Ssał, drapał, jęczał, wymachiwał rączkami i popychał mnie głową. Szukał mnie. Rozglądał się za mną pustymi oczkami, wyglądał jak pijany. Szczęki ruszały się w górę i w dół. Gryzł mnie w sutki. Otwierał i zamykał usta, rozdziawiał je, przełykał. Nie miał zębów, tylko te cholernie twarde dziąsła.

I bez przerwy ryczał. Budził mnie. Czegoś chciał. Bez przerwy. Karmiłam go, nosiłam, zmieniałam pieluchy, kołysałam i znów karmiłam. Ja, ja, ja. Myślałam, że to się skończy, ale nie.

Wszystko mnie bolało. Pociłam się na samą myśl o pójściu do toalety. A pielęgniarzka nazywała mnie mamusią.

– Jak się dziś czuje nasza mamusia?

I co niby miałam odpowiedzieć?

– Dziękuję. Mamusia chciała się dziś umyć pod prysznicem, ale krwawiła brunatnymi skrzepami, które zniknęły w odpływie. A potem mamusia poczuła, że coś zwisa jej między nogami. Chciałaby się więc dowiedzieć, kiedy odzyska swoje ciało. Bo mamusia czuje się beznadziejnie. Dziękuję jednak, miło, że siostra pyta.

CAŁA KLASA SŁYSZAŁA, kiedy Karin Lidstrand upuściła długopis na podłogę. Dźwięk nie był zbyt donośny, ale dziecięce spojrzenia zwróciły się na sekundę w jej stronę, po czym skierowały z powrotem na zeszyty.

Minęło siedem tygodni, odkąd Karin i Mia zgłosiły sprawę do pomocy społecznej i Alexa zabrano z domu. Nad Sztokholmem przeszła już ostatnia śnieżycą. Przez kilka dni było tak zimno, że nawet ptaki, które wróciły już z ciepłych krajów, gdzie się pochowały. Potem nadeszło ocieplenie, zakwitł podbiał i

wróciły błotniste kałuże, jednak na lekcjach wciąż było cicho jak makiem zasiał.

Karin jak najostrożniej podniosła długopis i odłożyła go na biurko. Nikt nie zareagował. Jej uczniowie zachowywali się wzorowo. Odkąd Alex odszedł, Karin miała mnóstwo czasu na pracę pedagogiczną. Teraz uczyła Lovego, jak prawidłowo trzymać długopis, i pomagała Sannie liczyć na palcach. Opracowała też zajęcia tematyczne o epoce lodowcowej i zorganizowała wycieczkę do Muzeum Historii Naturalnej. Dzieciaki czytały wszystkie opisy i szemrały między sobą zaaferowane. Cztery krokusy, które rozkwitły na szkolnych rabatkach, trafiły potem do wazonu na pulpicie.

Dwadzieścioro siedmioro siedmio-i ośmiolatków zamkniętych w klasie, a atmosfera jak w domu spokojnej starości. Dziewczynki wyciągały ręce do góry i aż popiskiwały, żeby je wybrać do odpowiedzi bez względu na to, czego dotyczyło pytanie. Jedyнным przejawem rozrabiania było rzucanie kulką z papieru przez kilku chłopców z ostatniego rzędu, próbujących trafić którąś dziewczynkę w szyję. Dzieci uczyły się tego, co trzeba, i to w odpowiednim tempie. Jedyne brak wypolerowanych jabłek, krynolin i grającego na skrzypcach farmera różnił klasę Karin od tej z Domku na prerii.

Z nudów niemal odchodziła od zmysłów.

Podniosła długopis z biurka i zaczęła go obracać między palcami niczym batutę. Potem zebrała włosy na czubku głowy i wpięła długopis w kok.

Może jednak ta przyprawiająca o obłęd idylla kiedyś się skończy. W każdym razie poprzedniego dnia w Karin zrodziła się słaba nadzieja na normalniejsze nauczycielskie życie. Późnym popołudniem zadzwoniła do niej Lisa Zeiger z pomocy społecznej i powiedziała, że opracowali pewien plan w sprawie Alexa. Za pół roku, a niewykluczone że wcześniej, chłopiec miał zostać przeniesiony z powrotem do domu. Wtedy też wróciłby do klasy Karin.

Lisa zapytała, czy Karin nie zechciałaby spotykać się z Alexem i dopilnować, aby nie narobił sobie za dużo zaległości.

Dla niego najlepszym rozwiązaniem byłby powrót do znanego otoczenia. Karin tak ucieszyło to pytanie, że zaczęła się śmiać.

Tęskniła za Alexem. Prawdopodobnie jako jedyna w klasie żywiła takie uczucie. Kiedy go nie było, o wiele rzadziej zdarzały się rozmowy z zaniepokojonymi rodzicami innych dzieci. Mimo wszystko chciała go mieć w swojej klasie. Chciała Alexa Anderssona wraz ze wszystkimi jego problemami i awanturami, które wszczynał.

Karin powoli wstała zza pulpitu, żeby okrążyć salę. Krzesło zaszurało po podłodze. Kiedy tylko skończy dziś pracę, zadzwoni do domu dziecka, w którym jest Alex, i zapyta, czy może go odwiedzić, choćby jutro. Zarówno jej, jak i jej uczniom wydajdzie na dobre to, że Karin zajmie się na moment czymś innym i nie będzie poprawiać ćwiczeń z surowością godną trenera chińskiej reprezentacji gimnastycznej.

Przykucnęła przy ławce Linusa. Leżał przed nim zeszyt w linie. Literki, które skrupulatnie wypisywał, robiły się coraz większe. Zaczynały się na środku, potem przeskoczyły o pół linii wyżej, a potem o całą. Kiedy Linus doszedł do końca kartki, zamiast ćwiczeniem małego „t” zajął się łamaniem kredek kolegi z ławki.

Karin zabrała mu kredki, zgarnęła okruchy z blatu i otworzyła jego zeszyt na czystej kartce. Potem dała mu do ręki ołówek. Pierwsze litery napisała, prowadząc jego dłoń. Resztę miał zrobić sam.

Karin podniosła się, założyła ręce do tyłu i powoli ruszyła dalej wzdłuż ławek. Wszystkie dzieci siedziały pochylone nad książkami. Ktoś wydmuchał nos, Sanna wyrwała kartkę z zeszytu, zgniotła ją i rzuciła na podłogę.

Karin spojrzała na kulkę, która poturlała się pod jej lewą nogę. Nie mogła oderwać od niej wzroku. Plecy oblał jej zimny pot. Pokój jakby się skurczył, ściany zbliżyły się do siebie, a podłoga się kołysała.

Lisa Zeiger z opieki społecznej liczyła na jej pomoc.

Alex Andersson, siedmioletni chłopiec, który – tak długo maltretowany – siedział w tej klasie i rzucał czym popadnie, a ona powtarzała, żeby się uspokoił... ten chłopiec znów się tutaj

pojawi. Karin powoli zacisnęła pięści, spojrzała na palce, po czym je rozluźniła. Stawy miała zastygłe, krew była gęsta i płynęła niemrawo.

Nie chodziło o to, czy jego powrót będzie korzystny dla Karin, ale o to, czy jemu samemu wyjdzie to na dobre. Czy Karin będzie umiała go chronić, mimo że wcześniej jej się to nie udało?

Miesiącami tkwiła w niej myśl, że Alex potrzebuje pomocy, próbowała rozmawiać z innymi nauczycielami, ale nikt poza pielęgniarką jej nie słuchał. Jeszcze przed Bożym Narodzeniem omówiła tę sprawę z dyrektorem.

Wsparta ręką o ławkę, Karin odliczyła do dziesięciu. Powoli ściany klasy wróciły na swoje miejsce. Sanna popatrzyła na nią ze zmarszczonym czołem. Karin poklepała ją po dłoni i w miarę stabilnym krokiem wróciła na katedrę.

– Rozumiesz chyba, że nie możemy się domagać, aby opieka społeczna przejmowała kuratelę nad każdym dzieckiem, które rozrabia na szkolnym boisku – odpowiedział dyrektor, kiedy zapytała go, co powinni zrobić.

Karin czuła się osamotniona. Czy naprawdę była jedyną osobą na świecie, która troszczy się o Alexa? Mimo to minęło wiele miesięcy, zanim wreszcie zareagowała. Tak długo powstrzymywała się przed wszczęciem alarmu. Wmawiała sobie, że nie wie na pewno, że ścisk w żołądku i bezsenne noce to skutek zbyt wielu seriali obyczajowych, których się naoglądała po dziesiątej wieczorem.

W głębi duszy Karin wiedziała, że to nie dzięki niej, a dzięki przypadkowi i odważnej pielęgniarce Alexowi wreszcie ktoś pomógł.

Ja byłem za dużym tchórzem. Zdecydowanie za dużym.

Kiedy Karin siadała za pulpitem, miała miękkie kolana. Dłonie położyła na blacie, żeby nie drżały.

I ciągle jestem tchórzem.

Czasami bawimy się razem, Alex i ja. Robimy sobie zawody. Jest fajnie.

– Ja się nie boję – mówię. Wtedy on wie. Zaczyna się cieszyć. Lubi, kiedy się z nim bawię.

– A ja nie boję się jeszcze bardziej niż ty – odpowiada.

Robimy różne straszne rzeczy. Wspinamy się po nadmorskiej skale za domem. Siadamy tuż nad krawędzią. Alex też, choć widzę, że się boi. Lubi jednak tam siedzieć, trzymając mnie za rękę. Dłoń mi się poci, robi się śliska. Kiedy go puszczam, żeby ją wytrzeć, protestuje i łapie mnie za ubranie.

Wy płynąć na głęboką wodę, wejść do lasu po ciemku. Zupełnie jak Ronja, córka zbójnika, która skakała przez Diabelską Czeluść. Choć ja zawsze mu towarzyszę. Chronię go. On tego chce. Bo tak naprawdę jest dość bojaźliwy.

Albo na przykład w metrze. Kto odważy się podejść najbliżej krawędzi? Ja się nie boję, stoję tak blisko, że palce sterczą mi za rant. Wymachuję rękami, tak na niby. Nie ma w tym nic niebezpiecznego, zawsze zdążam cofnąć się w porę.

Jednak Alex tego nie lubi. Raz się rozplakał, odciągnął mnie do tyłu, chociaż pociąg jeszcze nie nadjeżdżał. Potem nie chciał mnie puścić. Głupio mi było, ludzie się gapili. Musiałam wziąć go na kolana i uspokoić. Boże, ależ się wtedy wystraszył.

Właściwie jako dziecko też się bałam metra. Często, czasami nawet kilka razy w tygodniu, śniło mi się, że spadam na tor. Ktoś mnie popycha, ale nie widzę kto. A potem leżę na dole i krzyczę, wiem, że zginę. Nie mogę ruszyć nogami, nie mogę wstać, tylko tkwię na środku toru, między szynami. We śnie wydawało mi się, że upiekę się na śmierć. Jak poćwiartowany kurczak z różną, pochowany w kawałkach. Jednak zawsze budziłam się, kiedy pociąg był tuż-tuż.

Alex nie lubi, kiedy bawimy się w „nie boję się” w metrze. Może odziedziczył po mnie te sny. A może wszystkie dzieci to tchórze?

Kiedy spotkamy się następnym razem, powiem mu, żeby przestał się przejmować takimi rzeczami. Człowiek musi się tego nauczyć. Tak to już jest.

– PODPISUJECIE LISTĘ obecności?

Lisa Zeiger przesunęła kartkę w stronę siedzącej obok Sophii. Sophia podpisała ją i podała dalej.

W mieszczącej się w Sollentunie placówce do przesłuchiwania dzieci odbywało się drugie zebranie od rozpoczęcia sprawy. Najpierw przesłuchano Alexa. To znaczy formalnie było to przesłuchanie, bo w praktyce Alex się nie odzywał. Próbował z nim porozmawiać psycholog. Alexa zaproszono do jednego z pokojów zabaw, żeby czuł się wystarczająco bezpiecznie, aby mówić. Na próżno. Alex Andersson nie powiedział ani słowa i nie narysował nic, co nadawałoby się do analizy psychologicznej. Nie narysował na przykład podobizny chłopca, którego bije tata i któremu łzy spływają po policzkach. Gwałtownych piorunów i ciemnych chmur też nie. Udało mu się za to rozerwać jedną z przytulanek, odnotowano więc, że dziecko wykazuje skłonność do przemocy.

Już wcześniej ustalono, że po przesłuchaniu odbędzie się krótkie zebranie, podczas którego będzie można wymienić informacje dotyczące postępowania prowadzonego przez policję i pomoc społeczną. W tym czasie Alex siedział w kuchni z praktykantem z pedagogiki i popijał sok. Prokurator musiał wyjść na inne spotkanie.

– Wczoraj po raz pierwszy udało się skontaktować z ojcem.

Przedstawiciel policji, inspektor Adam Sahla, rozejrzał się po zgromadzonych przy stole. Siedział okrakiem na odwróconym tyłem do przodu krześle, jedną rękę trzymając na oparciu. Poza tym odsunął krzesło daleko od stołu, przez co wyglądał, jakby się śpieszył i już zbierał do wyjścia.

– Zadekował się u kolegi. Wydawał się dość trzeźwy. Sam do nas zadzwonił.

– Coś z tego wynikło? – Sophia w zamyśleniu bazgrała w notatniku rozłożonym przed sobą.

– Cóż... – Adam Sahla westchnął i zakasał rękawy koszuli. – Nie wiem, co odpowiedzieć. Ustaliliśmy termin przesłuchania,

ale się nie pojawił. Ustaliliśmy kolejny. Jeśli znów nie przyjdzie, pojedziemy go zgarnąć.

Sahla położył też drugą rękę na oparciu i nachylił się do przodu, przechylając krzesło.

– A powiedział coś przez telefon? – Sophia zaczęła rysować świnię z ryjkiem.

– No tak, oczywiście. To samo co zwykle. Z tym nie było problemu.

– Czyli co powiedział?

– Stara śpiewka: jego żona jest szalona, chce się za coś zemścić, nie wiadomo dokładnie, za co, jest mitomanką, chorą, zwłaszcza psychicznie, za dużo pije, jest na niego zła, też nie wiadomo dlaczego, do tego zmyśla setki bzdur, chce nastawić dziecko przeciwko niemu, nie jest normalna itp. itd. Ta sama historia co zawsze. Znam ten typ.

Wszyscy pokiwali głowami. Sophia dalej rysowała. Świnia w jednej racy trzymała policyjną pałkę, a wokół tułowia miała pas z kaburą.

My name is Bond, Adam Bond, pomyślała.

– Co w takim razie robimy? – Spojrzała na psycholog dziecięcą, Anneli Lind, która siedziała naprzeciwko i mieszała kawę w plastikowym kubeczku. – Macie jakiś plan?

Anneli najpierw zerknęła na Lisę Zeiger, która najwidoczniej uznała, że to świetny moment na porządki w torebce, po czym powoli odłożyła łyżeczkę na stół. Anneli miała ciemne oczy i połyskliwe włosy splecione w gruby warkocz skośnie przewieszony przez ramię.

– Umówiliśmy dwa kolejne spotkania. Porozmawiamy też z matką i wyjaśnimy jej, jak może ćwiczyć z nim opanowywanie agresji.

– To wystarczy?

– Miejmy nadzieję. Nie stać nas na robienie wszystkiego, co byśmy chcieli. W naszych poradniach psychologicznych dla dzieci i młodzieży mamy osiemnaście tysięcy pacjentów, co daje sto dwadzieścia tysięcy wizyt rocznie, gdybyś chciała wiedzieć. I może jeszcze nie słyszałaś, że naszych szesnaście placówek przyjmuje co dwudziestego małego w

Sztokholmie. Przychodzi do nas jeden dzieciak na dwadzieścioro. A wiesz, ilu pracowników się nimi zajmuje? Tymi wszystkimi dziećmi i nastolatkami, które się tną, głodzą i próbują odebrać sobie życie? – Anneli gwałtownie odgarnęła warkocz na plecy. – Szczerze mówiąc... O ile chcesz, żebym wyłożyła kawę na ławę.

Sophia przytaknęła ze wzrokiem wbitym w notatnik.

– Problemy, z jakimi boryka się Alex, sprawiają, że nie możemy traktować go priorytetowo. Co według ciebie mamy zrobić? Wysłać rodzinę na jakiś terapeutyczny talk-show? Na przymusowe wspólne wakacje w jakimś urokliwym zakątku? Być przy nich? Nie mamy na to środków. Miejmy nadzieję, że sytuacja się poprawi, kiedy chłopiec wróci do domu. Kiedy już uporamy się z pozostałymi problemami.

Anneli znów zaczęła mieszać kawę. Jednorazowa łyżeczka zgrzytała, ocierając o kubek. Anneli oblizała ją i skrzywiła się lekko, po czym ciągnęła:

– Najlepiej byłoby, gdyby ktoś zdiagnozował go wcześniej. Ktoś powinien był postawić diagnozę już lata temu. Jego nastroje na pewno nie są niczym nowym. Matka twierdzi, że odkąd pamięta, był agresywny i porywczy. To niesamowite, że takie dzieci odbywają kolejne wizyty w przychodni i kończą przedszkole, a nikt nie reaguje. Ktoś powinien był sprawdzić, czy Alex nie cierpi na ADHD lub inne schorzenie. Takie rzeczy można ze skutkiem leczyć farmakologicznie. – Anneli z westchnieniem odstawiła kubek i zapisała coś w notatniku. – Postaram się... Zobaczymy, co da się zrobić w tej sprawie.

– A jeszcze nic nie zostało zrobione?

Kattis, kierowniczka placówki do przesłuchań dzieci, wyglądała na zaskoczoną. Lisa czyściła chusteczką zakrętkę balsamu do ust. Nikt nie odpowiedział.

– Nie wiemy więc, czy dziecko należy poddać terapii? – Nadal cisza. – Czy potrzebuje pomocy medycznej?

Sophia wpatrywała się w okno. Było uchylone, z dali dobiegała syrena karetki przedzierającej się przez zatłoczone ulice.

Dziecko pada ofiarą przemocy, a my dyskutujemy o tym, co z

nim jest nie tak. I o tym, że brak środków, aby je wyleczyć. Alexa należy nauczyć kontrolowania agresji i przeprowadzić testy na ADHD. Jednak jest zbyt zdrowy, żeby został potraktowany priorytetowo przez poradnię psychologiczną. Jego ojca z kryminalną przeszłością, który, jak sądzimy, znęcał się nad Alexem, uprzejmie umawiamy na spotkanie. A kiedy się nie zjawia, równie uprzejmie wyznaczamy mu kolejne. I tak będziemy to ciągnąć, dopóki Alex nie osiągnie pełnoletności, bo wtedy zostanie zamknięty w odpowiednim zakładzie.

Sophia odłożyła notatnik. Nie miała już siły zadawać kolejnych pytań ani słuchać następnego wykładu o trudnych warunkach pracy.

Co za bezowocne spotkanie. Po co właściwie chciała brać w nim udział? Przecież nie cierpi zebrań.

– Dawno większej bzdury nie słyszałem. – Adam Sahla zaśmiał się krótko. – Najprawdopodobniej nad tym dzieckiem znęcano się od urodzenia. Nie trzeba psychologa, aby stwierdzić, że jeśli ktoś w tej rodzinie potrzebuje leków, to na pewno nie Alex Andersson.

Inspektor zatknął sobie długopis za ucho i jeszcze szerzej rozsunął nogi. Sophia spojrzała na niego zaskoczona. Sahla wskazał ruchem głowy jej notatnik.

– Niezły rysunek. Całkiem podobna.

Z pałającymi ze wstydu policzkami Sophia zakryła dłonią notatnik. Potem zacisnęła palce i wyrwała kartkę, po czym podała rysunek na drobne kawałeczki, które zgarnęła w równą piramidkę.

Bez sensu. To spotkanie było zupełnie bez sensu.

– Sophia? – Inspektor Adam Sahla wyszedł na korytarz i położył jej dłoń na ramieniu. – Masz chwilę? Pomyślałem, że może mógłbym ci przedstawić nieco mniej oficjalne sprawozdanie z postępów naszego dochodzenia. To znaczy gdybyś miała ochotę. No i chciałbym coś zaproponować.

– Chętnie. – Sophia odgarnęła grzywkę z czoła i wyprostowała się. Zaproponować? Czyżby chciał mnie teraz gdzieś zaprosić? Nie mam czasu, muszę być w sądzie za niecałą godzinę. – Jasne. Wyjdziemy gdzieś? Chociaż nie, chyba lepiej

będzie, jeśli tu zostaniemy.

– W sumie możemy to omówić tutaj. Właściwie chciałem ci przekazać kilka dokumentów. Uważam, że powinnaś je przeczytać. Nie dlatego, że znajdziesz w nich odpowiedzi, ale wydaje mi się, że powinny trafić do ciebie. Nie obraż się, ale chyba w tej sprawie jesteś trochę do tyłu. Nie mam nic złego na myśli. Ogólnie rzecz biorąc, radzisz sobie nieźle. Jeśli masz jakieś pytania, to może przysiądziemy w pokoju zebrań. Jest wolny, pytałem.

– Dobrze. – Więc jednak nie chce mnie nigdzie zaprosić. Na siłę uniosła kąciki ust, zmuszając się do czegoś w rodzaju przejmego uśmiechu. Jak to do tyłu? Wcale nie jestem do tyłu. Bo niby jak? Sprawie Alexa Anderssona poświęciłam chyba trzy razy więcej czasu niż ten, za jaki mi płacą. Czyżby pan policjant się obraził? Aż tak dotknął go ten rysunek?

– Właściwie to nie bardzo mam wolną chwilę. Niestety. Skoro jednak twoim zdaniem nie bardzo wiem, czym się zajmuję, to chyba lepiej będzie, jeśli jednak pójdziemy do tego pokoju.

Sophia czuła, że zaciska usta. Mówiła ciszej. Zawsze mówiła ciszej, kiedy czuła, że ogarnia ją złość. Adwokat nie może stracić panowania nad sobą. Niewielu mężczyzn ma tak duży autorytet, aby podnosić głos i nie brzmieć przy tym głupio. Kobietom szło to jeszcze gorzej. Wydzierających się bab nie można brać na poważnie.

– Coś mi się wydaje, że to ty masz kilka pytań do mnie.

Adam się wyprostował.

– Nie, nie. – Powoli pokręcił głową. – Chyba mnie źle rozumiałaś. Miałem zamiar dać ci więcej materiałów, nie chciałem być niemiły.

Oczywiście, że chciałaś, pomyślała Sophia. Chciałaś, ale to nieistotne. Po prostu powiedz, o co chodzi.

– Jak wiesz, Alex Andersson nie jest wygadany dzieckiem.

– No nie.

– Nie chce pisać ani słowa, co wcale nie ułatwia nam pracy.

– Wiem. Jak się może orientujesz, do moich obowiązków należy uczestniczenie we wszystkich przesłuchaniach, tak więc

trudno byłoby mi przeoczyć tę cechę jego osobowości. Nie bardzo jednak rozumiem, co według ciebie mogłabym z tym zrobić.

– Naprawdę źle mnie zrozumiałaś. Tak samo jak tobie zależy mi, żeby dowiedzieć się, co się stało. Może nawet bardziej. Wydawało mi się, że mogłabyś pomóc nam to wyjaśnić. Najwidoczniej się myliłem.

– Wcale się nie myliłeś. Chętnie pomogę. – Teraz mówiła już tak cicho, że Sahla musiał się nieco przysunąć, żeby słyszeć. – To znaczy pod warunkiem, że będzie to korzystne dla mojego klienta. Rozumiesz chyba, że moją rolą nie jest pomaganie policji, tylko chronienie interesu mojego klienta.

Adam uniósł ręce i cofnął się o krok. Zadzwoiła jego komórka. Trzymając ją w dłoni, spojrział na Sophię. Zamrugał ciemnobrązowymi oczami, a między brwiami pojawiła się zmarszczka.

– Zapomnij, co powiedziałem. Muszę się teraz zająć czymś innym. Zadzwoń jednak, gdybyś miała jakieś pytania. – Odebrał połączenie. – Zaczekaj dwie sekundy. – Z telefonem przyciśniętym do piersi Sahla znów zwrócił się do Sophii: – Wydawało mi się, że może dałabyś radę przekonać małego, żeby zaczął mówić, gdybyś wiedziała więcej o jego matce. Ale zapomnijmy o tym. Skoro psychologom się nie udało, tobie pewnie nie poszłoby lepiej. Głupio z mojej strony, że o tym pomyślałem...

Znów przyłożył aparat do ucha i skinął głową w stronę Sophii, obrócił się i ruszył przed siebie, mamrocząc coś do telefonu. Sophia słyszała jego oddalające się kroki.

Taki z ciebie typ, pomyślała. Taki, co to ratuje świat. Wydaje ci się, że jeśli tylko zrozumiesz, będziesz mógł pomóc. Psycholog amator, humanista, atleta i idealista w jednym przyciasnym cywilnym ubranku. Proszę, proszę, kogo przyszło mi spotkać w samym środku tygodnia.

Popatrzyła na plecy Adama. Przystanął w głębi korytarza i mówił coś do telefonu, ze złością wymachując jedną ręką.

Chciałeś, żebym lepiej poznała matkę Alexa Anderssona i w ten sposób mogła z nim łatwiej nawiązać rozmowę. Wydawało

ci się, że u kobiet w tym wieku instynkt macierzyński jest najsilniejszy, ale po chwili zmieniłeś zdanie.

Sophia poprawiła żakiet. Policzki wciąż ją paliły.

Jeśli czegoś w tym życiu nie muszę poznawać lepiej, to zapijaczonych matek, którym się wydaje, że to nie ich wina. Czemu niby miałabym wysłuchiwać, jaka to z niej bidulka? Chcę pomóc Alexowi, ale nie sądzę, żeby na tym polegało rozwiązywanie tej sprawy. Gdybym miała pieniądze, gdyby były na to środki, to znalazłabym psychologa dziecięcego, który lubi dzieci, a nie jakąś babkę, która wygłasza pogadanki na temat statystyk poradni dla małoletnich. Tak właśnie bym zrobiła. Być może dobry psycholog skłoniłby Alexa do mówienia.

Zawsze znajdzie się ktoś, kto uważa, że powinnam pracować więcej i odwalić za niego robotę. Niby po co miałabym dowiadywać się czegoś o tej podłej matce Alexa? Bo gdy zrobi mi się jej żal, to skłonię go do mówienia? Akurat. Jestem adwokatem, nie płacą mi za to, żeby było mi kogoś żal. Wręcz przeciwnie. Za kogo on się uważa, ten inspektor Sahla?

Sophia pożałowała swoich myśli, gdy tylko otworzyła drzwi. Alex stał i wpatrywał się w regał z książkami. Kiedy usłyszał szcęk klamki, obrócił głowę. Psycholog siedziała na sofie i robiła na drutach. Alex nie mógł jeszcze wrócić do domu dziecka. Musiał poczekać na Lisę Zeiger, która towarzyszyła innemu dziecku przesłuchiwanemu w pokoju obok.

Sophia mogła po prostu wyjść, ale chciała się pożegnać z Alexem. Być może chwilę z nim porozmawiać, udowodnić samej sobie, że potrafi, że inspektor się mylił.

Jednak Alex patrzył na nią tak jak zwykle. Pustym wzrokiem.

Mimo wszystko postanowiła przysiąc na chwilę. Głupio było ot tak obrócić się na pięcie i wyjść, nie mówiąc ani słowa.

Wysłuchiwała się w szcęk drutów Anneli. Alex położył się, przykładając policzek do pasiastego dywanika. Bawił się samochodzikami, popychając go w tę i z powrotem. Auto miało błyskające światelko na dachu i brzęczało cicho, kiedy koła obracały się do tyłu.

Sophia wstała.

– To na razie.

Alex nie odpowiedział.

Musiała się zbierać do sądu. Już była spóźniona.

– Do usłyszenia.

Psycholog spojrzała na nią znad swojej robótki i skinęła głową. Czoło miała lekko zmarszczone, bo właśnie po cichu liczyła oczka. Samochodzik nadal brzęczał.

Ciekawe, co to za materiały o Lindzie Medner Andersson inspektor chciał mi dać do przeczytania, pomyślała Sophia. Muszę do niego zadzwonić i poprosić, żeby je przesłał. Powinnam naturalnie zapoznać się ze wszystkimi materiałami, którymi policja chce się ze mną podzielić. To moja praca.

Zamknęła za sobą drzwi i zbiegła po schodach.

Zadzwonię do niego później, po rozprawie.

Wyjęła z kieszeni komórkę i wybrała numer korporacji taksówkarskiej.

Zadzwonię, kiedy tylko będę mogła. Kiedy tylko będę miała chwilę, zbadam wszystkie te mało interesujące detale o kolejnej beznadziejnej kobiecie, a w tym czasie inni będą rozpaczliwie szukali powodu, aby poddać mojego klienta leczeniu farmakologicznemu.

Alex zawsze był dziwny. Ci z pomocy społecznej zachowują się, jakby to była jakaś nowość, a nie jest. Na przykład w przedszkolu gryzł inne dzieciaki. Jedną koleżankę ugryzł tak mocno, że na policzku widać było odcisk niemal każdego zęba. Jej rodzice dostali szału. Jakby sądzili, że Alex ma wściekliznę i chciał zabić ich brzydką córeczkę. Jakby w ogóle miał coś do niej.

On po prostu gryzł. Tak było. Teraz już mu przeszło, ale długo to trwało. Chyba ponad rok. No i bił się ze wszystkimi, z opiekunkami też, i rozrywał zabawki. Jeśli wpadły mu w ręce nożyczki, ciął co popadło. Rębał nimi, stukał, piłował, dłubał. To akurat robi nadal.

Przedszkolanki bez przerwy na niego narzekały, ciągle coś się działo. Codziennie rano stałam w korytarzyku z szafkami, pocilałam się, bo było tam parno jak w saunie, i kiwałam głową. Po raz osiemnasty musiałam wysłuchiwać tych samych gadek, a potem w domu miałam zrobić z niego

nowego człowieka. Spokojne dziecko, które lubi rysować, nie łamiąc przy tym wszystkich kredek. Które rysuje po papierze, a nie po meblach. I które chętnie siedzi w sali podczas śniadania, wypoczywa podczas leżakowania i wychodzi na dwór, kiedy jest pora zabaw na świeżym powietrzu – kiedy wszystkie panie robią sobie przerwę. Wszystkie z wyjątkiem dwóch, które mają dyżur, ale nie mają dość czasu, by bez przerwy pilnować Alexa.

Narzekały, że odbieram go za późno. Dla dzieci dni są krótsze, dzieci nie mają dziesięciogodzinnego dnia pracy.

Kretyńskie kazania.

Bo po pierwsze dlaczego przedszkole jest otwarte do szóstej, skoro dzieci nie mogą w nim siedzieć tak długo? Nietrudno się było zorientować, że trzeba odbierać dzieci wcześniej, żeby te babsztyłe miały spokój i nie robiły tego, za co im płacono. I te idiotyczne wymysły, że dzieci nie mają dziesięciogodzinnego dnia pracy. Jakby siedzenie w przedszkolu, układanie klocków i jedzenie obranych jabłek było robotą. Jasne. Tak historyczne idiotyzmy, że już w połowie człowiek miał dość. Ot, leniwe baby, którym się nie chce zajmować dziećmi.

Ale miałam je gdzieś. Nigdy nie przychodziłam po niego wcześniej tylko dlatego, że im tak pasowało. O nie!

Sądziłam, że będzie lepiej, kiedy Alex zacznie szkołę, ale skąd. Tam też tyle zrzędzą.

Właściwie nie rozumiem, dlaczego to niby moja wina, że Alex nie robi tego, co według nich powinien. Niby jak miałabym dopilnować, żeby się tak nie zachowywał w szkole? Miałabym tam z nim siedzieć cały dzień czy co? Nie pojmuję. Przecież to one, nie ja, mają się nim zajmować, kiedy jest w szkole. Przecież to one są wtedy za niego odpowiedzialne. Nie za to im płacą? Czyżbym źle zrozumiała ideę całego tego systemu?

Dla mnie to jasne: w ciągu dnia to wy się nim zajmujecie, a ja mam gdzieś, co robicie. Ale to wasza robota, więc nie narzekajcie mi potem. Ja odbieram go wieczorem i wtedy przejmuję opiekę.

MAJOWE SŁOŃCE ROZGRZEWAŁO się ostrożnie. Karin Lindstrand zaparkowała na żwirowym placu przed jednopiętrową willą. Drzwiczki zatrzasnęła zdecydowanie za mocno, była zdenerwowana.

Wreszcie się tu znalazła. Przez ostatnie dwa miesiące na chwilę przed zaśnięciem stawała jej przed oczami zapłakana twarz Alexa Anderssona. Jego łzy. Gdy zabrały go do szpitala na prześwietlenie. Nienawiść w jego oczach, kiedy to wraz z pracownikiem pomocy społecznej zostawiły go w pogotowiu opiekuńczym. Wtedy zrozumiał, że nie wróci do domu. Teraz mieli się spotkać ponownie.

– To jeden z najlepszych rodzinnych domów dziecka w Sztokholmie – powiedziała wcześniej Lisa Zeiger. – Choć mieszka tu trochę za dużo dzieci. Alexowi trzeba poświęcać dużo uwagi, więc najlepiej byłoby, gdyby mieszkał sam z dwójką dorosłych, ale akurat wszystkie takie rodziny były zajęte. Zresztą Lena i Per, którzy prowadzą ten dom, to najlepsi ludzie, jakich można sobie wyobrazić.

Karin mimowolnie pomyślała o doniesieniach o rodzinach zastępczych, które brały tyle dzieci, ile się dało. Na małoletnich ofiarach można było nieźle zarobić.

– Witamy! – Mężczyzna w dżinsach i niebieskim T-shircie z długim rękawem wyszedł z domu i szybkim krokiem ruszył w stronę Karin, wyciągając do niej dłoń. – To ja jestem Per.

Karin odetchnęła.

– Miło mi.

– Trudno było trafić?

– Nie, nie. Skądże. Wskazówki były bardzo jasne.

– Jak się pani czuje? Pewnie się pani denerwuje?

– Owszem. – Karin nieco się zdziwiła. – Widać to po mnie?

– Tak. Zresztą to normalne. Domyślałam się, że Alex jest dla pani ważny.

– Mhm... – Poczwała, że ucisk w żołądku nieco zelżał.

– Napije się pani kawy czy woli pani od razu iść do niego?

– Może najpierw się z nim przywitam. – Wiedziała, że nie przelknie ani łyka kawy, dopóki nie zobaczy, jak Alex wygląda, jak mieszka, czy zagoiły mu się blizny po przypaleniach. – Jeśli nie ma pan nic przeciwko.

Drzwi do stajni miały co najmniej dwa metry szerokości. Były zrobione z drewna i wisiała na nich sztaba z kutej stali. Per musiał się zaprzeć, żeby ją unieść. Potem otworzył skrzydła na oścież, używając do tego podkowy, która leżała na progu.

Kamienna podłoga wyglądała na świeżo zamiecioną. Wszystkie boksy były wyściełane ciemnym, miękkim torfem. Z jednego z nich wyrżał jakiś ogolony na łyso czternastolatek z czerwoną blizną na czole.

– Dzień dobry.

– Zdążyłeś może zadzwonić? Aha, to Karin, znajoma Alexa.

– Miło mi. – Chłopak kiwnął głową w stronę Karin. – Tak, dzwoniłem. Zostawiłem wiadomość. Nikt nie odbierał.

– No dobrze, to spróbuj, proszę, jeszcze raz. Wiesz może, gdzie jest Alex?

– Pewnie u Felixa, jak zawsze. – Chłopak się uśmiechnął. – Prawdziwa miłość gejowska. Wspaniale.

– Kim jest Felix? – Z nerwów żołądek aż podskoczył Karin do gardła.

A może to tylko ktoś w jego wieku, zdążyła jeszcze pomyśleć, jakiś miły chłopiec. Tylko tego brakowało, żeby tak wrażliwe dziecko jak Alex zadawało się z nastoletnimi przestępcami.

– Zaraz się pani przekona – odparł z uśmiechem Per i otworzył boks położony cztery metry dalej. – No proszę – dodał szeptem. – Może jednak najpierw napijemy się kawy.

Karin zajrzała do środka. Alex leżał zwinięty w kłębek na wiązce siana, które pachniało tak mocno, że aż zakręciło ją w nosie.

Najwidoczniej dopiero co obcięli mu włosy, pomyślała. I wykąpali go.

Spał. Dłoń miał zaciśniętą w pięść, buzię do połowy otwartą. Jedna tenisówka zsunęła mu się ze stopy na ziemię. Obok stał kasztanowy koń ze spokojnie zwieszonym łbem, trzymając pysk tuż obok policzka Alexa. Obrócił się powoli i spojrzał na Karin.

– Pozwoli pani, że przedstawię Felixa, to najlepszy przyjaciel Alexa. – Per wciąż mówił szeptem. – On sam też był problematycznym dzieckiem, że tak powiem. To znaczy na początku, ale teraz Felix to poczciwy staruszek. Prawda, chłopie?

Per otwartą dłońią poklepał Felixa po gładkim karku. Koń nadał nozdrza i wydał z siebie głośny świst. Jakby prychnął.

Wtedy Alex się obudził. Przeciągnął się, po czym popatrzył Karin prosto w oczy.

Nie zdążyła nawet zareagować. Alex błyskawicznie spuścił nogi na podłogę i pokonał dzielące ich dwa metry, po czym rzucił się jej na szyję. Splótł ręce na jej karku, a Karin podniosła go i oparła jego chudziutkie chłopięce nogi o swoje biodra.

Przez chwilę tulił się mocno do Karin, po czym uwolnił się z uścisku. Włożył buty, które wcześniej zgubił, i chwycił Karin za rękę, żeby ją oprowadzić po stajni. Z dumą zaprezentował jej sześć koni ustawionych w boksach. Potem pomachał Karin i Perowi. Miał do nich dojść później, bo najpierw musiał uporać się z czesaniem koni, wyczyszczeniem im kopyt i innymi zadaniami, które Karin nie do końca rozumiała.

– To naprawdę przynosi skutek? – zapytała Karin, kiedy wyszli ze stajni. – Myślałam, że to tylko takie mity. To znaczy to, że dzieci zabiera się na wieś, gdzie mogą się stykać ze zwierzętami i przyrodą. I gdzie spotykają kogoś, kto przypomina im ojca. – Z uśmiechem spojrzała na Pera.

Nachylił się do płotu i zaczął ocierać obcas buta o leżący na ziemi kamień.

– Nie, to nie do końca tak. To znaczy, owszem, coś w tym jest. Ale sam nie wiem, czasami wydaje mi się...

Zamilkł. Karin czekała na ciąg dalszy.

– Ja i Lena zajmujemy się tym domem od dwunastu lat, ale szczęśliwych historii możemy opowiedzieć raczej mało. Zazwyczaj jest okropnie, dzieciaki nas nienawidzą, uciekają stąd do centrum, do metra albo na ten czy inny kurwidolek. A my gonimy za nimi. Zaglądamy pod zapleśniałe koce, żeby sprawdzić, czy pod spodem nie leży któryś z naszych

wychowanków. Jeździmy z wyłączonymi przednimi światłami, ludzie biorą nas za żądną przygód parę, która zapłaci za seks nastolatce z jednego z krajów bałtyckich, tak chudej, że wygląda na dziesięć lat. A to wszystko, żeby znaleźć nasze dzieciaki i sprowadzić je do domu. Tylko po to, żeby następnego dnia znów uciekły. Ale Alex to dobry chłopiec. On... – Per odchrząknął. – Jest jeszcze mały. I to pod każdym względem. Nie wdał się jeszcze w narkotyki, jak sądzę. Kto wie, może wszystko pójdzie w dobrym kierunku.

Karin przełknęła ślinę.

– Chyba tutaj nikt go w to nie wciągnie? Bo chyba sporo tu nastolatków, które się w to bawią. Mam na myśli narkotyki.

– Nasze dzieciaki codziennie rano muszą nasikać do kubeczka. To znaczy większość z nich, Alex nie. Jeśli odmówią, nie mogą zostać. Muszą, takie są zasady dla większości tych, którzy mają problemy z narkotykami. Zgodnie z ustaleniami mam też prawo sprawdzać, czy nie piją. Zazwyczaj to wystarcza. Mamy taką umowę, którą muszą podpisać. To znaczy ci, którzy trafiają tu z powodu swojego sprawowania, czyli ćpuny i złodziejaszki. Muszą obiecać: żadnych bójek, żadnych prochów. Ja i Lena też podpisaliśmy taką umowę, każde swoją. Zawiesiliśmy je na ścianie w kuchni. Nie pijemy, nie ćpamy i nie bijemy się. Najwyżej klócimy się i zrzedzimy. Choć o tym nie ma nic w umowie, o dziwo. Większość z nich przestrzega naszych reguł, a ci, którzy tego nie robią... cóż, takich też rzadko stąd wyrzucam, bo jak bym mógł? Jednak tacy rzadko zostają dłużej. Jeśli zaś chodzi o Alexa, to teraz ma dokoła zdecydowanie mniej narkotyków niż w domu. Tak, teraz ma wokół siebie zdecydowanie mniej takich brudów. To jasne. Właściwie to dziwne, że nie eksperymentował z używkami dorosłych. Dzieci często tak robią. Ale Alex... wydaje mi się, że jeszcze nie zaczął, z reguły to po nich widzę. Może zabrzmi to jak jakieś czary-mary, ale kiedy zaczynają brać, w ich spojrzeniach jakby czegoś brakuje. Tylko że jeśli jego rodzice się nie ogarną, to wkrótce i on w to wpadnie. Zazwyczaj dzieci, które dorastają w takich warunkach jak Alex, zaczynają w wieku ośmiu, dziewięciu lat.

Karin przytaknęła, tylko na tyle było ją stać. Ścisnęła ją w gardle. Per mówił dalej:

– Dzięki Bogu on tego czegoś jeszcze nie stracił. Jeśli popatrzeć mu w oczy, można zajrzeć prosto w duszę. Duszę istoty wystraszonej i złej na innych. Bo Alex wciąż jest wściekły. Z jakiegoś powodu mnie nienawidzi trochę mniej, ale Lenie już się tak nie poszczęściło. Jej naprawdę nie cierpi. Wprawdzie chłopcom takim jak on zazwyczaj brak ojca, ale mimo wszystko to dziwne. Ojcowie znikają, matki trwają. Jego mama często go odwiedza. Choć wydaje mi się, że wtedy Alex wścieka się jeszcze bardziej.

– Jak pan sądzi, czy on się zmienił, odkąd tu przyjechał?

– Tak, chyba tak... Na pewno jeśli chodzi o jedzenie.

Karin ze zdziwieniem spojrzała na Pera.

– Co pan ma na myśli?

– Kiedy do nas trafił, nie robił w zasadzie nic innego, tylko jadł. Zjadał wszystko, co podawaliśmy, porcję za porcją. A kiedy przygotowywaliśmy posiłki, nie dało się go wygonić z kuchni. Podkrażał jedzenie i chował pod materacem w pokoju. Pewnego razu znalazłem tam kawałek mortadeli.

Per się zaśmiał. Karin przełknęła ślinę.

– To częste. Dzieci, które głodują, kiedy ich rodzice mają cięższy okres, są nauczone, żeby jeść, kiedy trafia się okazja. Alexowi i tak daleko do pierwszego dziecka z tą przypadłością, które tu mieliśmy. W takich sytuacjach musimy zamykać lodówkę i spiżarnię na klucz. Nie dlatego, że skąpimy im jedzenia, ale po to, żeby nie chowali go w pokojach. Nie chcę, żeby w domu zagnieżdżyły się szczury. Zazwyczaj po paru tygodniach sytuacja się poprawia, tak było w przypadku Alexa. No i teraz lepiej sypia. Na początku budził się za każdym razem, kiedy do niego zaglądaliśmy. Bez względu na to, czy była trzecia w nocy, czy siódma rano, spoglądał na nas z łóżka wzrokiem zbitego psiaka. Nigdy nie spał, a teraz musimy go budzić, żeby zdążył do szkoły.

– A jak mu idzie w szkole?

– Tak sobie. Często wdaje się w bójki. Chociaż kto jak kto, ale pani dobrze wie, jak to z nim jest. Nauczycielka twierdzi

jednak, że Alex chodzi na wszystkie lekcje, a w zeszłym tygodniu przyłapałem go w pokoju, jak głośno czytał coś pod kołdrą. Nie chciał się przyznać, że odrabiał pracę domową. Ze mną nigdy nie chce jej odrabiać, ale robi wszystko, co jest zadane. No i lubi Felixa. Chyba dużo z nim rozmawia.

Karin poczuła, że łzy stają jej w oczach. Alex rozmawiał z kolegą i odrabiał prace domowe. Alex, jej Alex, leżał pod kołdrą i czytał na głos, uczył się sylabizować.

– Oczywiście widać postęp. Choć przyznaję, że nie bardzo podoba mi się ten pomysł z powrotem do domu. Uważam, że to za wcześnie.

– Ale przecież jego mama wyrzuciła swojego męża. I zaczęła chodzić na spotkania dla uzależnionych.

– Tak, tak. Tak się mówi. Ja jednak wiem, że Alex jest wykończony po jej wizytach. Ona... nie jest dla niego dobrą matką. Znam ten typ. Zjada ludzi. Wysysa z nich dusze. A już najbardziej ze swoich dzieci. Wie, co powiedzieć, co zrobić, żeby przekonać do siebie ludzi. Jasne, że chodzi na odwyk. Ładna, czarująca z niej kobieta, ale nie znosi sprzeciwu i jest śmiertelnie groźna. Należy do osób, które potrafią się dostosować do sytuacji, a takie są najniebezpieczniejsze.

– Mimo wszystko to jego matka.

– Cóż, ona tak twierdzi. Ja jednak uważam, że chce go mieć w domu tylko dlatego, że Alex kocha ją bezgranicznie, jak to dziecko. Wydaje mi się, że ona nie potrafi kochać, ale chyba czerpie satysfakcję z tego, że otacza się ludźmi, którzy ją kochają. Nie wiem, czy rozumie pani, co mam na myśli?

Per pokręcił głową. Dłonią zaciśniętą w pięść dotknął ramienia Karin, po czym przestał się opierać o płot i ruszył dalej.

– Chociaż, z drugiej strony, co ja właściwie wiem? Czy mam prawo przeprowadzać takie amatorskie analizy? Mój Boże, jakie to wszystko przygnębiające. No nic, dajmy spokój matce Alexa. Napijemy się kawy i coś przegryziemy. Musimy nabrać trochę energii, na wypadek gdyby Alex, po uprzątnięciu boksów, znów zaczął się bić. Dobry humor nie towarzyszy mu zbyt długo. Zatem: kawa! W końcu jesteśmy na wsi, a tak

właśnie się tu robi. Ratujemy cudze dzieci, pieczemy ciasta i popijamy kawę. Nie za ładnie tu pachnie, trzeba chodzić w gumiakach przez cały rok, a wszystkie ubrania kupujemy na stacji benzynowej tuż obok głównej drogi, ale kawę potrafimy zaparzyć. Aha, tylko muszę uprzedzić, że w kuchni jest naprawdę brudno.

13

TO BYŁ JEDEN z tych pogodnych czerwcowych wieczorów, kiedy wszystko idzie jak trzeba, praca to tylko praca, a życie kręci się wokół czegoś innego. Sophia właśnie wyszła z kancelarii, żeby zjeść wczesną kolację z Peterem, Anną i jej mężem Christopherem.

Wcześniej tego dnia rozmawiała z Lisą, która zdała jej krótkie sprawozdanie. Alex Andersson czuł się coraz lepiej w rodzinnym domu dziecka. Wszystko szło zgodnie z planem, mama chłopca robiła co należy, ojciec trzymał się z daleka od rodziny. Alexowi wciąż nie wyznaczono terminu badań psychiatrycznych, planowano jednak to zrobić przed końcem lata, ostatecznie jesienią.

Sophia miała zamiar świętować. Już od dawna nigdzie nie wychodzili z Peterem, z Anną nie widziała się jeszcze dłużej. Mogłaby uczyć choćby to, że wciąż ma tych ludzi obok siebie.

W ogródkach restauracyjnych przy Strandvägen było pełno klientów, wszędzie pobrzękiwały sztuce. W parku Kungsträdgården odbywał się kulinarny festyn, na dużej scenie grał jakiś rockman z włosami zebranymi w cienki kucyk i ze srebrnym sygnetem na palcu. Wracający do domów biznesmeni rozluźniali kołnierzyki koszul i ciasno zawiązane krawaty. Wieczne słońce nie grzało zbyt mocno, mimo to ubrani na biało świeżo upieczeni absolwenci liceów³ krążyli po

³Szwedzcy maturzyści świętują zakończenie liceum ubrani na biało, tego dnia otrzymują też czapki studenckie. Po uroczystościach w szkole zazwyczaj wybierają się na miasto, często w ciężarówkach ze specjalnie udekorowanymi przyczepami.

mieście z gołymi nogami. Śpiewali głośno i fałszywie swoimi młodzieńczymi głosami.

Przy zamku królewskim Sophia minęła rodzinę niemieckich turystów, którzy próbowali nakłonić trzylatka, żeby spojrzął w obiektyw. Zupełnie niepotrzebnie, bo młody chłopak we włożonej na bakier czapce studenckiej, który zaoferował się pstryknąć im zdjęcie, i tak miał zamiar uwiecznić tylko ich stopy. Obok stała jego dziewczyna i rechotała, zasłoniwszy sobie usta dłonią ze świeżo pomalowanymi paznokciami.

Sophia uśmiechała się do siebie przez całą drogę na półwysep Blasieholmen. Ktoś wymiotował tuż przed barem na „Chapmanie”⁴. Stado mew urządziło sobie zabawę na zabytkowych deskach okrętu, a zawieszane na linach wimble furkotały na wietrze.

Sophia, Peter, Anna i Christopher wybierali się do restauracji położonej na południowym krańcu Blasieholmen, tuż przy moście Skeppsholmsbron. „Bez fajerwerków, ale niezłe miejsce na ustawkę”. Okazało się jednak, że w środku trudno było się gdziekolwiek ustawić. Nie dało się nawet dopchać do baru.

Z założenia w lokalu miało być przytulnie, goście powinni się czuć nie jak w restauracji, a jak w domu dobrego przyjaciela. Jednak nikt nie powitał ich przy wejściu, a szatnia znajdowała się w ciemnym kącie. Niepilnowane przez nikogo wieszaki wisały na matowym chromowanym stojaku.

Minuty mijały, ale nikt nie podszedł, żeby ich przywitać, Sophia zaczęła więc podejrzewać, że wyimaginowany przyjaciel nie ucieszył się nadmiernie z ich wizyty.

Po dwudziestu pięciu minutach pojawił się kierownik sali i poinformował ich, że stolik, który zarezerwowali tydzień wcześniej, „będzie dostępny nieco później”. Wtedy Christopher grzecznie zapytał podniesionym głosem, żeby przekrzyczeć Shelter from the Storm, od którego głośniki aż się trzęsły, czy nie mogliby tymczasem przysiąść na oznaczonych jako zarezerwowane fotelach w głębi lokalu.

– Wyluzujcie, mili państwo – odparł kelner, stanowczo

⁴ Żagłowiec zacumowany przy brzegu wyspy Skeppsholmen w centrum Sztokholmu.

kręcąc głową. Najwidoczniej musieli czekać na stojąco. – Jest piątek, cieszymy się końcem tygodnia.

Wyszli więc. Na schodach zaczęli się śmiać, czuli się, jakby właśnie popisali się odwagą. Wieczorne powietrze wciąż było przejrzyste.

Wyelegancony kelner z położonego tuż obok Grandu zachowywał się mniej poufale, znalazł im za to osobny stolik.

Mąż Anny zamówił butelkę schłodzonego szampana z dobrego rocznika.

– Ja stawiam – oznajmił. – Zasłużyliśmy sobie.

Peter podziękował. Poprosił o wodę z cytryną bez lodu. I tak oto czar tego wieczoru przyl.

Nad przystawką Peter opowiedział im o różnicy między białym bordeaux a białym burgundem. Przy drugim daniu wyjaśnił im, jak należy smażyć mięso i wymawiać boeuf Bourguignon. Teraz kończyli deser. Peter i Christopher sprzeczali się o to, która płyta Rolling Stonesów wyszła najpierw, Exile on Main Street czy It's Only Rock and Roll. Towarzystwo obalało właśnie trzecią butelkę czerwonego wina, ale Peter nie wypił ani łyka.

– Nadal chcesz kupić sobie psa? – Anna odwróciła się do Sophii, próbując w ten sposób zmienić temat rozmowy.

– Cóż, może. – Sophia wbiła wzrok w stół. – Chociaż dużo pracuję. Nie mam czasu dla psa. Nie byłoby w porządku zostawiać zwierzaka samego na całe dni.

– Wszystko zależy od rasy i tego, czy to pies do towarzystwa, czy nie. – Peter otarł usta i odsunął od siebie talerz. – Psy myśliwskie chcą polować, ale stróżujące są zadowolone, jeśli tylko mogą pilnować domu. Nie trzeba im towarzystwa, to jakieś bzdury.

– A ty co, nagle zachciało ci się psa? – Sophia popatrzyła na niego zirytowana.

– To nie ma nic do rzeczy. Mówię tylko, że nie wszystkim psom doskwiera samotność. Psom do towarzystwa doskwiera, ale stróżującym nie.

– Mylisz się – odparła, kręcąc kieliszkiem. – Każdy pies źle się czuje, jeśli jest sam. Psy chcą być z innymi psami albo ze

swoim panem czy panią. To jak z ludźmi, wszyscy są przecież zwierzętami stadnymi.

– Z wyjątkiem ciebie, rzecz jasna. – Oczy Petera się zwały.
– Ty najwyraźniej nie jesteś zwierzęciem stadnym. Najbardziej lubisz być sama. Ewentualnie ktoś po cichutku, nie rzucając się w oczy, może przygotowywać ci jedzenie i ścielić łóżko. No więc jak to z tobą jest? Nie jesteś człowiekiem?

– No proszę. – Anna popijała wino rozparta wygodnie w fotelu. – Nie sądziłam, że taki z ciebie ekspert od psów. W życiu nie miałeś psa, a mimo to znasz się. Imponujące.

– Dziękuję. – Peter uśmiechnął się beztrudnie. – Czytało się to i owo.

Zadzwonił telefon. Peter wstał i zaczął coś mamrotać do aparatu.

– Peter jest tajnym agentem – powiedziała Sophia i wypila kolejny łyk wina. – Nie mówcie nikomu, ale mieszkam z Carlem Hamiltonem.

Anna wybuchnęła śmiechem, z Sophią pochyliły się do siebie i zaczęły chichotać ze spuszczonej głowami. Annie rozmazał się tusz, do tego roztarła sobie eyeliner w stronę skroni.

Peter skończył rozmowę i skinął na męża Anny. Pocałował Annę w policzek i odwrócił się. Ona wciąż się śmiała. Sophia zapadła się jeszcze głębiej w fotel.

– Ma dyżur – wymamrotała, spoglądając na Petera, który właśnie zniknął przy szatni. – A do tego, jak pewnie się zorientowaliście, zezłościł się na mnie.

Anna uniosła brwi.

– Nie dziw się. On się denerwuje, kiedy ma się z wami spotkać. To kompleks niższości.

– Kompleks niższości? Toś mnie rozbawiła. Czy w takim razie nie mógłby zostać w domu? Obejrzałby sobie jakiś teleturniej, porzuciłby na odpowiedzi w Milionerach, a ja przynajmniej mogłabym sobie z tobą spokojnie porozmawiać.

– Nie przesadzaj, aż tak źle nie było.

Sophia sięgnęła po szklanke z wodą stojącą na stole.

– Mimo wszystko nie powinien traktować cię jak głupszej od siebie. A może wobec ciebie też ma kompleks niższości?

– Peter nie jest taki zły. Czasami tak się zachowuje, ale nie często. Wiesz przecież.

Anna położyła Sophii dłoń na ramieniu.

– Nie możesz spędzić reszty życia z kimś, „kto nie jest taki zły”. – Zamachała rękoma, rysując w powietrzu dwa ogromne cudzysłowy. – Nie o to w tym chodzi. Zaslugujesz na więcej. Naprawdę. Chociaż właściwie to nie na Petera tak się złościę, wiesz chyba.

Sophia otworzyła szeroko usta. Anna mówiła dalej:

– Tracisz werwę. Obie dobrze o tym wiemy. Co się z tobą dzieje? Nie rozumiem. Tylko to mnie martwi, reszta to nie moja sprawa. Nie obchodzi mnie, z kim jesteś i dlaczego jesteś z facetem, którego nie kochasz. Martwię się tylko, że z tobą jest nie najlepiej. To nie wina Petera, on jest tylko symptomem, ale i ja, i Christopher to zauważyliśmy. W ogóle nie dzwonisz do chrześniaków, nigdy się nie widzimy, w każdym razie nie sam na sam, a jeśli chodzi o twoją pracę, to tylko na nią narzekasz. Przecież ją kochasz, zapomniałaś? Twoja praca to ty. Zawsze tak było.

– Nie wiem, o co ci chodzi. Dlaczego na mnie naskakujesz, co takiego zrobiłam? To nie moja wina, że nie lubisz mojego chłopaka.

– Nie naskakuję na ciebie.

Anna przysiadła na oparciu fotela Sophii i objęła ją jedną ręką. Siedzący obok goście spoglądali na nie z ciekawości. Niezrażona tym Anna szeptała Sophii prosto do ucha:

– To, że nie lubię Petera, nie ma żadnego znaczenia. Chcę, żebyś była szczęśliwa, a teraz nie jesteś. We wszystkich sprawach poza zawodowymi zawsze wybierałaś najprostsze rozwiązania. Jednak życie nie jest proste, nie może być. Wiem, że wcale nie jest miło tak ciągle uciekać tylnym wyjściem. Właściwie każdy powinien się bać samotności, bo ona uświadamia nam, że jest coś, o co warto walczyć.

– A może ja chcę tak żyć. Przyszło ci to do głowy? Może po prostu się starzeję. Już nie dają rady.

– Tak stara jeszcze nie jesteś, ale młodsza też już nie będziesz. Tym bardziej powinnaś lepiej wybierać.

Sophia wstała. Anna ześlizgnęła się z oparcia fotela i popatrzyła na nią zdziwiona. Sophia kilka razy przełknęła ślinę, po czym przystawiła Annie palec wskazujący do dekoltu jedwabnej bluzki.

– Jak śmiesz? Jak śmiesz rozmawiać ze mną w ten sposób?

Wyciągnęła z torebki portfel i wyrzuciła na stół całą gotówkę, jaką znalazła.

– Za kogo ty się... Myślisz, że zjadłaś wszystkie rozumy. Opowiadasz mi tu o uciekaniu, właściwych wyborach i samotności. Ja zawsze byłam sama. Zawsze. Wydaje ci się, że na wszystko masz gotową odpowiedź. Że każdy, gdyby tylko chciał, mógłby żyć jak ty. Zdobyłaś ukochanego, idealnego męża i dzieci, bo najwidoczniej potrafisz zdobyć, co zechcesz... i pieniądze też...

– Przestań, Sophia. Bzdury wygadujesz. Przecież nie jesteś sama. Po co mówisz takie rzeczy? Wszyscy ludzie czują się samotni, nawet ci, którym wydaje się, że wszechświat kręci się wokół nich. Skończ z tym. Przestań myśleć, że jesteś taka wyjątkowa, że nikt nie może ci nic dać, nikt cię nie zrozumie. Niemilo to słyszeć, wiem. – Głos Anny nabrał szorstkości. – Lepiej już idź. Nie mam siły tego wysłuchiwać. Nie zasłużyłam sobie na to.

– Spokojnie, nie powiem już nic więcej. Tak, ta egoistka udająca, że żyje, już nic nie powie. Idę do domu.

Sophia ruszyła holem i wyszła przez szeroką bramę na ulicę. Miękkki dywan spowalniał kroki, ale chciała wyjść jak najszybciej.

Wściekle spojrzenie Anny paliło ją w plecy. Oczy ją piekły, gardło też. Czowała, że natychmiast musi się znaleźć na świeżym powietrzu.

Zeszła w stronę Nybrokajen. Przed hotelem Strand przysiadła na ławce. Nie chciała płakać. Naprawdę. Nie ona, nie z takiego powodu, nie teraz.

Z lunaparku Gröna Lund jak zwykle dobiegał rytmiczny klakson kolejki górskiej. Z wysokiej wieży, na której czubku zamontowana była karuzela, niosły się w dal okrzyki. Nawet na tym brzegu było czuć zapach smażonych frytek i przypalonego

karmelu. Sophii zrobiło się zimno. Przesuwała dłońmi po nylonowych pończochach, w górę i w dół, w górę i w dół. Zahaczyła przy tym bransoletką o materiał i poszło oczko. Przejechała po nim paznokciem.

Mocno zagryzła dolną wargę. Oto siedziała przed hotelem, sama, podpita i rozmemłana. Najwyższy czas wracać do domu. W przeciwnym razie ktoś uzna, że świadczę usługi zupełnie inne niż w rzeczywistości, pomyślała.

Przy krawężniku stały cztery taksówki. Sophia szybko wytarła twarz chusteczką, wsadziła do ust gumę do żucia i podeszła do jednej z nich. Obciągnęła spódniczkę jak najniżej i grzecznie zapytała kierowcę, czy jest wolny.

Usiadła z przodu i przez całą drogę prowadziła spokojną rozmowę. Taksówkarz miał czworo dzieci, jedno z nich dwa dni temu skończyło liceum. Cała rodzina odjechała sprzed szkoły na ciężarówce z odkrytą przyczepą. Ciekawa tradycja.

Śmiali się. Jego żona ozdobiła boki ciężarówki brzeziną i bzami. Dobrze, że w tym roku pojawiły się na czas, bo nie zawsze kwitną przed końcem roku szkolnego. Znów się zaśmiali.

W schowku leżało kilka zdjęć, Sophia je przejrzała, z uśmiechem kiwając głową.

Łatwo mi się rozmawia z ludźmi, pomyślała, kiedy taksówka zatrzymała się przed jej domem. Dała kierowcy duży napiwek. W takich relacjach jestem niezła.

Wysiadła i uważnie zatrzasnęła za sobą drzwiczki. Taksówkarz zaczekał, aż doszła do bramy i znalazła się w bezpiecznym wnętrzu domu. Uprzejmy facet. Troszczył się o nią, chciał się upewnić, że nic się jej nie stanie.

Tak, najlepiej wychodzą mi takie przelotne relacje. Za które się płaci.

BYŁA SOBOTA, nie później niż ósma rano. Lisa Zeiger siedziała przed komputerem w pracy. Musiała się uporać z

najpilniejszymi sprawami, z którymi się nie wyrobiła w tygodniu. Za kilka godzin powinna odebrać wnuki. Wybierali się do Skansenu.

W przyszłym tygodniu temperatura miała spaść o dziesięć stopni, jednak teraz ciepłe powietrze wlewało się do pokoju przez okno. Przez dwa dni było gorąco i wszyscy narzekali. Kiedy tylko się ochłodzi, też będą narzekać. Zapanował pogodowy galimatias. Pory roku bez przerwy zamieniały się miejscami, i to kilka razy w tygodniu, a czasami wręcz w czasie doby.

Lisa już nie mogła się doczekać. Kilka godzin z wnukami, małe, ciepłe rączki, lunch w restauracji w Skansenie, świeżo upieczone bułeczki z piekarni, obwarzanki i lepka wata cukrowa. Trzeba będzie wytrzeć dzieciom buzie i oblizać im palce, żeby pozbyć się zastygłych resztek słodkiej masy. Serce jej pękało z tęsknoty za nimi.

Kciukiem i palcem wskazującym prawej dłoni masowała sobie skronie. Miniony tydzień był zdecydowanie jednym z najgorszych w jej karierze. Osiem dni wcześniej policja, wyważywszy drzwi mieszkania na południowych przedmieściach Sztokholmu, znalazła matkę cierpiącą na poważną psychozę oraz trójkę jej dzieci. Jednoroczne, cztero- i sześciolatki. Matka siedziała zamknięta w łazience. Dzieci były nagie, niedożywione i odwodnione. Sześciolatkowi udało się wdrapać na krzesło i sięgnąć do kuchennego kranu, co zapewne uratowało im życie. W pokojach dzieci policja znalazła puste opakowania po chlebie chrupkim i serze oraz dokładnie wylizany słoik dżemu. Prawdopodobnie było to jedyne pożywienie dzieci przez ostatnie dwa tygodnie, kiedy pozostawały zamknięte w mieszkaniu. Na łóżkach nie było pościeli ani nawet materacy, telefon i telewizor nie działały – matka przeniosła je do łazienki wraz z lodówką i zamrażarką, a to, co zdołała, włożyła do wanny. Później zamknęła się od środka.

Trzy lata wcześniej dwójkę jej najstarszych dzieci umieszczono w rodzinnym domu dziecka, ponieważ uznano, że nie jest w stanie zapewnić im należytej opieki. Potem jednak

urodziła trzecie dziecko, a kiedy pomoc społeczna chciała przejąć opiekę także nad nim, Sąd Rejonowy odrzucił wniosek. Wkrótce potem oddano jej starsze dzieci.

Teraz, w ten ciepły dzień, Lisa siedziała w swoim gabinecie i próbowała dociec, gdzie popełniono błąd.

Każdy, kto zajmował się tego typu sprawami, wiedział, jak wszystko się komplikuje, kiedy sąd odrzuca złożony przez pomoc społeczną wniosek o przejęcie opieki. W teorii nadzór powinien zostać utrzymany, czasami nawet wspomniano o tym w orzeczeniu. Jednak w praktyce było inaczej. Prawie zawsze pomoc społeczna traciła nadzór nad takimi rodzinami. Nadal je odwiedzano, jakby od niechcienia, przez kilka miesięcy, jednak z braku podstaw prawnych do interwencji wizyty ustawały.

W tym jednak przypadku ktoś okazał determinację, a mianowicie rodzice z rodzinnego domu dziecka.

Raz po raz kontaktowali się z pomocą społeczną, informując o swoich podejrzeniach, że matka nadal źle traktuje swoje dzieci. Bez skutku. Kiedy dzieci przez ponad tydzień nie pojawiły się w przedszkolu, przybrana mama zadzwoniła na policję, lecz i oni nic nie zrobili. W końcu kobieta pojechała tam sama. Nikt nie otwierał, ale udało jej się zobaczyć jedno z dzieci przez otwór na listy. Siedząc przed drzwiami i przytrzymując kłapkę otworu, zadzwoniła na policję. Trzy godziny później dyspozytor wysłał radiowóz.

Lisa jeszcze nie spotkała tych dzieci, widziała jedynie przybranych rodziców. Uzgodniono, że przez kilka tygodni dzieciom należy ograniczyć spotkania z innymi ludźmi do minimum. Lisa była jednak w mieszkaniu matki.

Najgorszy był smród. Przez co najmniej dwa tygodnie – oględziny miały wykazać, czy nie dłużej – dzieci załatwiały swoje potrzeby w salonie. Matka nie wpuszczała ich do łazienki, sześciolatki zaś skończyły się pieluszki dla niemowlaka.

Na zdjęciach lekarskich widać było liszajec podbrzusza, którego nabawiło się niemowlę, pocięte odłamkami szkła stopy czterolatka i rany na głowie sześciolatka, któremu wyrwano włosy z cebulkami.

Lisa musiała się zająć jeszcze jedną sprawą. Należało podjąć decyzję o dalszej opiece nad Alexem Anderssonem.

Jego mama chciała współpracować. Ich problemy można było rozwiązać. Matka, która się stara – taką postawę trzeba uszanować.

Lisa rozmawiała z jednym z psychologów, z którymi Linda Medner Andersson spotkała się na początku odwyku. Skontaktowała się też z pracownicą Domu Pomocy dla Kobiet. Od obojga usłyszała, że Linda kocha syna i nie marzy o niczym innym jak o zwyczajnym życiu. Oboje twierdzili też, że to ojciec stanowi główny problem.

W końcu Lisa wyłączyła komputer i zamknęła szafkę z aktami. Za oknem histerycznie skrzeczały mewy. Musiała się już zbierać do Skansenu, nie mogła się wręcz doczekać. Łamało ją jednak w stawach. Ból dokuczał jej, odkąd usłyszała o interwencji policji w tym nieszczęsnym mieszkaniu. Czuła się, jakby brała ją grypa, ale często tak bywało, kiedy w pracy robiło się wyjątkowo ciężko.

Jednak dzięki wnukom jej organizm skupi się zapewne na czymś innym. Byle tylko mogła zanurzyć twarz we włosach wnuczki, ogrzać się przytulona do wnuczka, wziąć go na ręce, mimo że jest za ciężki. Ukołysać go w ramionach do snu i ostrożnie ułożyć w wózku. Ach, te jego miękkie, lekko przepecone kędziorki na karku i niezgrabne kolana małej, objające się o siebie w biegu. Jej ukochane wnuczęta, które bez przerwy ganiały, podskakiwały, przewracały się. Jakby ich anatomia nie pozwalała im po prostu iść, kiedy jest dość miejsca na bieganie.

W zasadzie wszystkie sprawy, którymi się zajmuję, są okropne, pomyślała Lisa.

Schyliła się, żeby podnieść z podłogi teczkę Alexa Anderssona. Czas przestać myśleć o tej trójce maltretowanych dzieci. Trzeba zapomnieć o ich zdjęciach, w przeciwnym razie będzie musiała iść na zwolnienie. Wiedziała, że wytrzymałość ma swoje granice. Lepiej więc ich nie przekraczać.

Zadzwoń do adwokat Alexa w poniedziałek. Na pewno zgodzi się ze mną, że to najlepsze rozwiązanie.

Przesunęła dłonią po gładkiej teczce. Łza skapnęła na numer akt, rozpuszczając tusz.

Boże, pomyślała Lisa, potrząsając głową. Ależ się rozkleiłam. To jedyne, co możemy zrobić, nie ma sensu siedzieć i nad tym rozpaczać. Dopilnujemy, żeby wszystko było w porządku. Jeśli tylko odizoluje się ojca, a matka przestanie pić, to sytuacja tej rodziny się poprawi. Przy odrobinie pomocy dadzą sobie radę.

Otarła oczy i odłożyła teczkę na biurko, obok klawiatury. Potem wstała i stanęła przy oknie.

Kiedyś musi mi się udać, pomyślała. Kiedyś musi. Chociaż jedna z moich strasznych bajek musi się skończyć szczęśliwie.

Zamknęła okno.

Po deszczu musi przyjść słońce, i to mimo tej przeklętej zmiany klimatu.

15

W PONIEDZIAŁEK SOPHIA obudziła się z niejasnym uczuciem, że ktoś źle ją potraktował. Prawdopodobnie we śnie, którego nie pamiętała, ale który sprawił, że cztery minuty po piątej obudziła się złana potem.

Peter leżał na boku, jedną ręką obejmując ją w talii, drugą przytulając do jej piersi. Pogodzili się już w sobotę rano. Przy śniadaniu zaczęła płakać, co jak zwykle okazało się najlepszym sposobem na to, by go rozczulić. Potem Sophia wydmuchała nos i powiedziała kilka niemiłych rzeczy o Annie. Wtedy Peterowi od razu poprawił się humor.

Nie obudziła go. Wzięła prysznic, ubrała się, zjadła śniadanie i wyszła z mieszkania, zamykając drzwi jak najciszej.

Dotarła do biura już kwadrans po siódmej. Telefon zadzwonił dopiero chwilę po ósmej. To była Lisa Zeiger. Chciała poinformować, że opieka społeczna postanowiła wprowadzić kilka zmian w sprawie opieki nad Alexem Anderssonem. Kiedy Sophia usłyszała, o którą sprawę chodzi, włączyła głośnik i zaczęła chodzić w tę i z powrotem, a ponieważ jej biuro nie było zbyt duże, właściwie co chwilę obracała się na pięcie.

– Doszliśmy do wniosku, że najlepiej będzie, jeśli matka jak najszybciej odzyska opiekę nad Alexem. Szybciej, niż to zakładał pierwszy plan. Chociaż latem Alex będzie jeszcze mieszkał w domu dziecka, a jego matka co tydzień zostanie poddana badaniu na obecność narkotyków we krwi. Ojciec już się wyprowadził, jak wiesz, policja jest z nim w kontakcie i nawet jeśli do niczego nie dojdą, a my nie nawiążemy z nim współpracy, i tak wszystko wskazuje na to, że nie mieszka już z mamą Alexa. Nie stanowi więc bezpośredniego zagrożenia.

– Jaki jest zatem ten nowy plan? – Sophia zrobiła kolejną rundę po pokoju.

– Cóż, z końcem czerwca zaczyna się spokojniejszy okres, nie będziemy mieć tylu pracowników do dyspozycji. Planujemy jednak, że jesienią Alex przeprowadzi się z powrotem do mamy. Wtedy łatwiej będzie nam sprawować nadzór. Latem matka będzie go mogła zabierać na weekendy, w tygodniu zaś Alex będzie mieszkał z Leną i Perem. To będzie dla niej duże odciążenie. W kwietniu chłopiec wraca do swojej starej szkoły. Na razie spotyka się ze swoją nauczycielką, która pilnuje, żeby był na bieżąco z materiałem. Wygląda nawet na to, że nie będzie musiał powtarzać klasy, tylko dołączy do swoich kolegów.

– Czy Alex o tym wie?

– My go nie informowaliśmy. Wolałabym, żebyś ty to zrobiła. Jeśli i ja, i ty z nim porozmawiamy, wtedy jest większa szansa na to, że Alex zrozumie. Chociaż mama pewnie już mu mówiła albo wkrótce powie. Wiesz, jak to jest. Prosimy rodziców, żeby nie informowali dzieci, dopóki wszystko nie będzie ustalone, ale i tak zawsze to robią.

– A jak według ciebie wyglądają ich relacje? Jak macie zamiar je kształtować?

– Do tej pory spotykali się dwa razy w tygodniu w domu dziecka. Szło im tak sobie. Teraz jednak, jak wspomniałam, doszliśmy do wniosku, że matka może zabierać go na weekendy. Miejmy nadzieję, że ich stosunki ułożą się lepiej, kiedy będą w domu bez poczucia, że ktoś ich pilnuje.

– A co mówi Alex?

- No cóż, nie za dużo. Znasz go. Trudno go nazwać gadułą.
- Czy opiekunowie z domu dziecka nadal są negatywnie nastawieni do matki?
- Tak, ale tak jest z reguły. Per i Lena są świetni, naprawdę, znasz przecież moje zdanie na ich temat, jednak zawsze są negatywnie nastawieni do rodziców. To nam czasem utrudnia pracę.
- Nie zauważyli u Alexa oznak niedożywienia, kiedy do nich trafił?
- Cóż. Nie było to na tyle poważne, żeby skłonić pielęgniarkę czy lekarza do interwencji. W tym wieku dzieci często bywają chude. Wiesz zresztą, że to nie wystarczy, by matce zabroniono go widywać. Powiemy jej, że chłopiec musi jeść.
- Jeśli to miał być żart, to nie był zbyt zabawny.
- Nie, nie. Przepraszam. Po prostu jestem bardzo zmęczona. Potrzebuję urlopu. Chodziło mi tylko o to, że najprawdopodobniej nie dawała mu jeść, kiedy wpadała w ciąg. Jeśli tylko dopilnujemy, żeby nie ćpała i nie piła, zapewne Alex będzie się należycie odżywił. Oczywiście planujemy częste wizyty u nich w domu.
- Częste, czyli...?
- Sophia usiadła.
- Raz na dwa tygodnie.
- A czy Alex przypadkiem nie powinien jadać częściej?
- Sophia. – Lisa westchnęła. – Daruj sobie. Wiesz równie dobrze jak ja, że chcę dla tego chłopca jak najlepiej. Nie chcę, żeby głodował i żeby go bito. Nie sądzę jednak, żeby mu to groziło. Ma matkę, która wykazuje troskę, która chce z nami współpracować i robi wszystko, o co prosimy. Ta kobieta nie miała łatwego życia. Najwyższy czas, żeby spróbowała zrobić coś dobrego z tym, co ma: ze swoim synem. Jak według ciebie powinnam postąpić? Sama się nim zająć? Oddać go do adopcji dlatego, że ma ojca idiotę, a matka od czasu do czasu pije za dużo? Nie mogę. Nawet gdybym chciała, a nie chcę, i tak bym nie mogła.
- Według ciebie to najlepsze rozwiązanie?
- Tak, tak uważam. Naprawdę. W każdym razie nie wydaje

mi się, żeby trafił się sędzia, który zgodzi się na przejęcie opieki. Nie, jeśli matka zgadza się na wszystkie propozycje. Twoim zdaniem mamy na to szansę? Widziałas ją, kobieta kocha syna ponad wszystko, to jasne. To dobra osoba, dobra matka, jeśli tylko jest trzeźwa. Wiele przeszła. Nie uważasz?

– A więc sądzisz, że w ten sposób zapewnimy Alexowi spokojne dzieciństwo. Z matką.

– Tak, z matką.

– Dzieci powinny być z matką, tak? Bo tak jest najlepiej? – Sophia obróciła się na krześle o sto osiemdziesiąt stopni i wyjrzała przez okno.

Niebo miało kobaltowy odcień. Przez sekundę wydawało jej się, że nabuzowana krew odpłynęła jej z serca.

– Dziecko powinno być z mamą. Wiadomo.

Najgorsza ze wszystkiego była poradnia dziecięca. Musieliśmy tam chodzić, w przeciwnym razie dzwoniли i dopytywali, dlaczego się nie przyszło na wizytę. Niby nic, a jednak. Wszechobecna kontrola państwa. Wszyscy ci biurokraci, którzy siedzą i rozmyślają: co też ten a ten numer pesel, kolor włosów blond, robi ze swoim marnym życiem, sprawdźmy.

No właśnie, poradnia dziecięca. Przesiadywałam w poczekalni śmierdzącej basenem dla chorych i zmoczonymi pieluchami. Inne matki rozprawiwały o białych kremach i kroplach na kolkę. A potem niby się ze sobą zaprzyjaźniały, no i zaczynały się szeptami o poranionych sutkach, szefach, facetach, którzy nic nie rozumieją. Bla-bla-bla.

Żadna nigdy nie odezwała się do mnie. I dobrze, ale czasami rzucały mi spojrzenia. Chociaż nic nie robiłam, nikomu nie przeszkadzałam, siedziałam tylko i słuchałam. No i się gapiałam. Oczywiście nie mogłam się powstrzymać.

Bo ludzie jednak są nienormalni. A matki są najgorsze ze wszystkich. Ciągle coś robią przy dzieciach. Zdejmują im sweterki, potem je wkładają. Rozpinają zamki i zapinają. Upinają dzieciom grzywki z paroma włosami na krzyż tylko po to, żeby spinka spadła po czterech sekundach. O ile, rzecz jasna, dzieciak sam jej sobie wcześniej nie zerwie. A potem

znów ślinią palce i wycierają brudną buzię. Trą i trą. Ściągają dzieciom rękawiczki i sprawdzają, czy dłonie nie są zimne. I szczebiocą, puci-puci, buzi-buzi. I ciągle coś robią. Bez przerwy. Czyste szaleństwo. Zidiociale paniusie jak z lat pięćdziesiątych. Żalodne.

W poradni pchały swoje wózki aż do kanapy w poczekalni. A wózki miały ogromne, takie co to bujają się w przód i w tył, kołyszą na boki jak amerykańskie bryki. Dzieciaki gapily się głupio, wystawiając głowy spod daszka. Gigantyczne głowy, które wyglądały jak odpustowe balony przyczepione do patyczków. Brzydkie jak noc.

Nie wiem dlaczego, ale te niemowlaki były obrzydliwe. Żuły, co się dało, klocki i własne palce, wszystko wokół było obślinione, mokre i obsmarkane. I wszystkie dzieci miały na sobie kombinezony z paskami odblaskowymi. Matki bez przerwy wycierały im nosy i skrzekliwymi głosami gadały o nadawaniu imion, pieluchach z tetry i tym podobnych.

Wszystkie się tak zachowywały. Wszystkie, tylko nie ja. O nie. Ja nic nie mówiłam i nic nie robiłam przy dziecku.

Choć raz musiałam. Jedna z matek dała mi chusteczkę. Wtedy wytarłam mu nos i buzię. Jakby to miało pomóc. Tylko zaczął się wydzierać.

I kiedy już się odsiedziało tam całą wieczność, można było wejść do gabinetu. Zawsze było opóźnienie. Ale tak było i już, nikt nikogo za to nie przeproszał. I tak należało być wdzięcznym, że udało się zapisać na wizytę. Wdzięcznym naszemu wspianiałemu społeczeństwu, które zapewnia nam wszystko. Wdzięczność i zadowolenie, żadnych wrzasków.

Alex zawsze ryczał. Tak się wydzierał, że pediatra, czy jak tam się one nazywają, ledwo mogła coś powiedzieć. Tak czy inaczej, nie było jej słychać. Niby fajnie, ale się denerwowałam, pociałam i nie wiedziałam, co robić. Na pewno sobie myślała, że powinnam go utulić tak jak inne matki, usiąść, przyłożyć mu nos do ucha i błyskawicznie uspokoić go szeptem. Nic z tych rzeczy.

A potem pokazywała jakieś wykresy na komputerze. Wzrost, waga, obwód głowy. Drukowała wszystkie wyniki na

ustawionej obok drukarce. Wydruk trzeba było złożyć i zabrać do domu. I może jeszcze przyczepić na lodówce magnesem? Spoglądać, kiedy będę chciała wiedzieć, ile wzrostu dziecko miało podczas ostatniej wizyty? Nigdy nie załapałam, po co to. Gdyby były z nim jakieś problemy, to przecież bym powiedziała. I nie rozumiałam też, dlaczego główka dziecka jest taka ważna. Tak czy inaczej, musiałam udawać, że mnie to interesuje. Tak było trzeba.

– Aha – mówiłam. – Ach tak. Mhm. – A potem lekarka pytała, czy karmienie przebiega prawidłowo. Ciągłe o to dopytywała. To pytanie padało jako drugie po „i jak tam?”.

Karmiłam tylko przez parę tygodni, ale to przecież nie jej sprawa.

– Oczywiście – odpowiadałam chyba przez rok. – Oczywiście karmienie idzie świetnie. – Potem jej powiedziałam, że już przestałam karmić i że nie było to łatwe. Stwierdziła, że rozumie, bo trudno jest przestać.

Czasami jednak patrzyła na mnie z dziwną miną. Jakby myślała, że kłamię. Wtedy wymyślałam jakiś problem, żeby wiedziała, że niepokoję się o dziecko. Wszyscy lubią zaniepokojone mamy.

– Kiedy powinnam zacząć podawać stałe pokarmy? – zapytałam kiedyś, bo akurat któraś z matek w poczekalni się nad tym zastanawiała. Długo o tym gadały, wydawało się, że to dla nich bardzo ważne.

– Ależ może pani zacząć od razu – odparła z uśmiechem lekarka. Spodobało jej się to pytanie. – Można zacząć od ziemniaków, z nimi idzie łatwo. Z bananami trzeba poczekać, trudno je przełknąć. Proszę próbować po trochu na raz, na spokojnie. I może kaszka. Zorientuje się pani, kiedy dziecko będzie gotowe, kiedy można dawać mu więcej i eksperymentować z innymi produktami. Niech sobie popróbuje różnych rzeczy. Jedzenie powinno być przyjemnością.

Rzeczywiście kupiłam i ugotowałam ziemniaka. Obralam, ugotowałam i przetarłam. Ale tylko raz. Tyle zachodu, a on i tak nie zjadł. Nie zauważył nawet, że to jedzenie. I nie

dziwota, komu by się chciało jeść taką papkę, którą trudno podzielić na porcje. Potem zwinęłam z marketu kilka słoików z brzoskwiniami, kukurydzą i ziemniakami. Zmieściły mi się w kieszeni. Miały konsystencję glutów, kolor zresztą też. Wylałam je na talerz, dałam mu łyżkę i jadł sam. Zabrudził sobie sweterek, a kleik zasechł na blacie stołu, ale chyba trochę jedzenia trafiło do buzi.

Przy następnej wizycie w poradni wspomniałam o tym. Powiedziałam, jaka to jestem dumna, że on, taki maluch, sobie poradził. Że udało mu się trafić łyżeczką do buzi.

Takie gadki podobały im się niemal tak bardzo jak wyrażanie niepokoju. Dumni rodzice, którzy krzyczą „hurra!”, kiedy dziecko pomacha albo chwyci ręką klocek.

Boże, co za idiotyzmy!

– Proszę, proszę, jaki bystry. Sam je! Taki malec, kto by pomyślał. Ależ jestem dumna.

16

– ŻLE SIĘ CZUJESZ? – Peter wyszedł z wanny. Miał mokre włosy. – Boli cię brzuch czy co?

– Nie, dlaczego miałby mnie boleć?

Wcześniej tego dnia Sophia odwiedziła Alexa. Nie zdarzyło się nic nieoczekiwanego. Chłopiec był małomówny jak zwykle i raczej nie okazywał uczuć. Przynajmniej nie w sposób czytelny.

Do domu dziecka pojechała samochodem razem z Lisą Zeiger. Po drodze zatrzymały się w barze, napiły się wody i porozmawiały.

Wyglądało na to, że na razie Sophia nie będzie nic musiała robić dla Alexa. Wszystkim miała się zająć pomoc społeczna. Jeśli matka chłopca okaże gotowość do współpracy, Alex będzie dorastał bez nadzoru swojej pani adwokat. Mało prawdopodobne wydawało się też, że dalsze etapy postępowania wyjaśniającego w sprawie znęcania się nad dzieckiem będą wymagały udziału Sophii. Sprawa zapewne zostanie umorzona.

Pewnie następnym razem zobaczymy się, kiedy skończysz piętnaście lat i aresztują cię za kradzież, pomyślała.

– Dlaczego sądzisz, że źle się czuję?

– W misce stojącej obok toalety jest coś, co wygląda jak zjedzone przez ciebie śniadanie. Chyba nie zwymiotowałaś tej karmy dla ptaków, którą jadasz z kefirem?

– To ekologiczne, suszone na słońcu, aromatyczne kielki. Dostałam je od mojej sekretarki.

– Aromatyczne kielki? – Peter jakby się zastanawiał. – Niby po co?

– Żeby ładnie pachniało.

Pokręcił głową i ruszył do sypialni.

– A nie lepiej byłoby tam wstawić kuwetę? I wziąć napalonego kota. Albo kotkę w rui? Nigdy nie pamiętam, które śmierdzi gorzej. W każdym razie kocie siki na pewno pachniałyby lepiej niż te kielki.

Sophia się uśmiechnęła. Anna była w błędzie – po prostu, w przeciwieństwie do Sophii, nie rozumiała Petera.

Gdy przechodził obok, poczuła jego zapach. Wciąż miał mokre plecy, między łopatkami i nad pośladkami widać było krople wody.

– Nie moglibyśmy pojechać na żagle na Midsommar⁵? – Pozałowała tego pytania, zanim jeszcze skończyła mówić.

Zatrzymał się i odwrócił.

– A dlaczego chcesz jechać? – Podszedł tak blisko, że poczuła jego ciepło.

– Pomyślałam, że ty i ja... że moglibyśmy choć raz spędzić trochę czasu we dwoje. To znaczy we dwoje jak we dwoje, bo dziadek oczywiście pojedzie z nami. A z nim flaszka norweskiego sznapsa. Ale znasz go, zasypia po dziewiątej. Moglibyśmy... No wiesz. – Sophia pokręciła głową i wbiła wzrok w podłogę. – Choć oczywiście rozumiem, że nie chcesz. Nieważne. Zapomnij o tym. Mogę popływać sama z dziadkiem, a ty możesz się wybrać na tę imprezę.

⁵ Szwedzkie święto obchodzone w weekend przypadający najbliżej 24 czerwca. Jego obchody wywodzą się z pogańskich obrządków związanych z przesileniem letnim.

– A ja chciałem się zalać w trupa z kumplami i ich dziećmi. Emerycki wypad z dziewczyną czy impreza na Värmdö. – Peter odwrócił się z uśmiechem. Mówił dalej odwrócony do Sophii plecami. – Czy mam jakiś wybór? Jeśli człowiek zwiąże się z dziewczyną, która go kocha jak szalona, to trzeba się czasem poświęcić. W przeciwnym razie z nim zerwie. Zadręczy go gderaniem. Będzie za nim chodzić, czyhać na niego przed pracą i tym podobne.

Sophia się zaśmiała.

Miło byłoby pojechać razem, pomyślała. Potrzeba nam tego, trochę świeżego powietrza i trzymania się za ręce. Anna niedługo mnie przeprosi. Przeholowała. No i Peter jest lekarzem, a dziadek wcale nie jest w najlepszej formie. Może się przewrócić, uderzyć w głowę, dostać kolejnego zawału. Co bym wtedy zrobiła? Dopłynęłabym sama do brzegu z umierającym staruszkim przywiązany do pokładu? Dobrze byłoby, gdyby Peter pojechał, i to pod każdym względem.

Nie mam zamiaru przeproszać Anny. To ona musi przeprosić mnie.

WYBIEG BYŁ ZAKURZONY. Od kilku dni świeciło mocne słońce i nawierzchnię trzeba było zmoczyć. Dookoła roztaczał się ostry, nie brzydki, ale wyrazisty zapach zwierząt, torfu i słomy. Nad płotem zwieszały się gałęzie bzu, porośnięte kwieciami, trawa też już się zazieleniła. Alex już się spocił.

– Trzymaj się. Oprzyj stopę na mojej ręce.

Podniósł nogę w jeździeckim bucie jak najwyżej. Czarne gumki były pożyczone i trochę za duże. Nie zdołał podnieść nogi wystarczająco wysoko, udało mu się tylko do połowy. Per błyskawicznie podparł mu stopę i dźwignął go, aż chłopiec poczuł ssanie w żołądku. Sekundę później Alex siedział już na końskim grzbiecie, nie do końca wiedząc, jak się tam znalazł.

Z siodła świat wyglądał inaczej. Wiatr targał krótkimi rękawami, koszulka trzepotała też w pasie. Przez skórzane

siodło Alex czuł ciepło Felixa.

– Wodze trzyma się tak. Muszą się przesuwac między kciukiem a palcem wskazującym. Musisz obrócić dłonie, tak żebyś zawsze widział paznokcie. O tak, rozumiesz?

Alex skinął głową. Mocno ścisnął wodze i aż się wzdrygnął, kiedy koń poruszył łbem. Ześlizgnął się nieco z siodła i uniósł ręce niemal na wysokość szyi. Zdenerwowany Felix potrząsał łbem.

– Nie tak mocno. Wodze luźno. Pamiętaj, że koń ma w pysku metalowe wędzidło. Musisz być ostrożny, żeby nie zadać mu bólu. Dzisiaj zdejmujemy strzemiona.

Per chwycił rzemienie zakończone metalowymi pałkami i wrzucił je do juku przy siodle. Alex zsunął się kolejnych kilka centymetrów. Stopy mu ciążyły.

– Lepiej najpierw złapać równowagę. Pięty nisko! Niżej, i odchył się do tyłu. Jakbyś siedział w fotelu. Jeszcze trochę. Nie zaszkodzi, jeśli na początku trochę to uwydatnisz. Musisz się dobrze usadowić i lekko odchylić w tył. Nogi też trochę bardziej do tyłu. O tak.

Alex znów przytaknął skinieniem głowy. Wziął głęboki wdech, kiedy koń się pochylił. Podniósł kolana i poczuł, że zaraz spadnie. Siłą woli rozluźnił mięśnie i kiedy znów opuścił stopy, odzyskał równowagę.

– Dobrze, Alex. Właśnie tak, chłopie. – Per się uśmiechnął i chwycił wodze. – Przez chwilę będę szedł obok, ale potem puszcze was wolno. Całkiem nieźle się zapowiada. Dziś będziemy szli stępem. Jutro będziesz mógł spróbować kłusa, a za parę tygodni będziesz sam jeździł po lesie jak prawdziwy Indianin.

Alex czuł, że trzęsą mu się ręce. Czapka go gniotła, pocił się kark, a dzinsy przekrzywiły się na kolanach.

– Mocny obsiad, postaraj się! Właśnie tak! No i musisz kierować koniem. Nie możesz ciągnąć za wodze. Wtedy Felix się denerwuje, bo go boli. Ale wodze powinny być cały czas napięte, spróbuj dostosować się do jego ruchów. Czujesz, że Felix porusza łbem w przód i w tył, gdy idzie? Spróbuj dostosować się do tego ruchu. Nie puszczaj wodzy luzem, ale

też nie ciągnij. Musisz mieć bardzo wrażliwe dłonie. Udawaj, że wodze są z bawełny, jeśli pociągniesz za mocno, to się zerwą. I musisz jakby obejmować brzuch Felixa nogami. Nie kłuj go piętami, tylko obejmuj całymi nogami. O tak.

Per chwycił nogi chłopca i przysunął jego uda i łydki do boków konia.

Alex przełknął ślinę kilka razy. Czuł, że to za dużo naraz. Połowy wskazówek już nie pamiętał. Nigdy mu się nie uda. Nie potrafi, to za trudne. Nigdy nie będzie miał dość siły w nogach.

– Nieźle ci idzie, Alex. Czujesz, jak dobrze jest się odprężyć?

Chłopiec kiwnął głową. Przygryzł dolną wargę.

– Świetnie.

Padające ukośnie promienie słońca zaglądały do kuchni. Na jednym z nagranych krzeseł spał kot. Lena przetarła kuchenkę i blat, wypłukała ściereczkę i usiadła przy stole.

– Ten chłopak to samorodny talent! – Per uśmiechnął się od ucha do ucha i sięgnął po mleko.

– Domyśliłam się. – Ostrożnie odgarnęła Alexowi grzywkę z czoła.

Chłopiec wpatrywał się w talerz z paluszkami rybnymi domowej roboty i purée z ziemniaków. Na wierzchu leżała porcja masła, połyskując złociście. Alex wziął dwa solidne kęsy i popił mlekiem. Włosy, wciąż wilgotne po kąpieli, układały się na karku w loki. Kołnierzyk bluzki też był mokry.

– A jutro też możemy jeździć? – zapytał z pełną buzią i wąsami z mleka nad górną wargą.

– Jasne, że tak.

– A pojutrze i pojutrze też?

– Spokojnie, mały kowboju. Musisz też przecież robić inne rzeczy, a nie tylko jeździć. Mógłbyś na przykład czytać komiksy. No i wiesz, że pani Lindstrand chciałaby, żebyś przysiadł do matematyki. Żebyś nadgonił z materiałem do początku przyszłego roku. Będzie do ciebie przyjeżdżać i pomagać ci, kiedy tylko da radę.

– No wiem. – Alex podniósł wzrok. Przeżuwał pośpiesznie jedzenie. – Ale przecież są wakacje. Powiedz, że mogę. Powiedz!

– Oczywiście, że możesz. – Per popatrzył na Lenę, która nieznacznie zmarszczyła czoło.

– Nie zapominaj, że... – Zamilkła i bezgłośnie poruszyła ustami.

– Ale na weekend pojedziesz do domu do mamy. Będziecie świętować Midsommar. Fajnie, co? Będziecie mieli przyjęcie. Prawdziwe, porządne przyjęcie. Pogoda na pewno dopisze, przynajmniej po południu.

– Ale jutro...

Alexowi drżał głos. Skoro będzie przyjęcie, to nie ma wyjścia, trzeba jechać do domu. Inaczej nie wiadomo, co by się stało. Przygryzł wargę.

Gdyby się rozplakał, Lena zaczęłaby go tulić i głaskać po głowie. Do weekendu zostało kilka dni. Znał już dni tygodnia i wiedział, że ma jeszcze trochę czasu. Nie chciał się rozplakać.

– A jeśli nie będę już mógł jeździć do mamy i taty, to czy będę mógł zamieszkać tutaj?

Lena odwróciła się i podeszła do blatu, spuściła głowę i zapatrzyła się w zlew. Per przyklęknął przed Alexem i pogłaskał go po nodze.

– Wiesz przecież, że mama i tata bardzo cię lubią i chcą być z tobą. Nie mogą jednak źle się wobec ciebie zachowywać i cię bić.

– Ale jeśli będą to robić, to będę mógł tu zamieszkać?

Już dłużej nie mógł wytrzymać. Czuł, jak pałają mu policzki, a łzy cisną się do oczu.

Niech to, pomyślał. Cholera.

Łzy spływały mu aż na szyję, z nosa ciekło, wytarł więc gila dłonią. Ręce pachniały mydłem, ale koszulka wciąż pachniała koniem. Alex przycisnął nos do ramienia i wciągnął w płuca woń Felixa.

Przecież musi go oporządzać, nikt nie robi tego tak jak on.

– Proszę. – Płakał coraz bardziej, zaczynał się krztusić. – Ja nie chcę. Proszę, proszę, proszę. Nie mógłbym zostać tutaj?

– Gdyby to ode mnie zależało...

– Per! – Lena krzyknęła drżącym głosem. – Nie wolno ci tak mówić.

Per wbił wzrok w podłogę.

– Jedno mogę ci w każdym razie obiecać, bo o tym nie decyduje pomoc społeczna. Otóż jutro będziemy jeździć. Obiecuję. – Odchrząknął. – Na razie nie wybiegajmy w przód. Jakoś to będzie.

Alex pociągnął nosem i przełknął ślinę. Per siedział przed nim bez ruchu.

– Nienawidzę cię – powiedział chłopiec i odepchnął rękę Pera. Per opuścił ją bezwładnie.

Łzy już obeschły, ale policzki jeszcze go piekły, gdy wszedł do nie swojego pokoju. Położył się na łóżku.

Przyjęcie, pomyślał. Kiedy Per i Lena robią przyjęcie u siebie, goście na pewno śmieją się radośnie. Nie puszczają za głośno muzyki, a potem ją wyłączają, kiedy ktoś chce iść spać. Nie kłócą się i nie krzyczą, że sąsiad jest głupim fiutem, a mama to dziwka.

Per i Lena nie rozumieją, jak to jest, kiedy ktoś się śmieje za głośno, bo tak naprawdę jest zły. I jak śmierdzi na tych przyjęciach. Nie wiedzą, że nie mam wtedy spokoju i nie mogę spać. Kiedy przyjęcie się kończy, dorośli zawsze są smutni i przychodzą do mnie, siadają na łóżku, płaczą i przepraszają. Nie cierpię, jak przepraszają, to jest najgorsze.

Talerz z jedzeniem został w kuchni. Masło pewnie już się ścięło, bo paluszki rybne ostygły.

Wszystko jedno, pomyślał. I tak nie jestem głodny.

LINDA MEDNER ANDERSSON weszła do środka bez pukania. Zdjęła okulary przeciwsłoneczne i schowała je do torebki. Pasek ześlizgnął się jej z ramienia, nie poprawiła go jednak, tylko znów wyjęła okulary i nasunęła je na czoło. Grzywka odstawała na boki spod oprawek.

Karin wstała zza biurka. Jej uczniowie już od dwóch tygodni byli na wakacjach, nazajutrz ona też zaczynała urlop. Najpierw jednak chciała mieć tę sprawę z głowy.

– Cieszę się, że mogła pani przyjść. Witam. Chciałabym... cóż, bardzo dobrze, że pani się zjawiała. Bezpośrednia rozmowa jest o wiele lepsza.

Karin się zacięła. Linda zaczęła powolnym krokiem chodzić po klasie. Karin wyciągnęła do niej dłoń, ale została zignorowana. Cofnęła ją i wytarła o nogawkę, żeby osuszyć pot.

– Napije się pani czegoś?

– Co?

Linda obróciła się nieco za szybko. Chwyciła się ławki, żeby odzyskać równowagę.

– Może kawy? Albo wody?

– Nie. Trochę mi się śpieszy. W sumie to cholernie.

– Nie chce pani usiąść? – Karin wskazała ławkę stojącą naprzeciwko biurka. – Proszę usiąść, będzie nam łatwiej rozmawiać.

– Przecież już załapałam, o co chodzi. Zrozumiałam, kiedy pani zadzwoniła. Taka głupia nie jestem. Według pani Alex za często się kłóci z innymi, a że teraz wraca, to ja mam coś z tym zrobić. Żeby już nie było tak jak wcześniej. Mam z nim porozmawiać. Jasne. Powiem mu. – Linda stanęła za ławką. Mówiła coraz głośniej, podniosła obie ręce. – Dzieciak ciągle się bije, do cholery, wiem, ale pogadam z nim. W porządku?

– Cóż, nie o to mi chodziło. Chciałam porozmawiać o tym, co powinnymy zrobić, żeby Alex czuł się dobrze i żeby powrót do domu nie okazał się dla niego za trudny.

– Więc nie chce pani, żeby powrót był dla niego za trudny? Nie musiałby wracać, gdyby pani nie... To dzięki pani Alex mieszka dwadzieścia kilometrów stąd. Wielkie dzięki, cholera! Miło słyszeć, że chce pani, żeby wrócił.

Linda zrobiła krok w jej stronę i Karin lekko odchyliła się do tyłu.

– Mój adwokat wyjaśnił mi jedną rzecz. Ważną rzecz. Otóż nie ma pani prawa decydować o mnie i moim dziecku. Najmniejszego!

Ważąca chyba kilogram bransoletka zabręczała na nadgarstku Lindy. Kobieta pochyliła głowę i strzepnęła kłaczek ze swetra, zapięła guziki. Potem ruszyła z miejsca. Wzrok miała

rozbiegany, patrzyła wszędzie, byle nie na Karin. We wszystkie strony, tylko nie przed siebie.

– Może jakoś pani pomóc? – Karin usłyszała desperację w swoim głosie. Jakby zaraz miała się rozpląkać.

– W sensie?

– Czy potrzebuje pani pomocy? Ja... moglibyśmy pani pomóc pod wieloma względami, wystarczy tylko zapytać, poprosić.

Linda usiadła. Powoli, jakby była obolała. Wyprostowała palce i położyła dłonie płasko na ławce.

– Na głowę pani upadła? Całe życie inni próbują decydować za mnie. Chcą decydować o moim życiu. Nigdy nie miałam spokoju. Jacyś idioci decydowali o tym, gdzie mieszkałam, gdzie chodziłam do szkoły i co mogłam robić. Tak miało być, dopóki nie skończę osiemnastu lat, ale teraz zaczyna się na nowo. Bo mnie trzeba kontrolować. Naprawdę brak pani piątej klepki. – Nachyliła się do przodu. – Niby w czym chciałyby mi pani pomóc? No słucham, umieram z ciekawości. Widywała pani Alexa kilka godzin dziennie przez kilka miesięcy i nagle wie pani wszystko o nim i o mnie, nagle wie pani, jak ułożyć nam życie. Wspaniale! Może jest pani z jednego z tych amerykańskich programów telewizyjnych? Ma pani zamiar odnowić nam dom, skombinować mi nowe cycki i spłacić mojemu mężowi kredyt na samochód? Coś w tym stylu? „Całkowita odmiana”, coś w ten deseń, tak?

Karin przelknęła ślinę. Nie zdążyła odpowiedzieć. Patrzyła tylko, jak Linda wstaje, chwyta blat od spodu i przewraca ławkę, która zaskakująco cicho pada na podłogę. Jednak ułamek sekundy później z półki zleciały cztery słoiki z zasuszonymi płatkami nasturcji. Stojąca obok konewka też się przewróciła. Kiedy Linda ruszyła do drzwi, zbite szkło zachrząściło jej pod butami.

–Dziękuję za spotkanie–powiedziała, wychodząc na korytarz.

Karin usłyszała zatraskujące się drzwi. Powoli wyprostowała plecy. Przez całą minutę przyglądała się, jak woda z przewróconej konewki wąską stróżką płynie w jej stronę.

Dziękuję za spotkanie, pomyślała. Dziękuję, na dziś to już wszystko.

Czasami człowiek po prostu ma dość.

Kiedyś zrobili zdjęcia i mi dali. Nie takie portretowe, za które się płaci, po prostu jedna z nauczycielek sfotografowała dzieci przy zabawie. Dostałam za darmo. Może je pani wkleić do albumu Alexa. Jasne, odparłam i podziękowałam.

Oczywiście on nie ma albumu. Bo i na co mu? Mam się nim zajmować, pilnować go, a kiedy wreszcie trafia mi się wolna chwila, miałabym bawić się aparatem i wywoływać masę zdjęć, które potem po nocach wklejałabym do albumu, żeby Alex mógł je przeglądać, jak dorośnie?

Mnie jakoś nikt nie robi zdjęć. Nikt nie przygotował dla mnie albumu.

Kiedy byłam nastolatką, faceci często zatrzymywali mnie na ulicy, żeby zrobić mi zdjęcie. Raz się zgodziłam i dałam swój numer koleśowi w garniaku, a on się zrewanżował taką cholernie drogą wizytówką z tłoczonymi literami. Spotkaliśmy się tydzień później. Zabrał mnie do jakiegoś studia. Piłam tam whisky z piersiówki i pilnowałam, żeby nie ściągnął mi majtek. Potem dostałam pięć stów, wtedy to było sporo kasy.

W zeszłym tygodniu byłam u lekarza. Zadał mi trzy pytania, a potem chciał mi przepisać leki na depresję. Tylko że ja wcale nie mam doła. Czuję się świetnie. Zwłaszcza kiedy też mogę korzystać z życia.

Choć to zdarza się rzadko.

Od czasu do czasu muszę przecież mieć chwilę wolnego. Nie mogę ciągle słuchać dziecka. Zajmować się nim. Ubierać go. Myć. Wycierać mu nosa. Trzymać za pokrytą egzemą rękę.

Najgorzej jest, kiedy idzie do kibla. Śmierdzi, a ja muszę go podcierać, bo mówi, że sam nie umie. Niby próbuje, ale i tak muszę mu pomóc. Schyla się i rozkracza. Tylek ma upaprany, a szczynty skapują na ziemię z małego siusiaka. Wygląda jak wąż do podlewania, różowa kielbasa. Oddycham przez usta, ale i tak chce mi się rzygać. Myję potem ręce, spodnie musi sobie zapiąć sam.

Czasami nachodzi mnie takie obrzydzenie. Wtedy mam dość.

W STAJNI PANOWAŁ MROK. Alex nie chciał zapalić lampy, więc wewnątrz rozjaśniała tylko wpadająca przez okna słaba poświata letniej nocy. Siedział w boksie Felixa, w kącie pod poidłem, z którego automatycznie tryskała woda, gdy koń zbliżył pysk do metalowego pojemnika. Teraz koń spał na stojąco, uniósłszy przednią nogę. Od czasu do czasu drżał i brał głęboki wdech.

Nocą w stajni rozlegały się różne odgłosy, w boksie było więc przyjemniej niż w łóżku w sypialni. Mimo to Alex nie mógł zasnąć.

Za trzy dni miał jechać do mamy. Odbierze go sama, zapewne przyjedzie taksówką. Mówiła mu o tym pani z pomocy społecznej. A może pojedą pociągiem? Stacja znajdowała się niedaleko i można było dojechać aż do miasta, a tam przesiąść się w metro. Alex miał spędzić dwie noce w mieszkaniu na Berga, to też mu pani powiedziała.

Był już dziś w stajni, sprzątał jak zawsze. Pani Julia, która czasami przyjeżdżała i pomagała im w nauce jazdy konnej, minęła go, kiedy stał w przejściu.

– Fajnie będzie nocować we własnym łóżku, co? – powiedziała. – I pojechać do domu.

Uznał, że na coś tak głupiego nie musi odpowiadać. Zresztą pani Julia nie czekała na odpowiedź, tylko poszła na drugi koniec stajni i zaczęła zamiatać jeden z boksów.

Właśnie wtedy Alex zauważył mysz. Wpadła do pustego koryta z paszą. Ścianki były strome i zwierzątko na darmo próbowało się po nich wdrapać. Biegało w tę i z powrotem. Najpierw Alex tylko się przyglądał. Zazwyczaj trochę bał się myszy, ale nie teraz. Ta nie mogła mu nic zrobić. Obok leżał wąż i Alex, wciąż zapatrzony, zaczął napełniać koryto wodą. Sam nie wiedział dlaczego, ale mysz się przestraszyła. Śmiertelnie. Jej małe czarne ślepki połyskiwały. Wiedziała, że zaraz umrze; Alex czuł jej strach.

Nie wiadomo czemu natchnęło go to spokojem. Serce biło mu w normalnym rytmie, a on jak gdyby nigdy nic napełniał naczynie wodą. Nie denerwował się, mimo że trochę to trwało, bo koryto było duże. Miał czas. Woda wirowała, a mysz kręciła się razem z nią.

Zupełnie zgłupiała, poddała się od razu. W ogóle się nie ruszała, nie próbowała nawet pływać. Wystawiała ryjek nad powierzchnię, ale po chwili wody było już tak dużo, że mysz poszła na dno. Zaraz umrze, ale wcale nie protestowała.

Alex nie zauważył, że obok stanęła pani Julia. Odciągnęła wąż, po prostu mu go zabrała i wetknęła na samo dno koryta. Miała brzydkie kolczyki. Strumień wody poderwał małe, szare ciało i wypchnął je z koryta.

Trwało to zaledwie chwilę, mgnienie oka. Mysz spadła na ziemię, poderwała się i uciekła. Przebiegła przejściem i zniknęła w jakiejś dziurze w ścianie. O mało co nie zginęła, to pani Julia ją uratowała.

– Zwariowałaś? – zapytała ze śmiechem, jakby to było coś zabawnego. Jakby to był żart. – Lubisz się pastwić nad zwierzętami? Uważaj, bo powiem pomocy społecznej. Pomyślą, że jak dorośniesz, zostaniesz seryjnym zabójcą.

Potem zakręciła kran, odwiesiła wąż na uchwyt nad kurkiem i poszła sobie. Alex nie ruszył się z miejsca. Serce waliło mu tak mocno, czuł dziwny posmak piachu w ustach.

Bał się. Czuł się dobrze w chwili, gdy myślał, że zwierzątko zginie, ale kiedy wypłynęło z koryta na podłogę i uciekło, poczuł, że zaraz zemdleje albo narobi w gacie.

Od tego zdarzenia minęło kilka godzin. Dzień toczył się dalej, Alex zrobił też mnóstwo innych rzeczy. Mimo to nie mógł zasnąć. Kiedy wszyscy poszli spać i w domu zapadła cisza, wykradł się na bosaka do stajni. I siedział tu teraz, rozbudzony. Spodnie od pizamy miał mokre od torfu i było mu zimno w plecach od kamiennej ściany.

Felix zarżał i potrząsnął łbem. Alex wyciągnął rękę i pogłaskał go między przednimi nogami. Mięśnie konia były zaokrąglone i ciepłe. Alex usadowił się tuż pod nim. Tutaj właśnie chciał być.

Z innego boksu dobiegł głuchy odgłos. To któryś z koni z głębokim westchnieniem położył się na boku. Obok przebiegł jeden z kotów mieszkających w stajni. Jego żółte ślepia rozblęskły w ciemności.

Alex zacisnął powieki. Oczami wyobraźni zobaczył tę mysz, tak wyraźnie, że aż się wzdrygnął. Miał nadzieję, że kot ją dopadnie. Rękami przyciągnął kolana bliżej siebie. Powinien był wziąć ze sobą koc albo chociaż sweter. W takich warunkach nigdy nie zaśnie, było mu zimno i niewygodnie.

Może powinien przynieść sobie trochę siana? Ale wtedy wszystkie konie się obudzą. Jeśli pomyślą, że to pora jedzenia, zaczną rzeć jak szalone i obudzą psy oraz Pera.

Lepiej siedzieć po cichu. Nawet jeśli zmarznie, nic się nie stanie. Co najwyżej się rozchoruje, dostanie gorączki i dreszczy, a wtedy na pewno nie puszcza go do domu.

Do Midsommar zostały trzy dni. Właściwie nie ma sensu się wygłupiać, przecież i tak nie może tu zostać. Miał świętować z mamą, a ona nie ma nikogo innego.

Będzie padać, tak mówili w telewizji, więc pewnie zostaną w domu tak jak zwykle. Potem będę spać w swoim łóżku. Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej.

Czy dziecko dobrze sypia? O to też pytali w poradni. Bez przerwy dopytywali o sen. Oczywiście, odpowiadałam zazwyczaj, chociaż wcale tak nie było. Nigdy nie spał dobrze, dopóki nie zajęłam się tym na poważnie.

Kiedy miał dwa lata, jego brzuch był okrągły, a pępek sterczał jak guzik. Jak zawleczka granatu, mawiał Chrille. Alex był silny. Cholernie silny. Darł się wniebogłosy. Chociaż nie umiał sam wstać z łóżeczka, więc nie było problemu. Dopóki leżał w łóżeczku, wszystko było w miarę w porządku.

Czasami patrzyłam na niego, kiedy spał. Gładziłam go po włosach. Pochylałam się nad nim i wąchałam. Pachniał kwaśno, w zasadzie nieprzyjemnie. Jednak pewnego razu zasnął u mnie w łóżku, spał spokojnie i przez chwilę wydawało mi się, że poradzę sobie jakoś z tym wszystkim. Że nad tym zapanuję. Sprawy jakoś się ułożą, bo czemu miałyby się nie ułożyć?

Wtedy się obudził, zaczął płakać, biegać i rozrabiać. Przez te pierwsze lata myślałam, że oszaleję. Kiedy wreszcie będę mogła robić, co chcę? – myślałam. Kiedy będę mogła spać do oporu?

On ciągle czegoś chciał, a ja tylko czekałam, aż zaśnie. Gdy się budził, od razu zaczynałam myśleć, jak by go tu uspić. Uciszyć. I uspokoić, bo naprawdę nie cierpiałam tego, co robił, kiedy był mały. Bez przerwy się ruszał. Nie dało się go opanować. Jakby był znerwicowany. A niby czym, do cholery, miałby się denerwować?

Mam przecież własne życie, myślałam. Nie może być tak, że w ogóle z niego rezygnuję, aby cały czas się nim zajmować. Dziecku też nie wychodzi na dobre, jeśli matka bez przerwy je zabawia albo coś przy nim robi. Przecież on w końcu musi się czegoś nauczyć?

Nadal tak uważam i będę się tego trzymać. Nigdy nie zrobiłam nic, jeśli naprawdę nie musiałam. Reagowałam tylko po to, żeby nie oszaleć, żeby jakoś to wszystko funkcjonowało. Miałam ochotę powiedzieć to tej babie z poradni, ale ugryzłam się w język. I tak by nie zrozumiała.

Nie mówiłam, że zajadał kleik, oglądając Teletubisie. Mógł tak siedzieć do późna. Przyciągnęłam łóżeczko przed telewizor, żeby nie wychodził i nie rozrabiał.

Czasami dawałam mu syrop na kaszel albo paracetamol w syropie, mimo że nie był chory. Po nich szybciej zasypiał. I co w tym złego? I co z tego, że wychodziłam z domu, skoro on i tak spał w tym czasie? Miałam siedzieć i patrzeć, jak się ślini przez sen? Niedorzeczne.

Jeśli za bardzo płakał i nie chciał zasnąć, schodziłam do pralni, bo tam nic nie było słyhać. Pewnego dnia, kiedy stamtąd wracałam, przed drzwiami spotkałam sąsiadkę. Zrobiłam pranie i niosłam stertę zmiętych ubrań. Nie było mnie czterdzieści minut, może godzinę. Ten babsztyl jednak już się zaniepokoił, i to jak. Bidulka. Słyszała, że mały płacze, i zastanawiała się, dlaczego go zostawiłam, skoro jest taki smutny.

Co to znaczy zostawiłam? Przecież nie pojechałam na

wakacje, do cholery, tylko zeszedłam do piwnicy. Oczywiście moją sąsiadką musiało być wścibskie babsko, zawsze na takie trafiam.

Zachowałam jednak spokój i powiedziałam, że spał, kiedy schodziłam, więc myślałam, że się nie obudzi. Wyglądałam na przestraszoną, w oczach miałam łzy. Kiedy jestem trochę zapłakana, wyglądam słodko. Sąsiadka przestała się więc złościć.

Oczywiście wcale nie spał, kiedy wychodziłam. Darł się tak długo, aż ochryplł, ale to przecież nie jej sprawa. Zresztą musiałam kiedyś zrobić pranie, a jeszcze żaden bachor nie umarł od tego, że sobie popłakał. Dzisiaj ludzie popadają w paranoję, wydaje im się, że wszystko stanowi śmiertelne zagrożenie.

Dopiero kiedy miał cztery lata, zaczął normalnie sypiać. Już nie był bobasem. Skończyły się czasy pieluch, kleiku i kojca. I to ja rozwiązałam problem. Ja, a nie baba z poradni.

Zaczął się od tego, że miewał złe sny. Ciągle się budził. Rzucił się i krzyczał. Było gorzej niż wcześniej. Stawał na baczność w łóżku i darł się jak oszalały.

– W szafie jest potwór – piszczał. Kiedy się go dotknęło, czuć było, że jest cały sztywny. – Potwór, potwór, potwór.

– Nie, nie – odpowiadałam. Staralam się mu wytłumaczyć. Bynajmniej nie miałam zamiaru siadać przy drzwiach i czekać, aż zaśnie, ani też głaskać go po plecach i godzinami nucić kołysanki. Tylko idioci tak robią.

Ci, którzy stosują takie metody usypiania dzieci, nie mają własnego życia. Całymi wieczorami „uczą dziecko spać”. Wariactwo, słowo daję. Samo to, że istnieją „metody” na usypianie dzieci, pokazuje, że coś jest nie tak. Kto wie, może powinnam go też nauczyć oddychać zgodnie z jakąś metodą „wciągnij powietrze nosem”. Albo jeść metodą „najpierw pogryź, potem połknij”.

„Daj mu się wykrzyczeć” – o takiej metodzie mówili w poradni. Coś w tym było, ale cała reszta? Przerwij mu raz na pięć minut, ustal wieczorną rutynę... Przecież nie miałabym wolnej chwili. Mimo wszystko ci z poradni tak mi wyprali

mózg, że kiedy budził się i krzyczał „potwór!” – aż szyby się trzęsły – stawałam przy jego łóżku i próbowałam ułożyć go na poduszce.

– Nie, nie. Potwory nie istnieją. Aaaa.

Oczywiście nic to nie pomagało. I tak się darł, każdej nocy coraz głośniejsze.

Zawsze był taki powolny, nigdy nie chwycił tak szybko jak inne dzieci. Po sześciu koszmarach nie miałam już siły. Co on sobie myślał? Że całe noce będę się zajmować jakimś potworem, którego sobie ubzdurał? Dni były już wystarczająco długie, w nocy musiałam mieć spokój.

Więc zastosowałam swój sposób. Przestałam protestować.

– Mhm – przytakiwałam. – Zgadza się, w szafie mieszka potwór. Jeśli jednak będziesz cicho i będziesz spał, nie wyjdzie stamtąd. Nie wolno ci płakać i krzyczeć, bo wtedy obudzisz potwora, wyjdzie z szafy i cię pogryzie ostrymi zębami i podrapie pazurami. Musisz być cicho, inaczej cię zabije.

Pokiwał głową. Patrzył i nasłuchiwał. Stał bez ruchu.

– Kładź się – powiedziałam, a on położył się tak szybko, że uderzył głową o ramę łóżka. Jednak nie pisnął ani słówka. Zanim odeszłam, uchylilam drzwi od szafy. Tylko trochę, tak żeby potwór mógł je otworzyć, jeśli Alex nie będzie grzeczny.

Potem mogłam spać spokojnie. Niby głupota, ale od razu poskutkowało. Najlepsza metoda z tych, o których słyszałam. Wszystkie supernianie mogą sobie wsadzić swoje sposoby głęboko w dupę. Alex już nigdy więcej nas nie obudził.

Nadal tak jest. Śpi i nigdy mnie nie budzi. Kiedy rano przychodzę do jego pokoju, leży w łóżku i gapi się na mnie szeroko otwartymi oczami. Zdarzało się, że się moczył, ale i wtedy zrzucał z siebie spodnie od piżamy i spał dalej bez słowa protestu.

Potwór z szafy i mokre, zimne prześcieradła o kwaśnej woni amoniaku.

Jednak dzięki temu jest cicho. Zawsze zostawiam drzwi od szafy uchylone. Zawsze. A on nigdy mnie nie budzi.

– MASZ GOŚCIA.

Anna-Maria wetknęła głowę do biura Sophii. W rękę trzymała parujący, gorący napój, który co chwilę popijała. Wszyscy w biurze pili czarną kawę, tylko Anna-Maria piła chaitę z mlekiem sojowym. Anna-Maria jako jedyna udawała też, że jest wegetarianką. Miała swoją imponującą listę produktów, których absolutnie należy unikać, jak i tych, które muszą się znaleźć w dziennym jadłospisie. Wszyscy mogli się z nią zapoznać, ponieważ Anna-Maria przymocowała ją magnesem w kształcie truskawki do biurowej lodówki. „Wiesz, co jesz”, brzmiał tytuł.

– Gościa? – Sophia popatrzyła na nią. – Chyba nie miałam żadnych wizyt umówionych na dziś? – Właśnie kończyła petycję, którą pisała od zaledwie dwóch dni. Dokument wreszcie zaczynał przypominać urzędowe pismo, które mogła złożyć bez zażenowania, nie miała więc ochoty na wizyty.

– To niejaka Linda Medner. Nie była umówiona, ale... – Anna-Maria weszła do biura i zamknęła za sobą drzwi. Zaczęła mówić szeptem: – To matka Alexa Anderssona, wiesz, tego siedmiolatka.

Ni z tego, ni z owego Sophia poczuła ból w skroniach. Uznała, że nie ma ochoty, więcej, nie powinna spotykać się z Lindą Medner.

– Co, na Boga, ona tu robi?

– Po prostu pojawiła się w recepcji.

Sophia wywróciła oczami.

– Wiem, wiem. – Anna-Maria pokiwała głową. – Prawdopodobnie zamek przy głównym wejściu znów się zepsuł. Pewnie dzięki temu udało się jej wejść. Zadzwoniłam już do administratora, mają przyjechać sprawdzić drzwi. Medner twierdzi, że nie chce przeszkadzać, przyszła zostawić zaświadczenie z poradni odwykowej, i to jakieś ambitne, bo są na nim punkty, coś o terapii kognitywnej i wyniki analizy moczu.

– Powiedz jej, że to nie do mnie powinna się z tym zwracać.

Musi porozmawiać z pomocą społeczną.

– Mówiłam jej. Twierdzi, że już to zrobiła, ale nalega na to, żeby zostawić kopię zaświadczenia o odbyciu terapii, no i chce ci podziękować za to, że pomogłaś Alexowi. Przyniosła kwiaty i przez pięć minut bez przerwy opowiadała, że cała sprawa wyszła im na dobre, bo ona od dawna chciała coś z tym zrobić, ale nie potrafiła. Nie umiała wcześniej uwolnić się z tego związku. Siedzi tam i płacze, a ja nie umiem jej uspokoić. Już nie mogę tego słuchać. Nie wygląda na pijaną ani nic, ale i tak już nie wytrzymuję. Nie mogłabyś do niej wyjść i się przywitać, a potem ja pomogę ci ją spławić?

Sophia westchnęła.

– Dobrze, dobrze, już idę. Tylko za pięć minut mam bardzo ważną rozmowę telefoniczną, bezwzględnie muszę odebrać. Wtedy będzie musiała wyjść, jasne?

Anna-Maria z zadowoleniem pokiwała głową.

– Pięć minut. W takim razie zdążę wyjść na podwórko i łyknąć świeżego powietrza. Zadzwoń do ciebie z komórki.

Anna-Maria dopiła swój napar wolny od substancji psychotropowych i wyszła, żeby zapalić pierwszego tego dnia papierosa oraz zgryźć garść jagód goi.

Sophia uniosła się z krzesła. Po co ta wizyta? Wprawdzie przywykła już do tego, że niektóre sprawy budzą w niej poczucie, jakby ugrzęzła w bagnisku z ciężarkami przymocowanymi do pasa. Nie potrafiła jednak zrozumieć, czemu tak jest w przypadku Alexa Anderssona.

Od jej ostatniej wizyty u chłopca minęło wiele tygodni, wkrótce matka miała odzyskać nad nim opiekę. Wszystko szło zgodnie z planem, jak dotąd nie wynikły żadne problemy. Mimo to Sophia wciąż nosiła w teczce akta tej sprawy. Alex Andersson spędzał jej zasłużony sen z powiek, a teraz, kiedy miała co innego do roboty, jego niezbyt miła matka czekała w recepcji, domagając się spotkania. Ta sprawa ją prześladowała.

Przed wyjściem z biura Sophia sięgnęła po teczkę. Wyjęła telefon i sprawdziła, czy głośnik jest włączony, i nastawiła głośność dzwonka na maksimum, po czym wetknęła komórkę do marynarki.

Pięć minut, powinna dać radę. Później włoży akta tam, gdzie ich miejsce, czyli do zamykanej szuflady w archiwum.

Trzeba skończyć ze sprawami, za które nikt jej nie zapłaci. Przestać myśleć o tym chłopcu tylko dlatego, że nie potrafi odpuścić. I nie nadinterpretować dziwnego uczucia w żołądku, które tak naprawdę świadczyło tylko o nadmiernym stresie. Czysta głupota.

Alex Andersson nie był nikim wyjątkowym. Prawdopodobnie wszystkie wysiłki trafi szlag, ale nie mogła nic na to poradzić. Najwyższy czas dać sobie spokój z tą podłą historią.

Wygląda na to, że wszyscy zapomnieli o Chrillum. Uwierzyli, że się wyniósł. Że nas zostawił.

– Kiedy pani mąż wróci? – zastanawiał się ten skwaśniały sędzia z Sądu Rejonowego.

– Proszę zadzwonić, jeśli mąż się do pani odezwie – powiedzieli ci z policji.

Wszyscy jednak sądzą, że Chrille zawinął się na dobre.

Nie sądzą, żeby pojawił się po to, żeby gadać z jakimś biurokratą albo gliną. O nie, nigdy. Taki już jest. On nawet nie wyjmie naczyń ze zmywarki, jeśli wie, że nie dostanie za to medalu. Tak więc z własnej woli na pewno nie spotka się z czternastoma niewydarzonymi sędziami, adwokatami na obcasach i babami z pomocy społecznej. Trzeba się z tym pogodzić.

Tylko że on wcale nie wyjechał. Tu się mylą.

Alex bez przerwy o nim mówi. Mój tata to, mój tata tamto. Mój tata tak powiedział, mój tata jest królem na Pacyfiku i tym podobne. Wydawałoby się, że już dawno temu powinien być zrozumieć, jaki naprawdę jest jego ojciec. Ale nie, Alex wciąż płacze i za nim tęskni.

A jest taki brzydki, kiedy płacze. Beeee – tak właśnie to brzmi. Rozdziawia buzię. Beeee.

Broni mnie, kiedy Chrille się wścieka. O ile to można nazwać obroną. Siada na podłodze i płacze, uwiesi się na jego nodze, wali rękoma w łydkę. Kiedyś zastąpił mu drogę. Wyglądał jak policjant drogówki sprzed lat. W imieniu prawa, zatrzymaj się! Policjant wysoki na metr, ubrany w

pasiastą flanelową piżamę, równie straszny co pusta plastikowa butelka. Chrille chyba nawet go nie zauważył.

Alex wcale mi tym nie pomaga. Wręcz przeciwnie. Chrille jeszcze bardziej się wścieka, kiedy Alex tak się zachowuje. Goni i mnie, i jego. Jeśli szczęście dopisze, sąsiedzi się budzą i dzwonią po policję i wtedy dopiero zaczyna się impreza.

Zazwyczaj mnie samej łatwiej jest zażegnać awanturę. Tak jak kiedyś, gdy ja i Chrille byliśmy sami. Alex wygląda śmiesznie, wściekam się, kiedy mu tak odbija.

Można pomyśleć, że powinien zrozumieć, co jest dla niego najlepsze, i uciec do pokoju, położyć się pod łóżkiem albo schować w szafie. Skąd. Oczywiście ktoś musi się za mną ująć, bezbronną kobietą. I to, z braku laku, siedmioletni szczeniak. Patrzy na mnie tymi oczami jak u psa, ciemnymi i połyskującymi, i staje w mojej obronie. Cóż, może zauroczyłam go tak jak kiedyś Chrillego.

Chrille wróci. Nie wierzę, żeby ot tak popuścił. Może jednak będzie uważał, żeby nie oberwać od Alexa. Okrutna zemsta plastikowej butelki, to by było coś.

Alex kocha mnie najbardziej na świecie. Jestem jego mamą. Nikt inny, tylko ja. Mimo to ten głupi dzieciak tęskni za ojcem. Nie zapomniał, ale nie przypomina sobie szczegółów.

Chrille oczywiście też nie. To oczywiste, że tu wróci. W końcu on nikogo nie zostawił.

POWIETRZE BYŁO NIESAMOWITE. Coś działo się z letnim światłem rozlanym nad morzem. Chmury były w ciągłym ruchu, jakby dokądś zmierzały, a czas mijał w rytm fal uderzających o dziób.

Wiatr był w sam raz, cztery metry na sekundę. Niemal godzinę temu minęli most pontonowy położony w zachodniej części zatoki Gräddövikén. Dziadek protestował, kiedy postanowili przepłynąć między pontonami, używając silnika, no ale on zawsze protestował i narzekał. Aż do postoju na stacji

benzynowej, na której rozciągnęli duży żagiel, zrzędził, że prawdziwi żeglarze korzystają z żagli, nawet jeśli mają do dyspozycji tylko piętnaście metrów szerokości.

– I po co komu żaglówka, skoro nie umie wypłynąć z własnej przystani? Równie dobrze można sobie sprawić zwykłą łajbę, która ciągnie dwadzieścia litrów na milę i buczy jak napalony hipopotam, kiedy wrzuci się luz.

To, że wszyscy włączają silniki, kiedy im się spodoba, Sture uważał za oznakę zbliżającego się niechybnie końca świata. Od dawna tak mówił, nie była to żadna nowość. Kiedy już kończył narzekać na ten temat, zaczynał utyskiwać na Bałtyk, który nie miał tego, co jego ukochane i wytęsknione Morze Północne.

– Ci ze Sztokholmu może i mają metro, ale prawdziwych fal nikt tu nigdy nie widział. Ot, pluskanie się w wannie dobre dla mieszczuchów. Doprawdy na naszych szkiełkach trudno o coś gorszego.

Peter najwyraźniej nie przejmował się przyganami dziadka, używającego żeglarskich powiedzonek, których ona sama nigdy nie słyszała, choć pływała od małego. Peter był w zaskakująco dobrym humorze. Zamiast się obruszać, śmiał się. Ustawił się za Sophią i przywiązał pęk brzozowych gałązek do baksztagu. Kiedy dopłynęli do hodowli łososi w pobliżu Lidö, rozwinęli genuę i wtedy wreszcie dziadek przestał marudzić. Wystawił twarz do słońca i otworzył pilznera. Później złapali fordewind, płynęli więc z żaglami rozwiniętymi po obu stronach masztu, a wiatr wiał im w plecy. Deszczowe chmury, które towarzyszyły im podczas jazdy samochodem, zostały nad lądem. Nad morzem niebo było błękitne.

Sophia przytuliła się do Petera, który przejął ster, kiedy pomagała dziadkowi z piwem. Miał na sobie T-shirt, sweter i bawełniane spodnie, włosy na karku mu się skręciły, jak zawsze, kiedy się pocił. Sophia przystawiła nos do jego swetra i zamknęła oczy. Słońce grzało. Peter położył jej dłoń na głowie.

Ich łódź nie była zbyt duża i z pewnością niedostosowana do balkonika dziadka. Jednak dziadek miał ją, odkąd Sophia sięgała pamięcią, nie chciała więc się jej pozbyć. Kiedy wyprowadzili się z zachodniego wybrzeża pod koniec lata 1980

roku, Sture i Sophia sami przepłynęli łodzią od Hogdal do Rådmansö. U wybrzeży Bohuslän łowili witlinki na spinning i zbierali muszle. Gdy mijali płycizny w okolicach Skanii, Sophia spaliła sobie nos na słońcu, w nagrodę dostała więc waniliowego loda na patyku. Przy Szkierach Świętej Anny napełnili sieci śledziami. Przez resztę dni żywili się, korzystając z imponujących zapasów mleka w proszku i kiełbasek.

Łódź, shipman 28, miała niecałe dziewięć metrów długości, cztery wąskie koje i kokpit mieszczący cztery dorosłe osoby. Zbudowano ją w Visby, kadłub był biały. Ochrzcili ją tym samym imieniem, jakie nosiła łódź taty dziadka. „Titteli II”. Podczas wypadów, na nagranych słońcem skałach jadali kanapki z kawiozem i jajkiem na twardo. Dla niej jako małej dziewczynki „Titteli II” była symbolem bezpieczeństwa. Sophia wieczorami sypiała w koi, przyklejona plecami do ścian kadłuba, i turlała się to w jedną, to w drugą stronę, kiedy zmieniali kierunek. Do dziś pamiętała uczucie mdłości, kiedy wiatr tak szybko niósł łódź, że wzburzona woda rozpryskiwała się nad pokładem. I dźwięk kropli deszczu uderzających o żagiel, pasjansa stawianego z zawilgotniałej talii kart, krótkofalówkę i krzyżówki. Dla Sophii „Tittel II” była czymś więcej niż zwykłą szwedzką plastikową łodzią. To było jej dzieciństwo. Peter mawiał, że Sophia już dawno powinna była sprzedać łajbę.

Dziadek miał miejsce na przystani w Gräddö, odkąd tamtego lata dopłynęli do Rådmansö. Wygrał je podczas trwającej bardzo długo gry w karty przed lokalnym sklepem. W czasie gdy jej udało się zjeść cztery wafle z bitą śmietaną i dżemem truskawkowym, on wynegocjował cenę rocznego najmu. Do dziś Sophia płaciła tyle samo. Właściciel łodzi cumujący obok musiał bulić ponad cztery razy tyle.

Łódź wymagała dużo pracy, mimo to Sophia nigdy nie prosiła Petera o pomoc. Wynajęła chłopaka, który zajmował się przechowywaniem łodzi w zimie, wyciąganiem jej na wodę na wiosnę. Sprawdzał też, czy silnik i żagle wytrzymają kolejny sezon. Przy jego pomocy Sophia zainstalowała genuę, wymieniła silnik i zlikwidowała pokładową toaletę, żeby pozbyć

się smrodu i zyskać dodatkowe miejsce na bagaże. Chłopak był praktykantem w zakładzie fryzjerskim i miał mało pieniędzy, a Sophia dodatkowo pozwalała mu korzystać z łodzi, kiedy sama jej nie potrzebowała. Ten układ odpowiadał obojgu.

W zeszłym roku ona i dziadek wypłynęli zaledwie dwa razy. Nie czuł się dobrze po zawale, ona zaś miała mnóstwo pracy. Jednak każdego lata wybierała się na samotny rejs. Zazwyczaj dopływała do Finlandii, stamtąd na Gotlandię, a potem z powrotem. To był jej jedyny stały plan urlopowy, dzięki temu zachowywała opaleniznę aż do października. W zeszłym roku Peter towarzyszył jej przez tydzień. Tego lata chciał, żeby wybrali się czarterem nad Morze Śródziemne.

Sophia żeglowała od niepamiętnych czasów. O dziwo, postarała się o patent żeglarski, dopiero kiedy babcia zmarła, a dziadek przeszedł zawał. Wcześniej nie potrzebowała dokumentów zaświadczających, że umie nawigować, przynajmniej dopóki żeglowała z dziadkiem. Teraz jednak czuła, że musi mieć jakiś dowód na to, że zna się na mapach żeglarskich. Na wypadek gdyby kiedyś chciała wynająć łódź, jakąś większą, dla znajomych lub gdyby chciała coś zmienić w swoim życiu. Była nawet na obozie żeglarskim dla dorosłych. Trwał pięć dni, a ona przez cały czas czuła się głupio, ale nauczyła się sporo nowych rzeczy, no i nie musiała jeść kiełbasek.

Jako dziecko nigdy nie mogła wybrać się na taki kurs. – Niby po co? – odpowiadał dziadek. – I tak przez całe wakacje nie robisz nic innego, tylko żeglujesz.

Jej koledzy i koleżanki jeździli na obozy żeglarskie, ale nie ona. Dzięki wyprawom łodzią dziadka nie musiała jednak kłamać, kiedy ktoś pytał, co robiła latem. Hasło „Całe wakacje byłam na żaglach” brzmiało dobrze, nawet w jej szkole na Djursholm, gdzie – przynajmniej w niektórych kręgach – do dobrego tonu należało mieć gotową odpowiedź na takie pytanie.

– Myślę, że popłyniemy na Botveskär. Przy wysepkach na wschodzie pewnie nie będzie wiać, ani wieczorem, ani jutro rano. Jeśli nawet trzeba będzie wysłuchiwać krzyków turystów,

którzy zatrzymali się na Fejan, to na wodzie będziemy sami. – Sophia potarła się w nos i poprawiła żagiel, bo przedni lik zaczął trzepotać. – Mało który podpity nastolatek daje radę przepłynąć ten przesmyk.

– Daj mi tylko mapę i pokaż, gdzie leży ten raj, a ja już sobie poradzę. – Peter zmrużył oczy. – Mimo że to nie są moje wody.

– Tak jest, kapitanie! – Sophia zasalutowała, przystawiając dwa palce do czoła. Uśmiechnęła się. – Po prostu trzymaj kurs, a ja nastawię ziemniaki. Powinno się udać. – Zebrała włosy w węzeł i związała gumką, którą trzymała na nadgarstku, po czym zeszła pod pokład.

Specjały na Midsommar kupili w hali targowej na Östermalmie. To też poirytowało dziadka w Sztokholmie, uważał bowiem, że ryby należy kupować wcześniej rano na przystani. I to najlepiej na zachodnim wybrzeżu, od rybaka, którego rodzina była biedna od co najmniej trzech pokoleń. Dziadek powtarzał, że nie przepada za bogatymi sprzedawcami z Östermalmu. Jednak za każdym razem, gdy wybierał się tam na zakupy z Sophią, gawędził długo z barczystymi facetami zza lady.

W zasadzie świetnie się czuł w towarzystwie wszystkich, którzy tak jak on lubili dobre jedzenie. Jeśli do tego interesowali się nim i jego pieniędzmi, to wzajemna miłość była zapewniona. Wprawdzie dziadek lubił, gdy ryby zawijano mu w gazetę, zamiast karty na PIN wolał zaś resztę wydawaną w klejących się od łusek banknotach, mimo to zajadał się wędzonym węgorzem ze stoiska „Melandera”, śledziem w zalewie od „Lisy” i razowcem z piekarni „Amanda”, który smakował prawie tak jak chleb wypiekany przez babcię.

Sophia włączyła kuchenkę gazową i ustawiła na niej garnek z obranymi ziemniakami. Otworzyła kolejne plastikowe opakowania i na trzy cienkie kromki ciemnego chleba nałożyła po łyżce sałatki z krewetek w majonezie i jasnego kawioru. Oblizła kciuk i wyciągnęła drewnianą deskę do krojenia. Ułożyła na niej pięć zawiniątek w papierze śniadaniowym: dwa gatunki szynki, dwa łososie i obowiązkowy węgorz. Potem podeszła w stronę dziobu, żeby wyjąć trzy piwa i butelkę

norweskiego sznapsa. Mogli zjeść, kiedy tylko dotrą na miejsce. Zapowiadało się udane Midsommar.

– Bzdury!

Sophia zacisnęła szczękę, aż zaboląły ją mięśnie. Chcesz wszystko popsuć, dziadku? A było tak miło. Dlaczego musisz to psuć? Jakby mnie tu nie było, jakbym nie rozumiała, jakbyśmy nie wiedzieli, jakie prowadziłeś życie, podczas gdy babcia utrzymywała pozory.

– Bzdury, powiadam. Zawsze miałem dobre podejście do dziewczyn. – Siedział z twarzą zwróconą do słońca. Pod cienką kamizelką chował trzy pilznersy i dwie solidne piersiówki. – Natomiast ty – wskazał Petera – nawet podczas najlepszego okresu w życiu nie złowiłeś ani jednej... Bo o ile ją znam – dodał, machając w stronę Sophii – to ona ulitowała się nad tobą. Z tą twoją beznadziejną fryzurą nikogo byś nie złowił...

Peter się zaśmiał. Dziadek uniósł butelkę z piwem, a Peter dołączył do toastu.

Sophia spoglądała na wodę, próbowała się uspokoić. Twoje podejście podrywacza to żaden powód do dumy, pomyślała. Wciąż nie rozumiesz, że powinieneś się wstydić za te wszystkie skoki w bok.

– Ale ty przecież nie wiesz nic o mnie i moich możliwościach. – Peter odstawił pustą butelkę i rozparł się z rękami założonymi na brzuchu. – Ja natomiast mogę stwierdzić, że tobie pozostało teraz tylko spędzać całe dni z pilotem w ręku. Z całym szacunkiem.

Dziadek prychnął. Sophia z trudem mogła wytrzymać. Chciała stąd zniknąć.

– Jasne, jasne. Gdybyś tylko wiedział. – Dziadek wypił łyk piwa i otarł usta. – Ale żaden gówniarz z wielkiego miasta nie może powiedzieć, że nie znam się na stałych związkach.

No dobra, pomyślała Sophia, znowu zaczynamy. Obowiązkowa lekcja o seksie i współżyciu. Dlaczego ona nie ma dzieci? Dlaczego nie może się z nikim związać? Myślała, że uda się tego uniknąć, ale nie. Wiadomo, to, że jest Midsommar, nie znaczy, że można spędzić miło czas.

Dziadek ciągnął jeszcze głośniej:

– I tak sobie myślę... – Ostentacyjnie obrócił się do Petera i wymierzył w niego palec wskazujący. Kokpit był na tyle ciasny, że palec niemal dosięgnął czubka jego nosa. – Czy zastanawiałaś się nad założeniem rodziny, mój drogi? Nad dziećmi? Jakąś stabilizacją? Nad tym, żeby z mojej wnuczki zrobić porządną kobietę?

– No jasne – wymamrotała Sophia. – Znalazł się ekspert od związków.

– Że co? Coś mówiłaś? – Dziadek powoli przeniósł na nią wzrok.

– Nie, nic. Nic takiego.

Miał tego nie usłyszeć. Nigdy nie chciała, żeby jej odpowiadał. Nawet kiedy już była na tyle odważna, by udawać, że chętnie by mu odpyskowała. Mówiła swoje, ale tak, że dziadek nie do końca rozumiał. Kiedyś udawała, że to ze względu na babcię, musiała jednak przyznać, że po prostu brakowało jej odwagi.

– Dziadku. – Czuła, że policzki ją pieką. Przelknęła ślinę, żeby pozbyć się kwaśnego posmaku w ustach. – Nie musimy chyba rozmawiać o tym teraz. Dla mnie to niemiły temat.

Na chwilę zapadło milczenie. Sophia grzebała łyżeczką w pozostałościach po porcji słodkich truskawek z bitą śmietaną, które podała na deser. Jako jedyna wypiła wino deserowe. Nalała go do duraleksowej szklanki upstrzonej osadem z kamienia. Mocna kawa już się parzyła na kuchence gazowej. Trzy porcje bulgotały w niewielkiej włoskiej kawiarence. Dziadek dobrze spał po kawie, Sophia i Peter zaś nie mieli zamiaru zasypiać jeszcze przez kilka godzin.

– Ależ spokojnie. – Peter przyciągnął ją do siebie. Sophia spróbowała się uwolnić z objęć. – Dla mnie rozmowy na ten temat to żaden problem. Zamieszkaliśmy razem nie tak dawno temu. Nie wszystko naraz. Nie wiem, co więcej mogę powiedzieć. Będzie, co będzie, i już.

– Gadanie. – Dziadek z lekceważeniem machnął ręką. – Wyglądasz na dobrego faceta, Peter. Tak ogólnie rzecz biorąc. Wprawdzie nie umiesz żeglować w przystani, ale przecież i tak może wam się udać. Nie żeby wcześniej było mi dane spotkać

wielu jej chłopaków, ale jestem już stary. Nie mam czasu na wybrzydzenie, a ty, mój drogi doktorku, nie masz czasu, żeby zdawać się na los. Sophia jest moją jedyną krewną w wieku rozrodczym. Powinna zrobić sobie dwójkę, trójkę dzieci i zdobyć faceta, który sprawi, że jej życie będzie do zniesienia. A czas nagli. Ona tylko tak młodo wygląda, ale ma już swoje lata. Wiesz o tym?

Peter pokiwał głową, próbując zrobić poważną minę.

– Ona tego potrzebuje. Zresztą, po co udawać. To ja, ja tego potrzebuję. – Dziadek obrócił się do Sophii i chwycił jej dłoń. Zakołysał nią kilka razy. – Wcale nie uważam, że musisz mieć dzieci. W zasadzie nie chodzi o dzieci. Tylko o coś innego. Wiesz przecież, skarbie, o czym mówię. – Odwrócił się z powrotem do Petera i ciągnął już lżejszym tonem: – Zaczyna mnie już męczyć odpowiedzialność za nią. I to o to chodzi. – Mówiąc to, dziadek wyglądał naprawdę staro.

– My bardzo dużo pracujemy. Nie mamy... Wydaje mi się, że to nie jest temat na teraz.

Sophia wstała i zaczęła sprzątać naczynia. Po co w ogóle próbowała odpowiadać? Tak naprawdę sama chciała zadać pytania. Im mniej będzie się odzywać, tym szybciej skończy się ta rozmowa. To babcia się przejmowała i chciała zrozumieć. Dziadek tylko wtrącał się w nie swoje sprawy. To babcia zabierała ją zawsze z dyskoteki, zgłaszała jej zaginięcie na policję, gdy Sophia za późno wracała ze stajni, i chowała przed dziadkiem alkohol, kiedy był pijany. Jednak babci już z nimi nie było.

Powinam przynajmniej mieć tyle odwagi, żeby zabrać mu flaszki. Na tyle powinno mnie być stać.

Na dole Sophia przygotowała trzy filiżanki. Dziadkowi wrzuciła dwie kostki cukru i włożyła łyżeczkę. Wyciągnęła też tabliczkę czekolady z szafki nad kuchenką i wetknęła pod pachę.

– Tylko nie zapomnij o koniaku. – Dziadek popatrzył na nią, kiedy z tacą w ręku pojawiła się na pokładzie.

– Nie będzie koniaku.

– Ach tak? – Podniósł wysoko krzaczaste brwi i spojrzął na

Petera, który się nie odzywał. Skrzyżował ręce na piersi.

Są jak psy, pomyślała Sophia. Dwa małe psy. Jeśli tylko człowiek powie coś zdecydowanym tonem, da znać, że jest pewny swego, nie ośmielą się protestować.

– A więc nie będzie koniaku. No doprawdy. A ja myślałem, że spędzimy sobie miło Midsommar. Jak to można się zawieść.

Sophia czuła, jak ściska ją w żołądku. Dziadek kolejny raz zwrócił się do Petera:

– W dzisiejszych czasach chyba nie da się za dużo zarobić jako lekarz? – Dziadek znów podniósł głos, na policzki wystąpiły mu czerwone plamy. Sophia wiedziała, na kogo tak naprawdę jest zły, a zarobki w szwedzkiej służbie zdrowia nie miały akurat nic do rzeczy. – Ile na przykład wyciąga ktoś na twoim stanowisku? Dwadzieścia tysięcy koron na rękę? Dwadzieścia pięć?

– Dziadku! Czy nie mógłbyś... Nie chcę o tym rozmawiać, nie chcę, żebyśmy... Właściwie to uważam, że akurat ty nie powinieneś... – Głos uwiązał jej w gardle. Musiała przerwać, bo czuła, że się rozplacze.

Dziadek i Peter spuścili wzrok. Peter zakasłał kilka razy.

– Racja. To trudny temat. Przepraszam. Wybaczcie, że zapytałem. – Dziadek dopił ostatni łyk kawy i głośno odchrząknął. Wyjął chusteczkę i dokładnie wytarł kąciki ust. – Ach ta wymyślna włoska breja – prychnął, potrząsając filiżanką. – Co jest nie tak z przyzwoitą kawą z ekspresu? No powiedzcie. Albo nawet z rozpuszczalną. W końcu jesteśmy na morzu, a nie w jakiejś tawernie nad Morzem Śródziemnym. Kawa rozpuszczalna to niegłupi wynalazek. No ale przecież mnie i tak nikt nie słucha. Pójdę się położyć. Jestem stary i zmęczony. Nie mam siły zabawiać was przez całą noc. Aha, jeśli wyłączę aparat, to nic a nic nie słyszę. Tak tylko mówię, żebyście wiedzieli. Więc absolutnie się nie krępujcie. Na mnie nie zważajcie. Możecie jechać na całego. Nie ceregiel się z nią, może w końcu będzie musiała zająć się czymś innym niż pracą i chowaniem alkoholu przed dziadkiem, któremu na starość i tak zostało już niewiele okazji do wypitki.

Peter się uśmiechnął. Sophia zazgrzytała zębami. Kiedy

wydawało jej się, że nie wytrzyma i zacznie krzyczeć, dziadek pochylił się i chwycił ją za ramię.

– Pomożesz mi, Fialotto?

Sophia wstała, czując, że płacz znów ściska jej gardło. Dlaczego reaguje w ten sposób? Dlaczego nie może tego po prostu zamilczeć, pozwolić mu robić swoje? W sumie co za różnica, czy dziadek pije za dużo, teraz i tak nie zdarzało się to zbyt często. Wprawdzie lekarze mówili, że powinien uważać, ale kieliszek od czasu do czasu nie miał większego znaczenia.

– Dziadku – wyszeptła. – Nie chcesz zostać? Przyniosę ci koniak. Po prostu się niepokoję, chyba sam rozumiesz?

– Moja kochana, najdroższa Fio. – Poglądził ją po policzku. – O mnie się nie martw. Naprawdę nic się nie stało, słowo daję. Ale jestem zmęczony. Dajmy spokój. Jutro przecież też jest dzień. Tak przynajmniej mówią. Kto wie? Może mają rację. Może jeszcze zostało mi wiele takich dni.

Odwróciwszy się plecami do rufy, Sophia stanęła przed dziadkiem, tak żeby go chwycić za obie ręce, kiedy będzie schodził pod pokład wąskim trapem. Kiedy już zeszli i usadowił się na koi, Sophia zamknęła trzyczęściową klapę. Powinien mieć spokój. Ona mogła wyjść przednim lukiem, a potem, kiedy już będą się kładli z Peterem spać, też będą mogli wejść tamtędy. Zapaliła też światło. Dziadek lubił czytać przed snem.

Bez słowa zasunęła firanki przy świetlikach. Później wyciągnęła pościel z bakisty i zaczęła ścielić. Dziadek siedział naprzeciwko i przyglądał się jej. Dłuższą chwilę milczeli, ale w końcu się odezwał:

– Kiedy szłaś do przedszkola, to ja cię odprowadzałem – powiedział. – Zawsze. To było po drodze na uniwersytet. Sadzałem cię na kierownicy roweru. Pamiętasz?

Chwycił jej dłoń, aż musiała przestać ścielić. Zamknęła oczy i pokręciła głową.

– Musisz mnie wysłuchać, to ważne. Siedziałaś na kierownicy, ale kiedy szliśmy do wejścia zwirową ścieżką, niosłem cię na barana. Obejmowałaś mnie za szyję, jak najmocniej umiałaś, jakbyś się bała, że spadniesz. I kiedy już dochodziliśmy do drzwi, pochylałaś się i szeptałaś mi do ucha:

„Kocham cię, dziadku, kocham cię całego”. Mówiłaś tak co rano. „Kocham cię, dziadku, kocham cię całego”. Może po to, żebym nie zapomniał.

Na chwilę przymknął wyblakłe niebieskie oczy, potem mówił dalej.

– I nie zapomniałem. Twoich szczuplutkich ramion, spoconych rączek, wciąż je czuję... To tak jakby wspomnienie zapadło mi w skórę, bo do dziś pamiętam twój dotyk. I to, jak siedziałaś na barana. Na pewno tego nie pamiętasz?

Sophia kolejny raz pokręciła głową. Dziadek powoli zaczął rozpinąć koszulę. Opierając się plecami o spuszczone trap, rozwiązała mu buty i ściągnęła skarpety. Kiedy je strzepnęła, posypały się z nich gęsto jasne płatki złuszczonej skóry. Zwinęła każdą osobno i włożyła do butów.

– Jak chcesz, jutro obetnę ci paznokcie u nóg. Najwyższa pora. A najpierw możemy ci namoczyć nogi w misce.

– Naprawdę? – Mówił zmęczonym głosem. – Ależ jesteś dobra dla starego dziadka. – Wciągnął piżamę przez głowę. – Idź już – wymamrotał. – Dam sobie radę. Idź i zabaw swojego faceta.

Sophia przelknęła ślinę, nie wiedziała, co odpowiedzieć. W kajucie było już ciemno, poświata letniej nocy ledwo przebijała się przez zasłonki. Sophia chciała mu spojrzeć w oczy, powiedzieć, że wie o jego dobrych intencjach. I że nawet jeśli jej jest trudno, to jemu oczywiście jest jeszcze trudniej.

Miała mu tyle do powiedzenia, ale nie wykrztusiła z siebie ani słowa. Naprawdę nie chciała, by musiał się wstydzić, że się zestarzał, że nie jest już taki jak dawniej. Powinien wiedzieć, że dla niej nadal jest dużym i silnym mężczyzną.

Dziadek zapalił lampkę nad koją i się położył. Nie patrzył już na nią. Sięgnął po książkę i ją otworzył. Sophia pocałowała go w czoło. Przez chwilę trzymała usta przyciśnięte do powleczonej cienką skórą twardej czaszki. Potem wyszła z powrotem na letnie powietrze.

Był środek nocy. Na stoliku w kokpicie palił się lampion oraz świece odstraszające komary. Kilka centymetrów nad powierzchnią wody mgła i owady unosiły się niczym w tańcu.

Sophia leżała przytulona plecami do piersi Petera, który obejmował ją ramieniem. Nogi miała okryte kocem. Wcześniej kąpali się nago w lodowatej wodzie, skóra przesiąkła im zapachem morza, a włosy zlepily się w słone strąki.

Łódź była zakotwiczona. Morze się uspokoiło, więc lina kotwiczna zwisała luźno. Z pełnej barów przystani na wyspie Fejan słychać było dudnienie muzyki i elektrycznych bębnow. Ich natrętny dźwięk niósł się swobodnie przez pograżoną we śnie przestrzeń, zupełnie nie pasując do tego miejsca. W przerwie między jedną a drugą piosenką rozległ się kobiecy krzyk. Może pijacki, nie dało się zrozumieć słów, ale brzmiał radośnie.

Peter oddychał tuż przy uchu Sophii. Łaskotało ją to. Przez chwilę nie zwracała na nic innego uwagi.

– Chcesz mieć ze mną dziecko?

Nie odpowiedziała. Wszystko wokół zdawało się martwe. Skąły czernily się na tle nocy. Od morza powiało chłodem, Sophia ściślej owinęła się kocem. Peter pocałował ją w policzek.

– Mm... – odparła i zamknęła oczy.

Nigdy nie będę miała dzieci, pomyślała. Nigdy.

SŁOŃCE WŁAŚNIE WRÓCIŁO, rozmywając linię horyzontu. Żadna gwiazda nie zdążyła się pokazać na szaroniebieskim niebie. Noc właściwie nie zapadła na dobre. W sobotę 20 czerwca, poranek Midsommar, za dwadzieścia dwie minuty druga było jasno jak w dzień.

Wtedy przyszło zgłoszenie.

III

23

NA NUMER ALARMOWY zadzwoniła rozhisteryzowana kobieta.

Pijana, jak zwykle, pomyślał inspektor Stefan Olsson. Przyjedźcie jak najszybciej, tu jest krew. I płacz, i zgrzytanie zębów. Pijani kochankowie lubili się zabijać w tę najbardziej poetycką i najbardziej szwedzką noc, która stała się jakby osobnym świętem narodowym pijaków.

Ktoś dźgnął kogoś nożem. I po sprawie. Tak niewyobrażalnie banalne, że świetnie pasowałyby do sztuki Szekspira. Stefan często chodził do teatru. Ostatnio był na Deszczowej piosence w teatrze Oscar.

Mieszkanie na trzecim piętrze. Trzy pokoje z kuchnią, siedemdziesiąt siedem metrów kwadratowych. W budynku była winda, ale się zepsuła, więc musieli wejść po schodach. Zepsuty był też łańcuch przy drzwiach. Współpracowniczka Stefana podważyła paznokciem poluzowaną nasadę i tak dostali się do środka. Za drzwiami był nieduży przedpokój. Na lewo, pod ścianą, stała para kaloszy z wizerunkiem Spidermana, trzy pary butów w rozmiarze 38 i zdecydowanie większe zniszczone adidas.

Rozwrzeszczana kobieta krążyła po przedpokoju. Miała krew we włosach, na ubraniu, na rękach.

Całkiem ładna jak na pijaczkę, stwierdził Stefan. Wąska w talii, za to zaokrąglona powyżej. Z burzą splecionych blond włosów. Za kilka lat zmieni się w napuchnięte przepite monstrum, ale na razie wyglądała kusząco. Świeżo wykąpana na pewno prezentowałaby się ciekawie, tyle Stefan mógł stwierdzić. No ale on zawsze dostrzegał szczegóły.

Na prawo znajdowała się łazienka. Ktoś zwymiotował do sedesu. Mimo że wodę spuszczone wiele razy, na ściankach

muszli i na opuszczonej desce wciąż było widać resztki zawartości czyjegoś żołądka.

Kuchnia była wąska – z jednej strony szafki, czteropalnikowa kuchnia, lodówka i zmywarka. Na stole stały trzy butelki wysokoprocentowego alkoholu. Jedna była pusta. Obok najdroższej, whisky marki Glenmorangie, stała miska z kefirem i czekoladowymi płatkami, a obok leżała brudna łyżka. Wszędzie wały się nieumyte naczynia, na kuchence stał garnek z ziemniakami i tłusta patelnia. Podłoga była brudna.

Współpracowniczka Stefana zajęła się kobietą. Karetka już była w drodze. Tymczasem Stefan musiał sprawdzić, czy w mieszkaniu jest ktoś, kogo trzeba rozbroić bądź ratować. Miałby ochotę utulić zapłakaną blondynę, ale nie mógł zostawić drugiego pijaka koleżance.

Wślizgnął się do salonu, żeby rozeznaczyć się w sytuacji i podjąć ewentualne działania. To znaczy o ile było cokolwiek do zrobienia. Po obu stronach znajdowały się okna, jedno wychodziło na ulicę, drugie na podwórko. Umeblowanie składało się z wysłużonej kanapy i dwóch foteli z Ikei. Przy krótszej ścianie stał też ikeowski regał. Po podłodze wałało się ze trzydzieści książek w wydaniach kieszonkowych, kawałki potłuczonego wazonu i masa wyblakłych tygodników. W dłuższej ścianie znajdowały się dwuskrzydłowe drzwi prowadzące do sypialni. W głębi były następne, łączące salon z kuchnią.

Właśnie tam, w progu, leżał na brzuchu jakiś facet. Nogi miał wyprostowane, ramiona rozrzucone na boki, jedną dłoń otwartą. Twarzą zwrócony był do drewnianej podłogi w salonie. Około trzydziestu pięciu lat. Nie miał na sobie butów, tylko dżinsy i sprany T-shirt z nadrukiem.

Oberwał nożem co najmniej dwa razy, uznał Stefan. Ostrze wyjęto, więc facet mocno się wykrwawił. Może krew nadal płynęła, trudno było stwierdzić. W każdym razie ofiara, może już denat, się nie poruszała.

Obok, w kałuży krwi, klęczał ośmioletni, może trochę starszy chłopiec. Stefan nie umiał oceniać wieku dzieci, jego była żona robiła to o wiele lepiej. Wiedziała wszystko o maluchach, kiedy

zaczynają im wypadać zęby i tym podobne. Chłopiec zachowywał się cicho, tylko patrzył się przed siebie, źrenice miał jak monety, tęczówek w ogóle nie było widać.

Przez chwilę Stefan gapił się na chłopca. Ich spojrzenia się spotkały.

Trzymał przed sobą oburącz nóż. Stefan słyszał muzykę orkiestrową dobiegającą z telewizora, grali właśnie jeden z najbardziej skocznych szwedzkich utworów. Na podłodze za chłopcem leżało kilkanaście rozrzuconych płyt DVD. Przez okno do pokoju zaglądało poranne słońce, ukazując chmurę kurzu unoszącą się w powietrzu.

– To ja – powiedział wreszcie chłopiec. Wydawał się spokojny. – Tatusz chyba nie żyje. – Rozluźnił palce i rzucił nóż na bok. Nóż obrócił się kilka razy. – Krew już nie leci, więc umarł.

Co się porobiło z tym światem, pomyślał Stefan, wyciągając rękę do chłopca.

Mały zaczął się odsuwać na kolanach. Stefan podszedł bliżej. Przykucnął i przyłożył mężczyźnie dwa palce do szyi, żeby sprawdzić tętno. Niby nic, choć Stefanowi się wydawało, że wyczuwa słaby puls.

Facet oberwał w kark, co do tego nie było wątpliwości, a drugi raz w lędźwie. Tam właśnie koszulka była najbardziej zakrwawiona. Stefan ucisnął jak najmocniej miejsce, w którym prawdopodobnie znajdowała się rana.

Nagle zebrało mu się na wymioty. Przed oczami pojawiły się mroczki, w ustach poczuł gorycz. Co jest, co się stało, u licha? A do tego ten chłopiec siedzący obok, rozdygotany, jakby zmarł, mimo że w pokoju było ciepło.

Stefan podniósł głowę i spojrzał w kierunku kuchni, gdzie było widać pozostałości po midsommarowej imprezie. Typowe kulisy pijackiej kłótni.

Dlaczego nie mogli na tym poprzestać? Z tym by sobie poradził, z pijakami nie miał problemów. Przyzwyczaił się już do nich.

– Najpierw upadł. Wtedy, jak chciał zabić mamę. To znaczy nie... Najpierw chciał zabić mamę i ją gonił. Potem się

przewrócił. Życzył mamie śmierci. Mnie też, chociaż nie tak bardzo. A czasami to w ogóle nie. A ja nie chcę, żeby mama umarła. Rozumie pan? Chcę pomóc mamie. Sam pan wie, nie wolno pozwolić, żeby mama zginęła. O nie.

Stefan ni to pokiwał, ni to pokręcił głową. Nie wiedział, jak zareagować. Otworzył usta, ale język miał drętwy, w ustach suchość. Palce mu zeszywniały.

Kilka razy zatarł brudne dłonie. Nie ma sensu gapić się na kałużę krwi, powinien przecież założyć opaskę uciskową, obrócić faceta na plecy i zacząć resuscytację. Pewnie i tak już za późno, ale musi spróbować. Za chwilę przyjedzie karetka, więc to kwestia kilku minut.

– To ja to zrobiłem, bo musiałem pomóc mamie. Nikogo innego nie było. Rozumie pan?

Chłopiec przekrzywił głowę.

Przez sekundę Stefanowi wydawało się, że chłopiec chce się uśmiechnąć. I to takim przymilnym uśmiechem jak dzieci na amerykańskich filmach, kiedy próbują zdobyć coś, na czym im zależy.

Jednak chłopiec się nie uśmiechnął. Może się rozmyślił, może był smutny. Stefan nic nie odpowiedział.

– To ja – mówił dalej chłopiec. – Słyszysz pan? Ja. A teraz tata nie żyje. Nie żyje, prawda? Umarł?

24

COŚ WYRWAŁO JĄ ze snu. Sophia, w chwili obecnej adwokat na urlopie, zrobiła wymach ręką i się podniosła. Dopiero kiedy uderzyła głową w sufit przedniej koi, uświadomiła sobie, że to nie budzik dzwoni, lecz jej komórka. Miała ustawiony nietypowy sygnał, który brzmiał jak stary telefon.

– Przepraszam, że dzwonię tak rano.

Nie знаła ani głosu, ani numeru, który pojawił się na wyświetlaczu.

– Nazywam się Veronica Svensson i pracuję w dzienniku

„Expressen”. Czy rozmawiam z mecenas Sophią Weber?

Sophia najpierw pokiwała głową, potem oprzytomniała nieco, odchrząknęła i odpowiedziała:

– To ja. Co się stało?

– Dzwonię, żeby porozmawiać o Christerze Anderssonie. Nie żyje.

– O kim?

Wciąż miała zaspany głos. Przez ułamek sekundy wydawało się jej, że coś się stało dziadkowi. Potem przypomniała sobie, że przecież dziadek śpi na łodzi. Zresztą „Expressen” raczej nie dzwoniłoby do niej, żeby poinformować ją o tym, że miał nieszczęśliwy wypadek.

Odchrząknęła jeszcze raz i potarła głowę. Wyczuła rosnący guz.

– O Christerze Anderssonie. W aktach sprawy o... przejęcie opieki, prowadzonej wiosną przez Sąd Rejonowy w Sztokholmie, widnieje pani jako osoba reprezentująca jego syna.

– Ach, to... Tak, zgadza się.

Peter się obudził i popatrzył na Sopię. Pokręciła głową.

– Praca – poruszyła bezgłośnie ustami. Znów zamknęła oczy.

Na dworze było jasno. Sophia otworzyła luk i wyszła na pokład. Woda była gładka i różowa od promieni porannego słońca. Ptaki już się obudziły, za to młodzi imprezowicze z barów na Fejan chyba wreszcie poszli spać. Sophia szybko odsunęła telefon od ucha i zerknęła na wyświetlacz. Wpół do piątej.

– Więc mówi pani, że nie żyje?

– Tak. Zadźgany nożem zaraz po północy w domu przy Ynglingagatan 14. Godzinę później w szpitalu stwierdzono zgon.

– Ach tak. Straszna historia... To znaczy przykro mi to słyszeć.

Sophia poczuła, że musi się wysikać. Podrapała się w kostkę, w miejsce, gdzie ugryzł ją komar, i pomyślała, że może nie powinna schodzić na brzeg na bosaka. Niebezpiecznie jest skakać po wilgotnych skałach. Kiedyś, próbując zejść boso na

brzeg, poślizgnęła się, nabiła sobie siniaka i złamała mały palec u nogi. Dziadek do dziś przynajmniej kilka razy w roku ganił ją za tę lekkomyślność.

Przyszło jej do głowy, że mogłaby załatwić się do wiadra. Potem jednak przypomniała sobie, że wiadro stoi obok koi dziadka. Obudziłaby go.

– Ale nie rozumiem. Nie reprezentuję Christera Anderssona, tylko jego syna. O ile pamiętam, Christer Andersson w ogóle nie pojawił się na rozprawie.

– Zatem nikt się z panią nie kontaktował?

– Nie. – Sophia przetarła oczy. Wciąż nie mogła pojąć, o co chodzi. – Niby czemu ktoś miałby się kontaktować? Czy coś się stało Alexowi?

Pamiętała, że postanowiono odesłać Alexa do matki na Midsommar. Do matki! Ojca miało tam nie być, bo on, w przeciwieństwie do Lindy Medner, nie wykonywał regularnie badań krwi i moczu, aby udowodnić, że nie pije. Zakładano, że Alex nie będzie się widywał z ojcem.

– Mówi pani, że ojciec Alexa był w mieszkaniu na Ynglingagatan?

– Tak. – Dziennikarka milczała przez chwilę. – To on. Według naszych doniesień to Alex go zabił. Najwyraźniej doszło do bójki między matką i ojcem, Alex chwycił nóż, to jakaś japońska broń. Wbił go ojcu w kark, kiedy ten się przewrócił w progu między salonem a kuchnią. To raczej pewne. Wczoraj wieczorem Alex zabił ojca.

Mewa zaskrzeczała falsetem, przypominającym płacz zagubionego dziecka.

Skąd gazeta wie, jakiego noża użyto? – pomyślała Sophia.

– Czy może pani to jakoś skomentować? Może mogłaby pani do mnie zadzwonić, kiedy już skontaktuje się pani z Alexem? Domyśla się pani, że chętnie byśmy z nim porozmawiali. Albo przynajmniej z jego matką. Lub z panią. O tym, co zaszło i co się teraz stanie.

Sophia nie miała pojęcia, co odpowiedzieć. Dziennikarka mówiła dalej:

– Proszę się przygotować na niemałe zamieszanie. Nie tylko

ja będę chciała rozmawiać z panią i Alexem. Czy też o Alexie. Siedmioletni zabójca w środku letniego sezonu ogórkowego. Pani chyba jeszcze nie do końca rozumie, zdaje się, że panią obudziłam. To niesamowity news. Nieważne, co się teraz stanie, Alex będzie tematem numer jeden wielu gazet. No chyba że nasza księżniczka ogłosi, że jest w ciąży i wzięła potajemnie cywilny ślub, nie zaprosiwszy na wesele żadnych głów koronowanych. Przepraszam, nie chciałam żartować. Sprawa doprawdy nie jest zabawna. Ale teraz się zacznie, mogę panią uprzedzić.

Komar usiadł Sophii na ramieniu, widziała, jak wpija się w skórę. Kiedy już wessał się na dobre, zmiażdżyła go kciukiem i roztarła plamę krwi.

– Bez komentarza.

Jak niby miałabym to komentować? – pomyślała. Co miałabym powiedzieć? Co się mówi w takich sytuacjach?

– Muszę porozmawiać z moim klientem. To znaczy klientem jak klientem. Muszę się zorientować, co się stało. I czy w ogóle będę tu coś miała do zrobienia. Bo tego na razie nie wiem. Chyba pani rozumie? Nie wiem, na razie nie mam żadnych wytycznych, tak więc nie mam się o czym wypowiadać. Proszę jednak pamiętać, że on ma siedem lat. Jeśli już musicie do kogoś dzwonić, to dzwońcie do mnie. Powiem, co będę mogła. Tylko proszę dać mu...

Szyba luku prowadzącego do koi była od wewnątrz zroszona. Wydawało się, że powietrze w środku jest wilgotne.

Na myśl, że musi wejść do dusznej kajuty i obudzić Petera, zrobiło jej się niedobrze. Nagle, nie wiedząc czemu, zaczęła szcząkać zębami, jakby temperatura spadła poniżej zera.

– ...proszę dać mu spokój.

Przez kilka minut Sophia siedziała na pokładzie z telefonem w rękę, czekając na łązy, które jednak się nie pojawiły. Potem zeskoczyła boso na ląd. Załatwiła się w zagajniku i przez niemal dwie godziny siedziała na skale. Oplotła ramionami podkurczone nogi, brodę oparła na kolanach. Potem weszła na pokład, żeby zrobić kawę i przygotować śniadanie.

O siódmej wyciągnęli kotwicę i włączyli silnik. W ten sposób

zyskali na czasie. Sophia chciała wrócić jak najszybciej. Dała sobie spokój z rozwijaniem i zwijaniem żagli. Zresztą kierunek wiatru był niekorzystny. Nie miała już cierpliwości, żeby zeglować. Wprawdzie nikt więcej do niej nie dzwonił, nikt oficjalnie nie potwierdził, że ma reprezentować Alexa, jednak zdawała sobie sprawę, że to kwestia godzin.

Jeśli policja zechce przesłuchać Alexa, i to zapewne jak najszybciej, to ona za wszelką cenę musi być przy tym obecna. Jeśli okaże się, że nie zdąży, znajdą mu kogoś innego albo po prostu zrezygnują z adwokata. Wolą nie ryzykować.

Dziadek i Peter nie byli zadowoleni z decyzji o wcześniejszym powrocie, ale dziadek przynajmniej boczył się po cichu. Za to Peter się nie hamował. Przez półtorej godziny, bo tyle zajęło im dopłynięcie do Gräddö, zdążyli się posprzeczać o różne rzeczy niezwiązane z tą sprawą. Klócili się zawzięcie i głośno o drobiazgi niemające nic wspólnego z tym, o czym tak naprawdę chcieli porozmawiać.

Nie powiedział, że nie rozumie, dlaczego Sophia koniecznie chce wrócić. Nie przyznał, że jego zdaniem ten pośpiech wiąże się raczej z ich niedawną rozmową, a nie wynika z jej uzależnienia od pracy. Bo przecież ona bez przerwy musi pracować i tylko to jest najważniejsze. Tego też nie powiedział.

Zamiast tego klócili się o mieszanki benzyny, plany na urlop, ubrania na deszcz oraz odbijacz, który po odkotwiczeniu powinien się znaleźć na pokładzie, a wciąż wisiał na burcie. Sprzeczali się z taką pasją, jakby odbijacz był ukrywanym dotąd dzieckiem Petera.

O jego planach założenia rodziny nie rozmawiali. To, że poruszą ten temat, było równie prawdopodobne jak to, że przy sterze stanie różowy słoń, który każe Sophii rozwinąć grot.

Dziadek zszedł pod pokład i wyłączył aparat słuchowy.

Mimo wszystko jakoś udało im się dopłynąć do lądu. Starannie przycumowali łódź i poszli na parking. Akurat padał delikatny kapuśniaczek, aż miało się wrażenie, że to para. W samochodzie wszyscy milczeli. Peter, o nic nie pytając, wysadził Sopię przed opustoszałym Mörby Centrum i oznajmił, że dalej musi jechać sama. Potem zawrócił i odwiózł dziadka. Nie

musiała go o to prosić, sam dopilnował, żeby dziadek bezpiecznie wrócił do siebie. Zapomniała jednak podziękować.

Najpierw poszła do domu towarowego Åhlens, otwartego, o dziwo, pomimo święta, i zapytała nastolatka przy kasie, co kupić siedmioletniemu chłopcu, który leży w szpitalu. Myślała, że sprzedawca zaproponuje jej jakąś książeczkę z dinozaurami albo zestaw farb. Dwadzieścia minut później, uboższa o dwa tysiące koron, stała się posiadaczką przenośnej konsoli, która mieściła się w wewnętrznej kieszeni kurtki. Dokupiła do tego dwie gry, najpierw jednak sprawdziła, że nie polegają na zabiciu jak największej liczby elektronicznych potworów. Wystarczy, że mieli prawdziwą makabrę.

Do centrum dojechała metrem, w wagonach było pusto. Oczy zaczęły jej łzawić od wpatrywania się w migające za oknem ściany tunelu. Wysiadła przy Gamla stan.

Na peronie natknęła się na świeżo rozwieszzone reklamówki gazet. Wypisane tłustym drukiem nagłówki głośniły: ZEMSTA MALTRETOWANEGO SIEDMIOLATKA – CHŁOPIEC ZABIJA OJCA. Przecierając oczy grzbietem dłoni, zorientowała się, że płacze. Sama nie wiedziała dlaczego. Wiedziała jednak, że gra za dwa tysiące koron nie pomoże ani jej, ani Alexowi.

Chciała kogoś zapytać, co powinna zrobić. Dowiedzieć się, co mówi się siedmiolatkowi, który nigdy się z nią nie przywitał, nigdy się nie odezwał i nie spojrział jej w oczy. Co mówi się chłopcu, który być może zabił ojca? Anna miała dzieci, ona pewnie by wiedziała. Czy należało go przytulić? Czy to na pewno dobry pomysł, żeby dawać mu prezent?

Sophia nie zadzwoniła jednak do Anny. Chwyciła egzemplarz darmowej gazety ze stojaka i wyłączyła komórkę. Pierwszą stronę przeczytała, idąc. Przewróciła następne, żeby znaleźć główny artykuł, po czym złożyła gazetę na pół, żeby czytać dalej. Miała wrażenie, że trzeba się spieszyć, choć kto wie, może już było za późno.

Kiedyś było inaczej.

Pamiętam jedno udane lato. To było na wsi, w zawilgoconej chacie, którą rodzice od kogoś wynajęli czy może ktoś im ją udostępnił. Naprawdę lubiłam to miejsce. Bawiłam się

skakanką z córką sąsiadów. Skakanka była jej, naprawdę długa, zrobiona z pasiastego czerwono-białego sznura z uchwytnymi zielonymi jak guma balonowa. Jeden koniec przywiązywałyśmy do rynny. Nikt z dorosłych nigdy nie chciał się z nami bawić, a innych dzieci nie było. Potem skakałyśmy na zmianę. Obok była łąka, a za domem rozciągał się las. Na łące rósł oset, koniczyna i inne zielsko. Nauczyłyśmy się nazw wszystkich roślin, do dziś je pamiętam. Rosły tak gęsto, że nikt nie mógł tam wejść, ale nam się udało.

Czasami chodziłam sama do lasu, nikomu o tym nie mówiłam. Potrafiłam tam spędzić cały dzień. W lesie było cudnie i cicho, ciszej niż gdziekolwiek indziej. Kładłam sobie na język liście szczawiku i kopałam wszystkie napotkane grzyby. Było super. Wieczorem, kiedy chodziłam boso po trawie, miałam mokre stopy, nawet jeśli wcześniej nie padało. Wydawało mi się to dziwne, ale mama wytłumaczyła mi, że to rosa.

Było tam niebezpiecznie: pokrzywy, osy, krzewy złotokapu. Jeśli pływało się tuż po jedzeniu, serce mogło doznać szoku albo można było dostać śmiertelnego skurczu mięśni. A jeśli szło się do lasu bez kaloszy, można było nadepnąć na żmiję, która kąsała jadem. Od tego się umiera. Kiedy człowiek się zgubił, należało siedzieć i czekać na pomoc, a jeśli akurat było zimno, to nie wolno było wtedy zasnąć, bo też mogło skończyć się śmiercią. Ewentualnie można było sprawdzić, z której strony drzewa rośnie mech, wtedy było wiadomo, gdzie jest północ. To znaczy chyba chodziło o północ, teraz już nie pamiętam. A brzydscy starzy faceci używali szczeniąt albo słodyczy na wabia, żeby nas przelecieć.

Tak, tamto lato było udane. Wtedy mogłam robić, co chciałam. Żadni idioci nie wtrącali się do mojego życia, nikogo nie musiałam nienawidzić.

Może i czasami mówiłam mamie, że jej nienawidzę i jest najgłupsza na świecie, bo kazała mi iść spać albo umyć zęby czy coś w tym stylu. To się jednak nie liczy, nie na serio. Dzieci po prostu tak gadają, kiedy jest im dobrze.

– CO TO ZA zamieszanie?

Marie Olsson, o kościach policzkowych rozstawionych szeroko jak u kota, okrągłych i zawsze wpółotwartych oczach, nie mogła ukryć ekscytacji. Była prokuratorem w Sądzie Okręgowym i akurat miała dyżur.

Przed budynkiem stała gromada dziennikarzy z różnych redakcji i co najmniej czterech stacji telewizyjnych. Wszystkie mikrofony i obiektywy kamer skierowane były w stronę przeszklonego wejścia, a podtykano je tak blisko, że znajdowały się w zasięgu fotokomórek. Drzwi otwierały się więc i zamykały bez przerwy, mimo że nikt nie wchodził ani nie wychodził.

Prokurator Olsson, odpowiedzialna także za prowadzenie śledztwa, poprosiła Sopię i Lisę Zeiger o spotkanie na komendzie. Kiedy wreszcie weszła do pokoju zebrań, obie czekały na nią już od pół godziny.

– Dziękuję, że panie przyszły.

Usiadła i niezgrabnie ściągnęła z ramienia pasek od teczki. Potem otworzyła ją, z niepewną miną zajrzała do środka, po czym zamknęła i odłożyła na bok, niczego z niej nie wyjąwszy.

– Sama nie wiem, od czego zacząć. To nietypowa sprawa. I dzięki Bogu. Z tego jednak powodu uważam, że najlepiej będzie, jeśli zdecydujemy się na bezpośrednią rozmowę.

Sophia i Lisa pokiwały głowami. Lisa wyglądała, jakby wcześniej płakała.

– Nie powinnam była zezwolić na jego powrót do domu.

Marie zmarszczyła czoło.

– Wyrzutami sumienia proszę się zająć kiedy indziej. Nie muszę przy tym być.

Lisa przytaknęła skinieniem głowy. Marie odwróciła się do Sophii.

– Wyjaśnijmy sobie kilka rzeczy. Jak dotąd sprawa jest prowadzona rutynowo. Niczego nie zakładamy z góry. Wydałam już postanowienie o wszczęciu śledztwa i to ja je

prowadzę. Według informacji, które dostałam od policji, wszystko wskazuje na to, że to Alex zabił ojca. Kiedy policja dotarła na miejsce, chłopiec siedział z nożem w rękach. Wyciągnął go z ciała i przykrył ranę swoją poduszką. Poduszką w misie. Chyba lepiej byłoby, gdyby zostawił nóż w ranie. Wtedy krwawienie byłoby mniejsze. Może zdołaliby go odratować, a my nie musiałybyśmy tu siedzieć. Domyślam się, że wy, tak jak ja, wołałybyście spędzić święto z rodzinami.

Milczały.

– Wygląda więc na to, że szybko zakończymy śledztwo. Dopilnuję, żeby toczyło się przez cały tydzień, mimo długiego weekendu.

No jasne, niczego nie zakładamy z góry, pomyślała Sophia i pokręciła głową. Marie Olsson mówiła dalej:

– Co zatem robimy? Nie mogę zaangażować wszystkich środków do tej sprawy tylko dlatego, że prasa się tym ekscytuje. Jeśli nie będę mogła postawić nikogo przed sądem, nie mogę angażować policji. Oni i tak mają co robić. Tak jak mówiłam, dopiero się okaże, czy śledztwo będzie się toczyć w sprawie nieletniego. Choć, szczerze mówiąc, na razie nie ma innych tropów oprócz tych, które zweryfikujemy w najbliższych dniach. Chłopiec dźgnął ojca nożem, kiedy ten bił matkę. Koniec, kropka. On sam zresztą to mówi. Nie jest zbyt rozmowny, ale powiedział, że zawsze pomaga mamie, bo musi. Wbił więc tacie nóż w plecy, kiedy ten leżał na brzuchu i nie mógł się podnieść. Wybrał sobie dobry moment, bójki z dorosłym facetem raczej nie mógł wygrać, bez względu na to, jak pijany był ojciec. Okropna sprawa. Chłopiec ma siedem lat, niedługo skończy osiem. I co mam z nim zrobić? Musi o tym zdecydować pomoc społeczna.

– Dlaczego prosiła mnie pani o przyjsście?

Sophia czuła, że musi zadać to pytanie. Zgodnie ze szwedzkim prawem osoby poniżej piętnastego roku życia nie mogły być sądzone za przestępstwa, tym samym nie potrzebowały obrońcy przyznawanego z urzędu. Nie było do końca jasne, czy Alex ma prawo do korzystania z usług adwokata.

– No właśnie, dlaczego panią wezwałam? Dobre pytanie. Pomyślałam, że skoro Alex jest podejrzany o popełnienie poważnego przestępstwa, bo... no cóż, nawet jeśli nie było to morderstwo, to i tak sprawa jest poważna... pomyślałam więc, że można wszcząć dochodzenie z paragrafu dotyczącego małoletnich sprawców. – Prokurator Olsson zamyśliła się na chwilę. – Tak, chociaż nieumyślne zabójstwo... Po zabójstwie ofiara przestała stanowić zagrożenie dla dziecka. Chłopiec mógł spokojnie dźgać ojca nożem. Nie jest to obrona konieczna, raczej zbrodnia w afekcie. Bo chłopiec chyba nie miał intencji? Nie chciał celowo spowodować śmierci? Mnie w każdym razie wydaje się to nieprawdopodobne. Chociaż to bez różnicy z uwagi na osobę sprawcy. Nie można go postawić przed sądem. O czym to my mówiłyśmy? Ach tak, dlaczego pani tu jest? – Marie Olsson uśmiechnęła się, zadowolona z tego, że odpowiedź jest tak prosta. – To chyba jasne, jak sądzę. Alex Andersson jest głównym podejrzanym, prawo zaś zezwala, by w przypadku śledztw dotyczących małoletnich sprawców wyznaczono obrońcę z urzędu, jeśli istnieją ku temu szczególne przesłanki. Wprawdzie jeszcze nie można formalnie mówić o takim śledztwie, jednak musimy przesłuchać chłopca jako potencjalnego sprawcę. Możemy chyba pójść tą drogą, jeśli nie ma pani nic przeciwko? W najgorszym razie mogę równolegle wszcząć śledztwo w sprawie małoletniego sprawcy. Szczerze mówiąc, wolę dmuchać na zimne. Tak chyba będzie lepiej. Nigdy nie miałam takiej sprawy, kto zresztą miał? Prawo nie jest raczej ustanawiane z myślą o siedmioletnich zabójcach. No ale przezorny zawsze ubezpieczony, prawda? Rozmawiałam już z Sądem Okręgowym i kiedy tylko ustalimy, jak załatwić formalności, dostanie pani z sądu oficjalne zapytanie. Miejmy nadzieję, że jeszcze dziś. Najważniejsze, żeby niczego z góry nie zakładać i żeby Alex otrzymał odpowiednią ochronę prawną.

Śledztwo niezakładające niczego z góry. Sophii mroczi zatańczyły przed oczami. Z portfela wyjęła dwie tabletki przeciwbólowe i łyknęła je bez popijania.

Akurat. Gdybyście nie zakładali niczego z góry, to aresztowalibyście Lindę Medner Andersson. Trzeba było

trzymać Alexa z daleka od niej, a nie pakować ich do jednego mieszkania. Wzywać obrońcę, mimo że i tak nie chcesz wkleść się w śledztwo przeciwko chłopcu. A do tego „bezpośrednia rozmowa” i „dmuchanie na zimne” brzmi jak poprawny politycznie bełkot.

– Czy mam coś przeciwko? O to pani pyta? Oczywiście będę obecna na przesłuchaniu, jeśli uznacie Alexa za głównego podejrzanego. Jeśli ma pani taki zamiar, to dmuchanie na zimne nie ma tu nic do rzeczy. W takim układzie Alex po prostu ma prawo do tego, żebym przy tym była.

– Cóż. – Marie Olsson ułożyła wąskie wargi w uśmiech. – Nie do końca mogę się zgodzić, że Alex ma prawo do adwokata. Ale nie musimy o tym dyskutować, skoro już postanowiłyśmy, że będzie mu pani towarzyszyć podczas przesłuchania. Właściwie obie panie mogą tam być. Myślałam, że najpierw powinnyśmy porozmawiać z Alexem i jego matką. Spotkałam się z nimi już wczoraj. Spędzili noc w pogotowiu poradni psychologicznej dla dzieci i młodzieży przy szpitalu Sachsska. No właśnie, spędzili noc, bo trudno mówić o spaniu. W każdym razie są tam oboje, a towarzyszy im policjant i ktoś od was, prawda?

Marie spojrzała na Lisę, która przytaknęła.

– Uznaliśmy, że chłopcu może być trudno wrócić do domu, pozwoliliśmy mu więc tam nocować. Był w szoku. Chciał być z mamą, jak się domyślam. Chociaż sprawiał wrażenie spokojnego, wręcz dziwnie spokojnego. To zapewne jedna z reakcji na traumę. Choć te jego oczy... Cóż, on nie wygląda do końca normalnie.

Dla podkreślenia tych słów Marie Olsson pokręciła głową, potrząsając przy tym włosami jak mała dziewczynka.

– Mamy sporo kwestii do zbadania. Najpierw jednak muszę z nim porozmawiać. Chyba możemy pojechać tam od razu? To znaczy do szpitala. Chociaż nie, ja nie mogę. Mam teraz konferencję prasową. Spotkajmy się tam jutro, oni pewnie i tak jeszcze przez jakiś czas tam zostaną.

Prokurator spojrzała pytająco na Lisę, która pokiwała głową. Widocznie dzisiaj nie było ją stać na więcej. Marie Olsson mówiła dalej:

– Sprawdzę, która godzina mi pasuje, i dam znać. Musimy to zrobić jak najszybciej. Porozmawiać i wysłuchać. Wysłuchać chłopca, który będzie musiał żyć z tym, że zabił ojca. O ile on w ogóle jest zdolny do takiej refleksji. W pewnym sensie wydaje się bardzo zobojętniały. Te oczy...

Marie Olsson kolejny raz się zamyśliła.

Pewnie zastanawia się, co powiedzieć na konferencji prasowej, pomyślała Sophia. Próbuje znaleźć złoty środek pomiędzy poważnym obiektywizmem a sprawiedliwą dobrotliwością. Nie wyjawic za dużo, ale też nie sprawiać wrażenia, że nie ma się nic do powiedzenia w tej sprawie. Trudne zadanie. Zwłaszcza że sprawa miała sensacyjny posmak i świetnie nadawała się do gazet.

– Ta poduszka, widzę ją wyraźnie oczyma wyobraźni. I te drobne zakrwawione ręce. Kto wie, może po fakcie żałował tego, co zrobił. Choć nie wiem... Te oczy... te oczy...

26

PONAD DOBĘ PO ZABÓJSTWIE Christera Anderssona na miejscu zbrodni znalazł się inspektor Adam Sahl. Na buty założył niebieskie ochraniacze. Właściwie nie powinien się dziwić, że przydzielono mu tę sprawę, bo takie właśnie były procedury. A jednak z jakiegoś powodu był zdziwiony.

Nie była to jego pierwsza wizyta w mieszkaniu Alexa Anderssona. Przed zaledwie paroma miesiącami przyjechał sprawdzić, czy Christer jest w domu. Drzwi otworzyła Linda, wpuściła go do środka i zaproponowała szklankę wody.

Innymi słowy, Adam znał osoby zamieszane w tę historię oraz miejsce zbrodni. Poza tym już od dawna zajmował się tego typu sprawami. Zgodnie z zasadami obowiązującymi w policji, jeśli śledztwo obejmowało osobę małoletnią, powinien ją przesłuchiwać funkcjonariusz, który wcześniej miał z nią styczność. O ile oczywiście taki był.

Istniało wiele formalnych powodów, dla których Adama Sahlę przydzielono do tej sprawy. Nie wierzył jednak, by miały

one decydujące znaczenie. Ci z kryminalnego niechętnie włączali do akcji grupę zajmującą się małoletnimi.

Ostrożnie przeszedł przez próg i skinieniem głowy przywitał się z młodym policjantem, który w przepoconym mundurze stał przy drzwiach.

W promieniu kilometra od miejsca zbrodni nie dało się zaparkować, a to dlatego, że wszystkie miejsca zajęły furgonetki z antenami na dachach, z dziennikarzami donoszącymi o wszystkim, co się dało. O tym, o czym się nie dało, też.

Szef Adama uważał, że to właśnie przez dziennikarzy Adam dostał tę sprawę. Według niego koledzy z wydziału zabójstw chcieli mieć z głowy media. Adam jednak uważał inaczej. Nie brakowało takich, którzy z chęcią zasiedliby na sofie w telewizji śniadaniowej.

Adam podejrzewał, że tak naprawdę w ich mniemaniu sprawa jest przesądzona. Nie sprawiało im więc różnicy, że to on zajmie się pozostałymi formalnościami.

Tego typu sprawy o zabójstwo często wyjaśniał ten sam funkcjonariusz, który przyjął zgłoszenie. Zrozpaczony sprawca, prawie zawsze mąż albo żona, partner albo partnerka, w zależności od tego, które wyszło zwycięsko z ostatniej awantury, przyznawał się do winy, gdy tylko patrol stanął w progu. Jeśli to kobieta zabiła mężczyznę, to choć sama o włos uniknęła śmierci, na ogół brała na siebie odpowiedzialność za wszystko, od wygnania z raju z powodu ugryzionego jabłka po przypalony obiad. Tak czy owak, sprawca od razu przyznawał się do winy, nierzadko trzymając jeszcze narzędzie zbrodni.

Adam ostrożnie przeszedł przez przedpokój i zajrzał do salonu. Zaklął cicho, kiedy zobaczył, co zostawiła po sobie ekipa karetki. Przetoczyli się przez mieszkanie z typową dla siebie finezją i lekkością. Przeprowadzenie rekonstrukcji zdarzeń nie będzie łatwym zadaniem. Kręciło się tu wiele osób. Chcieli uratować facetowi życie.

Cel uświęca środki, pomyślał Adam. Dobre intencje i nadgorliwość utrudniły mu już niejedno śledztwo.

Policjanci, którzy przybyli jako pierwsi, zwlekali z zabezpieczeniem śladów na ubraniach mamy i chłopca. Adam

widział godziny wpisane do protokołu. Domyślał się, że powodowani współczuciem pozwolili chłopcu usiąść u mamy na kolanach, a ich ubraniami zajęli się dopiero, kiedy wydał je im personel izby przyjęć w szpitalu. Nie zatrzymali też matki po wstępnym przesłuchaniu. Syn jej potrzebował, zapewne tak właśnie rozumowali.

Będę musiał działać na czuja. To właśnie był kolejny czynnik, który dodatkowo utrudniał i tak niełatwe śledztwa. Działa się na czuja, bo nie wiadomo, jak należy postępować.

W drodze na miejsce zbrodni Adam rozmawiał z lekarzem sądowym, który miał spisać protokół z obdukcji. Zapowiedział, że zadzwoni z kolejnymi pytaniami, jednak to i owo już się wyjaśniło.

Ofiara zmarła na skutek upływu krwi spowodowanego dwoma ciosami nożem. Mężczyzna leżał, kiedy je zadano. Za pierwszym razem ostrze weszło dość płytko w kark, mimo to uszkodziło jakieś większe naczynie krwionośne, przez co Christer Andersson szybko się wykrwawił.

Ofiara miała dwa siniaki powyżej kolan. Wskazywały na to, że faktycznie mężczyzna mógł upaść tak, jak opisywała jego żona, będąca jednym z dwóch świadków. Nie udało się stwierdzić, czy go popchnięto, czy uderzono w nogi, jednak we krwi miał 2,9 promila alkoholu. Poza tym stan organów wewnętrznych świadczył, że mężczyzna od dawna pił.

– Takim osobom zazwyczaj trudno jest utrzymać równowagę – oznajmił z powagą lekarz sądowy. – Często się przewracają i trudno im wstać samodzielnie. Czasami od razu zasypiają w miejscu, w którym upadły. Kiedy już się przewrócą, nie są w stanie się bić, bronić się przed atakiem ani w żaden sposób przeciwstawiać się przemocy. Nawet jeśli chwilę wcześniej zgrywały zawodowego boksera.

Adam chciał wiedzieć więcej.

Czy chłopiec w wieku Alexa, o jego wadze i sile, był fizycznie zdolny do zadania ciosów, od których zginął Christer Andersson? Lekarz stwierdził, że „nie może tego wykluczyć”.

Mężczyznę operowano natychmiast po przywiezieniu do szpitala. Obdukcję przeprowadzono więc na ciele, przy którym

wcześniej „wykonano czynności”, co utrudniało oględziny. Lekarz powiedział, że ciosy zadała „prawdopodobnie” osoba siedząca na pośladkach bądź lędźwiowym odcinku kręgosłupa ofiary.

Adam zapytał, czy ta osoba była niska, czy wysoka, lekka czy cięższa. Lekarz odparł, że nie jest Bogiem, więc nie wie wszystkiego i nie będzie fantazjował, jak to robią w hollywoodzkich scenariuszach.

Linda i Alex byli mocno zakrwawieni. Kiedy Linda dotarła na komisariat, miała też krwawiące zadrapanie na ręce. Nie udało się jednak stwierdzić, czy się skaleczyła, zadając cios mężowi, czy też, jak sama stwierdziła, wymachując wcześniej nożem w samoobronie.

Adam wrócił do przedpokoju. Z tych oględzin nic więcej nie wyniknie. Widział już dość, mógł spokojnie wracać na komendę. Musiał porozmawiać z osobą, która przesłuchiwała matkę tamtej nocy. Poza tym chciał się dowiedzieć, kiedy lekarze i technicy zrobią obdukcję i będą mieli ostateczne wyniki oględzin zwłok oraz miejsca przestępstwa.

Adam usiadł za kierownicą i przekręcił kluczyk. Deska rozdzielcza była nagrzana, powietrze wpadające przez kratkę wentylacyjną przypominało zaś dym. Ochłodziło się po kilku minutach.

Nie martwiło go specjalnie, że dziennikarze już przesądzili, kto jest winny. O wiele gorsze było to, że – jak podejrzewał – prokurator postąpiła tak samo.

Była osobą, która mimo braku doświadczenia w podobnych sprawach wtrącała się w każdy szczegół. Prokurator, która ma dobre intencje i lubi działać intuicyjnie, a wszystko to dla dobra dziecka.

Adam prychnął. Trudno o gorszy obrót spraw. Być może, mimo dobrych chęci, przekreśliła już chłopca.

Pewnie właśnie dlatego ci z wydziału zabójstw zrzucili tę robotę na mnie, pomyślał. Nie chcieli mieć do czynienia z Marie Olsson.

Policja zadaje naprawdę głupie pytania. Wiem, do czego chcą dojść, ale przez to wydają się tacy śmieszni i krążą

wokół tematu, zamiast zapytać wprost.

Chcę wiedzieć, czy to ja dźgnęłam Chrillego. Nie pytają mnie jednak o to, tylko kombinują, nie mają odwagi, nie potrafią.

Co robiła pani wcześniej? Kiedy odebrała pani Alexa? O której zadzwonił Christer, o której zrobiła pani zakupy i dlaczego kupiła pani alkohol? Już wtedy chciała pani zaprosić Christera?

No i pytają o moje dzieciństwo. Oryginalne, nieprawdaz?

Moje dzieciństwo. Wiadomo przecież, że nie było kolorowe. Całe moje życie jest cholernie ciężkie.

Nikt tego nie pojmuje. Nikt nie potrafi sobie wyobrazić, jak to było. A było do niczego, później zrobiło się jeszcze gorzej. Teraz, kiedy już pozbyłam się tego bydlaka, mojego męża, chciałabym, żeby problemy się skończyły, żebyśmy ja i Alex mieli spokój, żeby policja i kretyńska pomoc społeczna nie mówiły mi, jak mam żyć.

Nic mi nie jest. Nie jestem wariatką. Wszystko u mnie jak trzeba. Mimo to chcieli nas zamknąć w jakimś domu, gdzie będę odbywać terapię. Terapię. To jedna z tych rzeczy, co to niby pomagają, ale tylko według tych, którzy nie mają o tym pojęcia. Ja wiem jednak, że nie pomagają nic a nic. Trzy razy byłam już w poradni psychologicznej. Siedziałam tam i liczyłam prążki na sztruksach, zastanawiając się, czego ode mnie chcą. Czy mam mówić, czy milczeć? A jeśli mówić, to o czym?

Totalny bezsens. Trzy razy i ja, i oni się umęczyliśmy. Potem się przeprowadziłam. Ktoś na pewno miał zająć się moją terapią, ale sprawa się rozmyła. Chyba nie mieli żadnych powodów. Dawałam sobie radę w szkole. Nie sprawiałam trudności. Nie miałam tak zwanych issues, jak to mówią po angielsku. Big fucking issues.

Bo to, że niby miałam problem z alkoholem, to jakiś żart. Policja próbowała zrobić sprawę z tego, że piłam w siódmej i ósmej klasie, zgarnęli mnie nawet kilka razy. Chociaż nie tylko policja, wszyscy. Nic dziwnego.

Chrille zawsze pił za dużo, nigdy nie potrafił wyczuć, kiedy przestaje się robić zabawnie. Lepiej więc było dotrzymywać mu kroku, bo wcale nie było fajnie na trzeźwo, kiedy on miał

w czubie. Tylko że to nie to samo, co być alkoholikiem. Bo jeśli kogoś można nazwać ekspertem od rozpoznawania, kto jest alkoholikiem, to właśnie mnie. Mama była alkoholizką, tata i Chrille też. Ja nie. Więc może skończmy już ten temat, dobrze?

Kiedy im o tym opowiedziałam, chcieli, żebym powiedziała coś jeszcze o Chrillum. Ależ proszę, nie ma sprawy. Ale tylko to, co chcieli usłyszeć. Jak mnie bił i takie tam. Reszty nie opowiem.

Poznaliśmy się przypadkiem. Siedziałam na trawniku na Djurgården i piłam piwo ze znajomymi. On przechodził obok. Przysiadł się do mnie. Chwytał gitarę i zaczął grać. Takie tam romantyczne granie jak przy obozowym ognisku, trochę à la James Dean. Ten kawałek, oczywiście poetycki, napisał sam. Niech mnie, ależ to było żalosne.

Grał beznadziejnie. Jego muzyka była równie uduchowiona jak gra siedmiolatka na flecie. Wydawało mu się jednak, że jest cholernie seksowny. Posłał mi nieco przeciągłe spojrzenie, ja je odwzajemniłam. Usiadł bliżej mnie. Kolanem niemal dotykałam jego ręki, którą obracał gitarę w rytm jakiejś kretyńskiej melodii. Mój Boże.

No i zadziało. Właściwie widziałam, jak mu staje. Zawsze działo.

Tego wieczoru poszliśmy na spacer. On gadał, a ja udawałam, że słucham. W łóżku wylądowaliśmy dopiero nad ranem, w jego pokoju studenckim na Lappkärrsberget. Niewiele pamiętam, ale wiem, że majtki i stanik położyłam pod szafką nocną. Pomyślałam, że tam będzie łatwo je znaleźć i że będę mogła się wymknąć, kiedy on będzie jeszcze spał. Tak się jednak nie stało. Niech to, to był ogromny błąd.

Długo na siebie patrzyliśmy, zanim we mnie wszedł. Chyba go to jaralo. Nie mrugnęłam, nawet kiedy oczy zaczęły mnie piec. On chyba też przez chwilę próbował, ale potem dolna warga zaczęła mu drżeć. Jakby powstrzymywał płacz. Wtedy już nie wyglądał jak James Dean. Za pierwszym razem o tym nie wiedziałam, ale Chrille nie potrafił długo ujechać. Dochodził szybciej niż chomik.

Właściwie nie był pierwszym, który się we mnie na serio

zakochał. Był za to pierwszym, z którym zostałam. Brał mnie całym sobą, patrzył mi prosto w oczy, a ja czasami wręcz od tego szalałam. Chciałam, żeby we mnie wchodził, wciskał się, wpychał. Bez przerwy chciał mnie mieć.

Sporo imprezowaliśmy, byliśmy w tym dobrzy. Zawsze znalazł się jakiś powód, zresztą kto się lubi nudzić? Ale to nie dlatego chciałam, żeby został, tylko dlatego, że mu na mnie zależało. Naprawdę.

Kiedyś się rozchorowałam. Miałam gorączkę i byłam obolała. Spuchły mi dłonie, oczy piekły. Chrille poszedł do apteki i załatwił mi leki. Podał mi wodę i ciepłe jedzenie. Spróbował ugotować jajko, ale zapomniał go zdjąć z ognia. Pękło i przywarło do garnka. Taki był.

Na porodówce był pijany. Nie jakoś skandalicznie, ale położna dziwnie na mnie patrzyła, a mnie to wkurzało. Przecież się denerwował, zresztą czy ojciec naprawdę musi być przy porodzie? Dopiero od niedawna tak jest. Mój ojciec nie był przy mamie, kiedy się rodziłam, kazali mu wyjść na korytarz i wpuścili dopiero po wszystkim. Świat się jakoś nie zawałił.

Chrille też się wkurzył i poszedł sobie, kiedy położna zaczęła zrzedzić i się wyklócać. Mnie dali znieczulenie ogonowe. Potem Chrille zniknął na kilka tygodni. Później jednak wrócił do domu i mieszkał z nami. To on zdecydował, że nazwiemy dziecko Alex. Mnie się też spodobało.

W pewnym sensie lepiej sobie radził z małym. Nie zaprzeczę. Umiał go trzymać, sam z siebie wiedział, co się robi z dzieckiem. Chyba lubił Alexa. Mój chłopak, tak na niego mówił. Brzmiało to tatusiowato, jakby się czuł jak prawdziwy ojciec. No i co z tego, że nie był przy porodzie? Położna się na nas gapila, ale Chrille do nas wrócił i był z nami prawie cały czas, chociaż nie lubił, jak dziecko się darło, bo kto lubi.

Mimo wszystko nie układało się. Klóciliśmy się często. Zawsze tak było, ale kiedy pojawił się Alex, zaczęliśmy się sprzeczać o niego. Ucisz go. Sam to zrób. Co mu znowu odbiło, do cholery. Zabieraj swojego bachora i wynocha. I tak dalej.

Potem znieawidziłam Chrillego. Naprawdę. Czasami spoglądał na Alexa ze łzami w oczach. Ależ on jest piękny, mówił po pijaku. Wtedy wściekał się na mnie i narzekał, że nie jestem dobrą matką. On. Narzekał. Na mnie. Można by pomyśleć, że to żart, ale tak właśnie robił. Myślał, że powinnam tulić i całować małego, i krzyczał na mnie wkurzony, kiedy nie chciałam uspokoić Alexa. Sam go uspokój, myślałam, skoro to dla ciebie takie ważne.

O mnie się już nie troszczył. Wcale. Na pewno nie dlatego, że utylam czy zbrzydłam, jak te rozlazłe matki. O nie, ciało miałam bez zarzutu. Gdyby tylko chciał na mnie popatrzeć, toby się zorientował, złamas jeden.

Za to ja patrzyłam na niego. I zobaczyłam, kim jest naprawdę. Zapijaczoną świnią. Kiedy szliśmy do monopolu, stawałam gdzieś dalej, a on belkotał i zataczał się, ściskając kartkę z numerkiem w rękę, zdenerwowany, że to nie jego kolej.

W końcu wszystko w nim zaczęło mnie brzydzić. Pryszczę na plecach, śmierzący zbukiem oddech, owłosione znamiona, brzydkie gacie, trzęsące się ręce. Kiedy coś mówił, miałam ochotę krzyczeć. Wszystko było takie głupie.

Naprawdę go nienawidziłam. Jak chyba nikogo innego.

Policja chciała pewnie, żebym opowiedziała im właśnie o tym. Najlepiej szybko i bez zastanowienia, wtedy mogliby mnie zaskoczyć pytaniem o to, co naprawdę wydarzyło się tego wieczoru. Chociaż mówiłam im to już trzy razy. Gliniarze są tacy tępi. Myślą, że się wygadam, i mimo że Alex już się przyznał, powiem, że to ja zabiłam Chrillego.

Mają mnie za idiotkę. I tu się myślą, nic nie powiem. Można nienawidzić swojego ohydneho, zapijaczzonego męża. To żadna zbrodnia.

Nie ma co komplikować. Chrille nie żyje. Był bydlakiem, nienawidziłam go. Byłabym wdzięczna, gdyby teraz wszyscy zostawili mnie i Alexa w spokoju i pozwolili nam zająć się swoimi sprawami.

Zapytajcie po prostu: „Czego pani chce?”

Odpowiedź: „Chcę mieć święty spokój. Dziękuję”.

SKRONIE PULSOWAŁY JAK OSZALAŁE. Sophia zrzuciła buty pod biurko. Próbowwała rozruszać palce u nóg. Ktoś zapukał do otwartych drzwi.

– Proszę.

– Cześć! – powiedział kolega z biura, Lars Gustafsson. – Czy gratulacje już zaczęły napływać?

Pokręciła głową. To właśnie Lars wciągnął ją do kancelarii. Wtedy dobiegał pięćdziesiątki, był prosty jak strzała, a w ustach niezmiennie miał dopalonego lucky strike'a. Kiedy Sophia stała się współwłaścicielką kancelarii, u Larsa wykryto nowotwór prostaty. Po rocznej terapii zrobił się nieco przygarbiony, rzucił też palenie.

Nikt nie nauczył jej tyle o zawodzie co on. Czasami denerwowało ją, że Lars miesza swoje opinie z prawdą, jednak nikogo nie tyranizował. I tak był przekonany, że wie więcej od innych, nie bawił się więc w bycie niemłym. Zresztą prawie zawsze miał rację.

Sophia nie wstała, skinęła tylko głową w stronę krzesła dla gości. Lars usiadł z głębokim westchnięciem.

– Bo wiesz przecież, że zaczną napływać. Nic tak nie wywołuje zazdrości kolegów po fachu jak tego typu tragedie.

Sophia przygryzła wargę. Nie chciała płakać.

– Sama nie wiem, co zrobić – wykrztusiła po chwili. – Nie mam pojęcia.

– Nikt nigdy nie ma, moja droga. – Lars się uśmiechnął. – Z reguły jednak wszystko się jakoś układa. Na pewno coś wymyślisz. Właściwie to wpadłem ci powiedzieć, że Peter czeka na ciebie w recepcji. Anny-Marii nie ma. Pojechała do Sądu Okręgowego odebrać dokumentację kilku wyroków, o które ich prosiłem. Nie chcieli tego wysłać faksem. To ja mu otworzyłem. Przy okazji powiem ci jeszcze, że zawsze możesz do mnie przyjść, jeśli będziesz potrzebować pomocy. Nie żebym uważał, że... po prostu każdy musi z kimś czasem

pogadać. To znaczy nie o Peterze, rzecz jasna! – Lars się zaczerwienił na samą myśl, że Sophia mogłaby się go radzić w prywatnych kwestiach. – Chodziło mi o tę sprawę. Jeśli będziesz musiała z kimś porozmawiać, nie wahaj się prosić o pomoc. I tyle.

Peter, pomyślała Sophia. Co on tu robi? Boso ruszyła za Larsem i wyjrzała na korytarz. Dlaczego ciągle mam jakieś wizyty, czy ludzie nie wiedzą, że pracuję? Peter powinien zrozumieć, że muszę się zająć obowiązkami. Możemy przecież porozmawiać w domu.

Stał z dzinsową kurtką zarzuconą na ramię i niecierpliwie wpatrywał się w korytarz prowadzący do jej biura. Kiedy ją zobaczył, ruszył w jej stronę. Wpuściła go do środka i zamknęła drzwi.

– Będę się streszczał. – Zacisnął szczęki i wyciągnął do niej dłoń. – Chciałem tylko powiedzieć, że przenoszę się do Månsa na jakiś czas. Telefon masz wyłączony, a jak dzwonię na służbowy, jakoś zawsze jesteś gdzie indziej.

Sophia wzięła od niego klucze. Właściwie nawet nie wiedziała, czy jest jej smutno. Tylko powieka jakby sama z siebie zaczęła drgać.

– Przepraszam, nie odsłuchiłam poczty głosowej... – Zaczęła, ale Peter jej przerwał:

– Nie mam już siły tego słuchać. Pogadamy kiedy indziej i gdzie indziej. Rozumiem, że masz sporo stresującej roboty. To jednak nie jest pierwszy raz. Raczej ostatni. W każdym razie dla mnie. Nasza rozmowa na jachcie dała mi do myślenia. Żyłem w przekonaniu, że chcemy tego samego, że oboje chcemy założyć rodzinę. Kiedy wracaliśmy z rejsu, zrozumiałem jednak, że nie chcesz mieć ze mną dzieci. Chcesz tylko, żebym dał ci spokój.

Na pewno jestem w szoku, uznała, przyciskając powiekę palcem, żeby powstrzymać drganie. Zaraz do mnie dotrze, co się stało. Na pewno zaraz się rozplaczę.

– Wiesz, że chciałem, aby nam się udało. Jeśli zmienisz zdanie, daj mi znać. Wtedy jednak chciałbym usłyszeć, że za mną tęsknisz. Naprawdę. Potrzebuję tego.

Peter pochylił się, chwycił ją delikatnie za kark i lekko pocałował w usta.

Nie zatrzymywała go. Kiedy wyszedł, przesunęła dłonią po szyi. Usiadła przy biurku. Stopy spuchły jej od upału. Wiedziała, że będzie jeszcze gorzej. Poruszała palcami, kciukiem nacisnęła podeszwy stóp, po czym znów włożyła buty.

Nie zadzwonię do Anny, pomyślała. Nie teraz. Teraz muszę jechać do Alexa Anderssona.

Otworzyła szufladę biurka. Powieka mrugała coraz bardziej. Wiedziała, że powinna znaleźć plaster, buty mocno ją obcierały. Nie miała ochoty przemierzać korytarzy urzędów i szpitala z krwawiącymi ranami na stopach.

Może Anna-Maria ją poratuje. Bo chyba nawet ona nie wierzy, że wystarczy skupić się na jasnej stronie życia, aby buty zrobiły się większe lub stopy zmalęły.

Byle tylko nie zaczęła mi się przyglądać z troską i pytać, jak się naprawdę czuję. Sophia przycisnęła do oka całą dłoń, aż zaczęło łzawić.

Nie mam czasu na spojrzenia Anny-Marii, jej porady i wyrazy troski. Nie potrzebuję ekologicznego kremu ani metod radzenia sobie z rozstaniem. Chcę tylko dostać plaster. Chyba Anna-Maria ma jakiś ekologiczny plaster?

ALEX LEŻAŁ ODWRÓCONY plecami do drzwi, głowę do połowy zakrył kołdrą. Sophia przysunęła sobie krzesło i usiadła u wezgłowia. Minikonsolę położyła na stoliku nocnym. Zainstalowała wcześniej jedną z dwóch gier.

– Jest tutaj pani Marie, prokurator. Chce o coś zapytać twojego lekarza. Jest też pani Lisa z pomocy społecznej, ją już znasz. Wpadłyśmy na chwilę, niedługo będziemy się zbierać. Policja musi z tobą porozmawiać o tym, co się stało z twoim tatą, rozumiesz? Chcę, żebyś wiedział, że to ty decydujesz, co chcesz im powiedzieć. Bez względu na to, co powiesz lub czego nie powiesz, nikt nie będzie na ciebie zły.

Marie Olsson pociemniała na twarzy. Była wściekła. Jej plan przesłuchania Alexa w szpitalu spełził na niczym. Okazało się, że nie tylko policja, pomoc społeczna i Sophia uznały to za kiepski pomysł. Lekarz chłopca też się na to nie zgodził. Dlatego teraz Marie Olsson była jeszcze bardziej poirytowana.

– Zaczynam żałować, że dopuściłam panią do sprawy. Jak mam wykonywać swoją pracę, skoro pani świadomie krzyżuje moje plany? To nie jest jakiś amerykański serial, żadne tam „masz prawo milczeć” czy coś. Nie może się pani trochę bardziej postarać, współpracować? Nie mam ochoty przeciągać tego wszystkiego dłużej, niż to konieczne.

– Przecież nie chcę niczego przeciągać. Dobrze pani o tym wie. – Sophia zauważyła, że Alex zerka spod kołdry. – Chłopiec ma absolutne prawo, żeby przejść przez to wszystko w takim tempie, w jakim chce. Jeśli uważa pani, że normy prawne stanowią aż taką przeszkodę, to chyba lepiej zastanowić się nad karierą w innym zawodzie.

Lisa położyła Sophii dłoń na ramieniu. Wciąż wyglądała, jakby przed chwilą płakała.

Może nie ma w tym nic dziwnego, pomyślała Sophia. To w końcu przed jej drzwiami reporterzy śledczy rozbili namioty, żeby wytropić kogoś na kierowniczym stanowisku, kto okazałby się źródłem całego tego zła.

– Kontaktowałam się już z ośrodkiem terapeutycznym Bromstengården – powiedziała Lisa. – Alex może tam zamieszkać, kiedy tylko go wypiszą. Właściwie nie mają wolnych miejsc, ale postarają się o jedno, żeby mógł u nich zostać na trzy miesiące. Aha – Lisa odwróciła się do Lindy – możecie zamieszkać tam oboje.

Linda nie odpowiedziała, bez słowa wyszła do łazienki i zamknęła drzwi.

Marie Olsson przystawiła sobie krzesło obok Sophii i też usiadła. Tak blisko, że Sophia czuła jej oddech na policzku.

Pewnie chce, żebym poczuła dyskomfort i się odsunęła, pomyślała. Ani drgnęła.

– To moja wina – powiedziała Linda, wychodząc z łazienki. – Zapytałam Chrillego, czy nie ma ochoty wpaść. Alex nie chciał

ze mną rozmawiać, ciągle pytał o tatę. Bez przerwy: „Gdzie jest tatuś, tęsknię za nim”, i tak dalej. Myślałam, że oszaleję. Uznałam, że możemy się spotkać, coś zjeść i porozmawiać. – Alex obrócił się na bok i zniknął pod kołdrę. – W końcu było Midsommar. Na początku było spokojnie, ale potem za dużo wypił i zaczął się awanturować. Chodziło o ziemniaki, tak mi się wydaje. Ziemniaki czy coś innego. On zawsze znajdował powód. Wyszedł z kuchni i chciał mnie uderzyć, chwyciłam więc nóż... Trzymałam go przed sobą, a Chrille się wściekał. Próbowałam uciec, a on był tak zalany... chyba się poślizgnął, sama nie wiem jak, ale po sekundzie leżał na podłodze. Ja odłożyłam nóż, a może go upuściłam, cholera wie, i wyszłam. Nie widziałam, kiedy Alex wziął nóż i go dźgnął. Potem Chrille zaczął kaszleć. Myślałam, że coś mu wpadło do gardła. Leżał tak i charczał. Alex po prostu chciał pomóc. – Odwróciła się do chłopca i położyła dłoń na kołdrze. – Prawda? Tak właśnie było? Chciałeś mi pomóc, nie?

W tle zabrzmiał głucho głos osoby przechodzącej korytarzem.

– Niech to, muszę zapalić, bo oszaleję. – Linda chwyciła torebkę i wyszła z sali. Drzwi ledwo zdążyły się zamknąć, kiedy ktoś znów je otworzył. Do środka wszedł mężczyzna w dżinsach i T-shircie.

– Przepraszam, ale czas kończyć. Wystarczy już. Alex potrzebuje spokoju.

– Oczywiście. – Marie Olsson wstała i chwyciła swoją teczkę. – Już skończyliśmy. Spotkam się teraz z policjantami na komendzie, potem się skontaktujemy. Technicy powinni już coś mieć. Kto wie, może nawet udało im się ustalić, że facet nie żyje? Czasami pracują z prędkością błyskawicy. – Złapała też swoją torebkę i odwróciła się do Sophii. – Idę już. Dzisiaj i tak niczego więcej nie załatwimy. Mogę się z panią zabrać taksówką?

– Jadę autobusem. Nigdy nie jeżdżę taksówkami. Moje wynagrodzenie nie pokrywa tego typu kosztów.

Lisa spojrzała smętnie na Sophię.

– Ja też muszę już iść. O trzeciej muszę być w Sądzie Rejonowym w innej sprawie.

– Nie szkodzi, zadzwonię do pani później.

Zapadło milczenie. Sophia nadal siedziała na swoim miejscu. Chciała wyjaśnić Alexowi, co go teraz czeka. Przynajmniej na tyle, na ile sama wiedziała. Lekarz uniósł palec wskazujący, dając jej do zrozumienia, że ma minutę, a potem wyszedł. Sophia została sama z chłopcem. Zza okna słychać było cichy pomruk samochodów i śpiew samotnego ptaka, który na okrągło powtarzał niezbyt wymyślne trele.

– Będziesz mógł zostać z mamą. Okej?

Alex cicho oddychał pod kołdrą.

– Zamieszkacie w takim specjalnym domu, gdzie będzie dużo innych osób, które mogą wam pomóc i zająć się wami, kiedy będzie wam smutno.

Sophia czuła, że zaczyna się pocić. Reprezentowanie interesów dziecka to jedno, z tym sobie radziła. Ale całe to zamieszanie i ten chłopiec, który bez słowa się w nią wpatrywał, to ją przerastało.

– Nic pani nie rozumie.

Alex usiadł na łóżku. Wyglądał zadziwiająco spokojnie. Zaskoczona Sophia nie od razu zrozumiała, że do niej mówi.

– Nikt nie rozumie.

– Czego nie rozumiemy?

– Nikt nie słucha, co mówię. Nikt nie słucha i nikt nie rozumie. Tata nie pali. Nigdy nie palił. – Alex przysunął do siebie konsolę i znów zniknął pod łóżkiem. – Nic nie rozumiecie.

– Nic nie rozumiecie.

Były to ostatnie słowa, które powiedział Alex, kiedy przyjmowano go do Kliniki Psychiatrii Dzieci i Młodzieży. Nie powiedział nic więcej podczas spotkania z Sophią. Natomiast w trakcie pierwszego przesłuchania powiedział jeszcze mniej.

Poprowadził je psychiatra dziecięcy Ulf Nuder. Ponieważ nie chciał, żeby z chłopcem rozmawiał ktoś inny, prokurator dała mu upoważnienie. Ulf Nuder zaprosił Alexa do pokoju rozmów, w którym zainstalował policyjny sprzęt do nagrywania. Prokurator Marie Olsson, Lisa Zeiger z pomocy społecznej oraz Sophia czekały w tym czasie w kuchni dla personelu.

Oprócz psychiatry w przesłuchaniu mógł uczestniczyć jedynie inspektor Adam Sahla, nie licząc oczywiście szmacianych lalek z organami płciowymi, które leżały w plastikowym pudle pod regalem.

Alex jednak nie chciał rozmawiać. Nie powiedział ani nie narysował niczego i nie miał ochoty zająć się lalkami.

– Mam na imię Ulf, a ty?

Już w tym momencie przygotowany plan psychiatry spełził na niczym. Po dwudziestu minutach ciszy Ulf musiał przyznać, że i tak wie, jak Alex się nazywa. Chłopiec nie odezwał się ani słowem.

Po sesji Adam Sahla chciał zadać psychiatrze kilka pytań, Sophia też brała udział w rozmowie. Lekarz był zdenerwowany.

– Nie rozumiem, czego państwo ode mnie chcą.

Staął za swoim biurkiem, Sophia i Adam usiedli naprzeciwko.

– Zajmuję się medycyną, nie śledztwami w sprawie zabójstw. Poza tym Alex jest moim pacjentem, nawet gdybym coś wiedział, nie mógłbym powiedzieć. Muszę przecież mieć na uwadze... cóż, choćby tajemnicę zawodową.

– Rozumiem. – Adam jak zwykle siedział z szeroko rozsuniętymi nogami. – Nie chcę, żeby odwałał pan za mnie moją pracę albo źle wykonywał swoją. Chciałbym jednak zapytać, jak z reguły dzieci reagują w takich sytuacjach.

– Ach tak. – Psychiatra oparł się plecami o ścianę i skrzyżował ręce na piersi. – A według pana w jakiego typu sytuacji znajdujemy się teraz?

Adam westchnął.

– Dajmy spokój. Nikt z nas nie życzy źle Alexowi. Chcę się tylko dowiedzieć, co pan o tym sądzi, nic więcej. O czym pan konkretnie myśli. Bo obstawiam, że ta straszna historia zaprzęta panu głowę nie mniej niż mnie i że nocami przewraca się pan z boku na bok i się nad nią zastanawia. Byłbym więc wdzięczny, gdyby zechciał pan to ze mną przedyskutować. Chodzi o to, czy on faktycznie dźgnął ojca nożem. Czy według pana Alex był... jak wy to mówicie?

– Ja nie zajmuję się takimi filozoficznymi pojęciami jak zło,

jeśli to pan miał na myśli. A jeśli już, to w równie małym stopniu jak koleżanka. – Mówiąc to, ruchem głowy wskazał Sopię. – Prawda i sprawiedliwość są dla mnie równie nieistotne jak dla pani.

– Niechże pan da spokój, bardzo proszę. Chcę po prostu wyrobić sobie jakiś pogląd na to, z czym mam do czynienia. To pomaga. Jeśli będę rozmawiał z Alexem, to lepiej, żebym wiedział, czy on jest... czy wszystko u niego funkcjonuje, jak należy. Chciałbym na przykład wiedzieć, jak on się czuje.

Lekarz patrzył przez chwilę na Adama. Przyniósł sobie krzesło i usiadł.

– Rozumiem, o co panu chodzi. Jeśli nawet trochę inaczej wyrażamy swoje myśli, to przyznaję panu rację. Otóż mało jest takich dzieci, które mordują swoich rodziców, przynajmniej w tak młodym wieku, i które można kolokwialnie nazwać „szalonymi”. Zabijają rodziców, którzy znęcali się nad nimi latami. Robią to w obronie własnej. Nie są gotowe przeciwstawić się im otwarcie. Może po prostu nie potrafią. Dlatego prawie zawsze wybierają moment, kiedy rodzic ich nie widzi. Zachodzą go od tyłu, kiedy śpi lub ogląda telewizję. Czasami robią to, aby obronić innego członka rodziny. Mamę, siostrę lub młodszego rodzeństwo. Ja nie nazwałbym tego „szaleństwem”, nawet prywatnie na przyjęciu po kilku kieliszkach wina. Dla mnie to raczej całkiem rozsądna reakcja. To instynkt samozachowawczy. Może najzdrowsza reakcja, jaką kiedykolwiek okazało takie dziecko.

Adam Sahla i Ulf Nuder popatrzyli na siebie. Lekarz mówił dalej:

– My jednak nie wiemy, czy Alex zabił ojca. Bo to, że tak powiedział, niewiele dla mnie znaczy. Dzieci kłamią bardziej niż politycy, nie możemy o tym zapominać. Zmyślają. I nie kłamią tylko po to, by uniknąć nagany czy zwrócić na siebie uwagę. Dzieci w wieku Alexa mogą kierować się takimi samymi przesłankami jak dorośli. Oczywiście mógł zadźgać ojca, żeby obronić mamę, ale równie dobrze z tego samego powodu mógł wziąć winę na siebie. Mam nadzieję, że policja... że pan rozumie, że nie sposób wyrokować, dlaczego tak powiedział.

Nie mogę wypowiadać się na temat charakteru Lindy Medner Andersson, jednak zarówno teoretycznie, jak i praktycznie rzecz biorąc, mogła zabić męża, a potem namówić dziecko do wzięcia winy na siebie. Alex Andersson to idealny kozioł ofiarny.

Adam skinął głową. Psychiatra kontynuował:

– Mama jest dla Alexa jedyną ostoją bezpieczeństwa w życiu. Prawdopodobnie zrobiłby dla niej wszystko. Zabiłby, skłamał, cokolwiek. Być może w przyszłości zrozumie, że jej nienawidzi, jednak teraz jest dla niego wszystkim. Dzieci w tym wieku rzadko robią to, o co się je poprosi, gdy trzeba posprzątać pokój, zebrać naczynia ze stołu czy podzielić się słodyczami z młodszym rodzeństwem. Jednak w poważniejszych sprawach robią wszystko dla rodziców. Zazwyczaj dopiero później mają odwagę albo są zmuszone oprzeć się instynktowi samozachowawczemu. – Psychiatra odchrząknął i zaczął mówić głośniej: – Dla mnie to nie śledztwo jest istotne, chciałbym, żeby pan to zrozumiał. Nie interesuje mnie to. Nie interesuje mnie też, czy Linda Medner, jeśli stwierdzicie, że to ona zabiła ojca Alexa, zostanie skazana za morderstwo. To dziecko będzie potrzebowało pomocy bez względu na to, co się wydarzyło i co się stanie teraz. Może matka będzie w stanie mu pomóc, ale być może stanowi dla niego śmiertelne niebezpieczeństwo. Nie wiem.

Ulf Nuder wyjrzał przez okno.

– Mogła go namówić, żeby to zrobił. Zapewne pan już o tym myślał, bo wiadomo, że i takie rzeczy się dzieją. Mam nadzieję, że tego nie zrobiła, bo z mojego punktu widzenia byłoby to najgorsze. Jednak to, co nazywa pan złem lub szaleństwem, przejawia się na wiele sposobów. Trauma, z którą bez względu na wynik śledztwa będzie się musiał borykać ten chłopiec, może mieć różne oblicza.

Na chwilę zapadło milczenie. Potem odezwał się Adam, mówił cicho, jakby do siebie.

– Myśli pan, że Alex opowie nam, co się naprawdę stało?

– Wydaje mi się, że po jakimś czasie tak. Zazwyczaj tak jest. Jednak mogą minąć lata. Obstawiam zresztą, że jeśli już będzie

chciał z kimś rozmawiać o tym, że zrobiła to matka, to raczej nie z policją.. Myślę, że on się was boi. Co więcej, na pewno się już zorientował, że możecie zabrać mu mamę.

– Czyli jeśli nawet będzie ze mną rozmawiał, to nie mogę być pewny, że mówi prawdę. To miał pan na myśli?

Ulf Nuder prychnął.

– Nie słucha mnie pan. Miałem na myśli to, że prędzej doprowadzi go pan do załamania nerwowego, niż skłoni do wydania matki. A prawda? Prawda nie ma tu większego znaczenia. Według mnie jemu wydaje się, że umrze, jeśli powie coś niewłaściwego. Możliwe też, że w jego przekonaniu byłoby to najprostsze rozwiązanie. Tak to widzę. Jeśli liczycie na to, że on wam pomoże w rozwiązaniu tej sprawy, to jesteście naiwni.

Pamiętam prawie wszystko. Na przykład to:

Jest tuż po północy. W Domu Młodzieży trwa impreza, a ja wychodzę na dwór.

Chwytam szluga między kciuk a palec wskazujący, tak jest bardziej kozacko. Może i mam dopiero trzynaście lat, ale to nie znaczy, że nie wiem, jak się człowiek powinien prezentować, kiedy pali sam. Ogień się żarzy, potrzaskuje. Jest cool.

Szata na świętą Łucję narzucona na dzinsy, niebieski cień do powiek i czarne koronkowe mitenki. Też cool, chociaż zimno jak cholera. Palce tak mi zmarzły, że nie mogę ich zgiąć. Przykładałam dłonie do ust i chucham. Potem wydmuchuję dym w stronę latarni, a on jakby się rozmywał w powietrzu. Przeszuję z nogi na nogę. Mam na sobie kozaki, ciepłe. Kurtkę zostawiłam w szatni, a szalik schowałam do kieszeni. Powinnam je stamtąd zabrać.

Przy wejściu stoi on, Jonas. Zostawił mnie tu, kiedy już skończyliśmy, i teraz gada ze znajomymi. Dzinsy uwierają mnie w kroku. Pośladki wciąż są odrętwiałe od twardej drewnianej ławki. W środku grają The Power of Love, pewnie wszystkie pary tańczą coraz bliżej siebie. Ja nie chcę tańczyć, nie lubię.

Stoję tu i palę. Biorę trzy głębokie sztachy z rzędu, wtedy w głowie tak się kręci, że czuję, jakbym miała upaść. Odwracam

się jednak i wymiotuję w krzaki. Wymiociny zamarzają natychmiast, niemal w locie.

W sumie mogłabym już iść do domu. Wódę, którą zwinęłam z domowego barku, już wypiliśmy. Podzieliłam się z Jonaszem. Wyrzuciłam termos za przystankiem, kiedy go opróżniliśmy. Bez sensu byłoby go brać do domu, jakby wyczuli zapach, wkurzyliby się tylko.

Właściwie to mam ochotę się położyć na ziemi, choćby na chwilę, i zasnąć. Lepiej jednak iść do domu albo pojechać autobusem. Chociaż bilet też zostawiłam w kurtce, a wcale nie mam ochoty tam wchodzić, w każdym razie nie teraz, kiedy Jonas stoi z chłopakami przy wejściu i rzy.

Dorośli, u których teraz mieszkam, już śpią. Klucze mam w kieszeni dżinsów, tego wieczoru udało mi się ich nie zgubić. Mogę więc iść do domu.

Jeśli tylko będę szła szybko, nie będę tak marznąć. A w domu mogę sobie zrobić gorącą czekoladę albo po prostu się położyć w ubraniu do łóżka. W moim pokoju jest ciepło. Mam grubą kołdrę.

Zaczynam płakać. Jednocześnie jestem wściekła, więc krzyczę tak, że aż chrypnę. Jakiś starszy facet, który wyszedł na spacer z psem, gapi się na mnie, a potem odwraca się i odchodzi. Krzyczę znowu. Dopiero po chwili pojawiają się łzy, w gardle aż piecze od krzyku.

Za dwa lata skończę piętnaście, myślę sobie. Za pięć – będę pełnoletnia. A kurtkę mogę odebrać jutro.

Nie pamiętam już, czy ją odebrałam. Nie pamiętam nawet, jak wyglądała. Tylko tej reszty nie potrafię zapomnieć.

SOPHIA WESZŁA DO PRZEDPOKOJU i nadepnęła na przewód od suszarki, która wciąż leżała na stoliku przy drzwiach.

Mam w domu pełno kabli, pomyślała, kopnięciem odsuwając cztery pary botków, które wypadły z szafki. Nie przypominała

sobie, by kiedykolwiek miała je na sobie. Nawet zimą.

Stery kabli, pomrukujących przewodów elektrycznych w białych osłonach, zwiniętych w pętle tak mocno, że można by się na nich powiesić.

Zawiesiła kurtkę na wieszaku, weszła do kuchni i potknęła się o kolejny przewód, tym razem od ładowarki, która wciąż tkwiła w gniazdku przy stole.

Nienawidzę tych kabli bardziej niż czegokolwiek innego. Są wszędzie: za telewizorem, przy telefonie, między ekspresem do kawy a tosterem, wokół nóg biurka. Opętują moją duszę.

Otworzyła drzwi sypialni. Zasłony były rozsunięte, puste łóżko zaścielone po wojskowemu, jak to zwykł robić Peter. Sophia uwielbiała wślizgiwać się pod sztywne, wykrochmalone prześcieradło wyprane w pralni na rogu, w której miała zniżkę, odkąd pomogła bratankowi właściciela w sprawie o wyrządzenie szkody.

Sophia przejechała dłonią po równiutko naciągniętej narzucie. Peter najpierw pościelił, a dopiero potem ją rzucił.

Przeszła do salonu, położyła się na kanapie i przysunęła trzy z czterech pilotów.

Włączyła telewizor i otworzyła laptopa. Komórkę położyła sobie na kolanach, po czym nachyliła się do stolika i podniosła stertę dzienników z dodatkami, które zebrały się tam przez ostatnie dwa tygodnie. Jak dotąd ich nie przeczytała. Oby w szafie było jeszcze miejsce. Tam właśnie trzymała makulaturę. Nie mogła znaleźć pilota od kablówki, zaczęła więc od szybkiego przejrzania maili.

Lisa Zeiger wysłała jej krótką wiadomość. Planowano kolejną rozmowę z Alexem. Czy Sophia chce przy niej być? Owszem, chciała. Co za dziwne pytanie.

Szybko napisała odpowiedź i zanotowała godzinę spotkania w kalendarzu Outlooka. Zanotowała ją też czarnym długopisem w zwykłym kalendarzu, wielkością przypominającym książkę telefoniczną i wypełnionym luźnymi karteczkami w co najmniej siedmiu kolorach.

Nie dostała maila od Petera. Preczytała wiadomość, którą wysłał jej tuż przed Midsommar. Zamiast po prostu ją

zamknąć, wcisnęła umieszczoną w rogu ikonkę z krzyżykiem, żeby ją usunąć z poczty. Nie ma co bawić się w sentymenty. Lepiej, że to koniec, w każdym razie dla niego.

Pilot. Dalej grzebała w stercie papierów na stoliku, nie mając większej nadziei, że go tam znajdzie. Rzadko trafiała na to, czego akurat potrzebowała. Kiedyś zgubiła klucze do wspólnej pralni. Znalazła je potem w lodówce, wcześniej zdążyła jednak kupić własną pralkę i suszarkę oraz umówić się z wyjątkowo elokwentnym monterem, który zainstalować je w kuchni.

Przesunęła dłonią pod poduszką kanapy i wyciągnęła pilota razem z garścią włosów oraz sześcioma kulkami popcornu. Wyposażona we właściwą broń spróbowała nastawić jeden z kanałów filmowych, za które płaciła, a których nigdy nie oglądała. Dopiero po chwili zorientowała się, czemu pilot nie działa. Baterie padły.

Sophia chciała porozmawiać z Lisą o planach opieki nad Alexem. Linda Medner nigdy nie wydawała się wzorem cieplej, poukładanej matki. Sophia nie widziała więc powodu, dlaczego teraz miałyby nim być. Najważniejsze to zapewnić chłopcu spokój. Wszyscy mówili to samo, ale jakby za głośno.

Pomasowała skronie, próbując sobie przypomnieć, kiedy ostatnio brała tabletkę przeciwbólową.

A może spróbować feng shui? Może to by pomogło. Tylko czy to naprawdę skutkuje? Wiadomo, trzeba odpowiednio ustawić meble i wyrzucić zbędne przedmioty, aby nie stawały na drodze dobrem prądom, czymkolwiek takowe były. Co jednak robi się z tymi wszystkimi kablami? Czy je też można wyrzucić i zdać się na to, że prądy oraz dobra energia same będą zasilać wszystkie sprzęty?

Zapytam Annę-Marię, pomyślała.

Sophia odłożyła pilota i wybrała w komórce numer Petera, ale zaraz uznała, że to może nie najlepszy pomysł. Choć on z pewnością wiedział, gdzie leżą nowe baterie. Dzisiaj jednak nie ucieszyłby się z takiego pytania.

Wysłała za to SMS-a do Carla Bremera. W przyszłym tygodniu organizował przyjęcie, a ona zapomniała potwierdzić obecność. Może dlatego, że nie przepadała za udawaniem przed

ludźmi, z którymi dorastała, szczęśliwego stadła planującego powiększenie rodziny.

To byli jej znajomi, nie Petera, i niestety takie udawanie nigdy im nie wychodziło. Próbowwała zabierać go ze sobą na imprezy. Kończyło się tym, że oboje pili trochę za dużo, jedno źle rozumiało słowa tego drugiego i czuło się wyobcowane. Za drzwiami zaś zaczynali się kłócić. Ona ze łzami cisnącymi się do oczu opierała się o ścianę, a Peter mocno ścisnął ją za ramię i dopalał papierosa, dopóki nie został z niego króciutki, wilgotny od śliny pet. I tak oto musieli wracać do domu wcześniej, wypity alkohol zaś kwaśniał we krwi.

Choć ten jeden raz miała ochotę potańczyć i dobrze się bawić. Spotkać dawnych znajomych, pogadać z nimi i się pośmiać. Anna też ma przyjść. Będzie super, ona na pewno wymyśli coś zabawnego.

Sophia nie mogła zrozumieć, dlaczego jej przyjaciółka jak dotąd nie zadzwoniła z przeprosinami.

„Z chęcią wpadnę” – napisała. Poczta głosową miała zapchaną wiadomościami od dziennikarzy, z którymi nie miała ochoty rozmawiać. „Będzie ubaw. Przyjdę sama. Party!”

No właśnie, wykrzyknik, pomyślała.

Ledwo dała radę napisać SMS-a. Telefon pikał, jakby zrobiło się w nim zwarcie. Pewnie miała mnóstwo wiadomości, które zapychały pamięć. W końcu nie odsłuchiwała poczty przez cały dzień.

Veronica Svensson, ta dziennikarka, miała rację. Alex okazał się bardziej łakomym kąskiem niż księżniczka. Do Sophii dzwoniли nawet z magazynu „Allers”, który jej babcia kupowała „ze względu na krzyżówki”, a którego egzemplarze zalegały później przy jej łóżku, nawet kiedy wszystkie szarady były już rozwiązane. Nie miała pojęcia, co „Allers” chciało zrobić z historią Alexa, prosili ją jednak o kontakt. Jak najszybciej, cokolwiek to znaczyło w przypadku pisma, które składano do druku przez cztery miesiące.

Sophia nie wiedziała, co ma powiedzieć dziennikarzom. Kupiła więc kartę SIM i zainstalowała w starej komórce, którą znalazła w biurze. W ten sposób Anna-Maria mogła się do niej

dodzwonić w pilnych sprawach. Numer podała też dziadkowi oraz ośrodkowi, w którym przebywał Alex.

Dziennikarze nie byli zrażeni tym, że Sophia nie odpowiadała. Niektórzy ustawili się z aparatami przed jej biurem. Ponieważ długie obiektywy nie mieściły się w uliczce przed kancelarią, było mało prawdopodobne, że właśnie tam ktoś zrobi Zdjęcie Roku. A jednak o niej wspomniano w prasie jako o adwokat Alexa, wymieniając jej nazwisko.

„Bez komentarza” – tak podpisano niewyraźne zdjęcia, które ktoś zrobił jej gdzieś przed domem, czego nawet nie zauważyła.

No proszę, doczekałam się mojego okrutnego zabójcy, pomyślała, ze ściśniętym żołądkiem czytając kolejne artykuły. Takiego, dzięki któremu zyskam rozgłos, na jaki zasłużyłam. Wprawdzie Alex Andersson waży mniej niż trzydzieści kilogramów i nie ma pojęcia, czym tak naprawdę zajmuje się adwokat, ale to właśnie on mnie rozślawi.

Dziś „Expressen” i „Aftonbladet” poświęciły osiem stron na sprawę „zabójstwa”, a przecież od śmierci Christera Anderssona minęły już niemal trzy doby. Oba dzienniki nadal szukały odpowiedzi na pytanie „dlaczego?”. Prasa nie mogła się zdecydować, czy całą winę ponosi ojciec, co czyniło z chłopca bohatera, który wybawił mamę z opresji, czy też sprawę należało przekuć w debatę o dziecku będącym wcieleniem zła. Nie było raczej wątpliwości co do tego, że Alex miał w życiu ciężko. Jednak zło było teraz na topie. Można było napisać o tym całkiem długie teksty.

Czekając, aż odpowiedź na te wątpliwości wykrystalizuje się sama, prasa ciągnęła oba wątki równolegle. Dlatego wszystkie gazety przypominały czytelnikom dawne sprawy małoletnich zabójców, począwszy od nastoletnich Mendezów z USA, którzy zastrzelili rodziców, przez legendarną już Mary Bell, po dwóch dziesięciolatków, którzy w latach dziewięćdziesiątych zabili dwuletniego Jamesa Bulgera.

Pojawiały się artykuły o dzieciach, które dusiły kolegów, gwałciły, znęcały się nad innymi i zabijały nożem. Młodszych, starszych, wywodzących się z różnych klas społecznych. Tych z pozoru zupełnie zdrowych, jak i tych ciężko poszkodowanych.

Każda gazeta miała co najmniej jednego eksperta od psychologii dziecięcej, który wypowiadał się o wpływie otoczenia na dorastanie. O tym, że dzieci uciekające się do przemocy prawie zawsze były wcześniej bite, że zazwyczaj instynktownie bronią rodzica będącego w niebezpieczeństwie, z reguły matkę. Bo to naturalne, że tak wcześnie biorą na siebie odpowiedzialność za dorosłych, gdy stosunki rodzinne są powikłane i sytuacja tego wymaga.

Dziennik „Dagens Nyheter” poszedł dalej i zaangażował psychologa sądowego z Harvardu, według którego „dzieci zabijające rodziców wiedzą, że robią źle, są jednak bezradne i zdesperowane, nie widzą zatem innego sposobu”.

W niektórych gazetach publikowano też wywiady o wpływie środowiska na dzieci, a to dlatego, że ujawniono, iż wcześniej w tym roku z powodu przemocy domowej pomoc społeczna przejęła opiekę nad Alexem Anderssonem. Wprawdzie podkreślano, że dochodzenie w tej sprawie nie jest zakończone, ale wszyscy czytelnicy wiedzieli, co to naprawdę oznacza.

Przywódca chrześcijańskich demokratów będący ministrem edukacji opublikował na łamach „Dagens Nyheter” płomienne oświadczenia o konieczności zaostrzenia dyscypliny w szkołach. Domagał się wprowadzenia ocen od pierwszej klasy oraz porządných testów z głównych pięciu przedmiotów, przygotowanych według określonych standardów.

W większości gazet, z wyjątkiem „Dagens Nyheter”, znaleźć można było fotoreportaże z mieszkania chłopca, jego szkoły i domu opieki.

„Aftonbladet” zdobyło nawet zrobione z bliskiej odległości zdjęcie głównego opiekuna z domu dziecka. Uchwycono go, kiedy niósł zgrzewkę piwa. Per nie był bynajmniej zadowolony z tego, że znalazł się w prasie. Jego kiepsko skrywana złość nic jednak nie dała i po kilku dniach „Svenska Dagbladet” ujawniło, ile dokładnie państwo płaci za umieszczanie dzieci w takich placówkach. Dziennik opublikował też reportaż o przemocy w rodzinnych domach dziecka oraz poruszające relacje kilku świadków opowiadających o konsekwencjach dorastania z rodzicami zastępczymi, którzy nie nadają się na

opiekunów.

Telewizja również zaciekała się tą sprawą, a zainteresowanie wykraczało poza serwisy informacyjne.

Dzień po zabójstwie znany program kryminalistyczny „Efterlyst” przygotował specjalne letnie wydanie połączone z fotoreportażem oraz gorącą linią. Sophia obejrzała je i uznała, że jedyną atrakcją jest występujący w programie kryminolog. Pochylony, ze wzrokiem utkwionym w ekran komputera zapytał „co niby ma dać ten reportaż?”. Uznał też, że dziennikarze „choć ten jeden raz powinni pozwolić policji wykonywać swoją pracę i dać mu spokój, bo przecież, do cholery, ma teraz urlop”.

Odchrząknąwszy na tyle głośno, że dźwięk odbił się echem w studiu, kryminolog dodał: „To wcale nie takie proste wbić w kogoś nóż, zwłaszcza jeśli chce się to zrobić w miarę skutecznie. Statystycznie rzecz biorąc, to nie dzieci zabijają rodziców, a odwrotnie. Kiedy takie dzieciaki pozbawiają kogoś życia, to raczej młodszego kolegę od zabaw, nie ojca”.

„Rodzice w przytłaczającej większości przypadków dźgają nożami siebie nawzajem”, wymamrotał jeszcze profesor, zanim stracił wątek i zapatrzył się w sufit studia. Potem opowiedział zabawną anegdotę ze Stanów Zjednoczonych, „gdzie osiągnięto mistrzostwo świata także i w tej dziedzinie. Bowiem co jedenaste zabójstwo popełnione w rodzinie to właśnie ojcobójstwo. Dzieci zabijają jedno, a czasem nawet dwoje rodziców, nierzadko używając do tego broni ojca i strzelając od tyłu. Młodszy, a więc nieletni sprawcy często posuwają się do zbrodni, ponieważ rodzic dopuścił się wobec nich przemocy w tej czy innej formie”.

Po tej opowieści ekspert zrobił pauzę dla złapania oddechu. Przy okazji zdjął okulary, które chyba zabrał żonie, i głośno wytarł nos w rąbek zielonej myśliwskiej kamizelki.

„To jednak dość niespotykane... Sprawcy zazwyczaj są starsi”, dorzucił jeszcze, zanim zmęczony ustawił się przed kamerą, aby znów złapać oddech. „Poza tym strzelają do rodziców, a nie zaczynają ich strugać nożem kuchennym”. Po tych słowach kryminolog zniknął z ekranu. W zamian pojawił się blondwłosy

policjant, który odbierał telefony od widzów.

Kryminolog nie zdołał jednak zepsuć programu. „Efterlyst” zdobyło bowiem wyjątkowy wywiad z matką chłopca. Oczywiście nie podano jej nazwiska, a na ekranie pojawiła się tylko zaciemniona sylwetka z przetworzonym głosem.

To zapewne przykład błyskotliwości telewizji, pomyślała Sophia. W głowie jej dudniło, a w tym czasie Linda Medner opowiadała o swoim życiu u boku agresywnego męża alkoholika, o dniu powszednim maltretowanej kobiety i o tym, jak jest ciężko, kiedy trzeba żyć z dala od własnego dziecka, bo w domu człowiek nie zna dnia ani godziny. Linda nie wspominała o dniu zabójstwa. Sophia oglądała wywiad na stojąco. Bała się, że wyłączy telewizor, jeśli pilot wpadnie jej w ręce.

Następnego dnia blogerzy, felietoniści, mądre głowy i widzowie byli zgodni: wywiad stanowił przejmujący portret kobiety będącej ofiarą przemocy domowej. Jej historia była przerażającym przykładem tego, że skrajny patriarchytał rodzi agresję, która przechodzi z pokolenia na pokolenie.

Jedynie kryminolog z „Efterlyst” okazał mniejszy entuzjazm. Napisał list otwarty do p.o. producenta programu (właściwy producent przebywał na urlopie), nazwał go zakałą dziennikarstwa i zerwał współpracę.

Tego wieczoru Sophia chciała obejrzeć coś innego. Zdecydowanie nie miała ochoty na opowieści o radosnych zgonach, umiarkowanie krwawych dramatach czy zabójstwach z klasą.

Wstała i zaczęła przełączać kanały w telewizorze. Najchętniej obejrzałaby jakąś niewinną miłosną historię rozgrywającą się w arystokratycznych kręgach wczesnoosiemnastowiecznej Anglii. Coś z rudymi kobietami w gorsetach i męskimi mężczyznami w podkolanówkach i butach na obcasie z klamrami.

Pstrykała dalej. To jasne, że poradzi sobie bez chłopaka i bez pilota. Ustali, co będzie najlepsze dla Alexa, będzie dalej wykonywać swoją pracę i żyć po swojemu. Ze wszystkim upora się sama. Jak zawsze.

Były tylko nie wpadała na te kable. Doprowadzały ją do szaleństwa.

KARIN LINDSTRAND STAŁA W KUCHNI i wyglądała przez okno. Zaczął się już jej dwumiesięczny urlop. Ani jednej lekcji do przygotowania, ani jednej wywiadówki do poprowadzenia. Razem z Björnem wyjechali na wieś. On kąpał się co rano, zbierał grzyby i planował wieczornego grilla. Ona rozwiązywała krzyżówki, słuchała radia i tęskniła za szkołą. Dziś, tak jak wczoraj i przedwczoraj, postanowili zrobić sobie piknik. Pojechać nad jezioro, rozłożyć się na jednej ze skał i coś zjeść.

Karin zawsze lubiła pikniki. Teraz jednak nie myślała o niczym innym jak o dokuczliwych komarach oraz jeszcze gorszych mrówkach. Poza tym było zimno i pochmurnie. Pewnie rozpada się, kiedy wyciągną grilla.

Karin włożyła zimne wkłady do torby chłodzącej i próbowała sobie przypomnieć, co takiego planują zjeść. Baranie kielbaski, ostra musztarda, chleb domowego wypieku. Do musztardy na pewno nasypie się piach, lepiej więc spakować też duży foliowy worek. Ugotowane jajka, tuba kawioru, sałatka ziemniaczana z kaparami i cienko pokrojoną czerwoną cebulą. Banany i czekolada z miętowym nadzieniem, ze dwie bułki cytrynowe do kawy. Ach właśnie, zapomniała napełnić termos.

Wczoraj spakowała pusty. Zabrała dwie filiżanki, kilka kostek cukru w plastikowym pudełku i ciepłe mleko w osobnym termosie, ale kawa została w kuchni i spaliła się w ekspresie.

W ciągu dnia Karin próbowała sobie znaleźć jakieś zajęcie, przygotowywała na przykład coraz bardziej wymyślne kosze piknikowe. Były tylko przestać myśleć o tym, na co nic nie mogła poradzić.

Nie szło jej jednak najlepiej.

Czuła się bezradna. Tak, to dobre słowo. Bezradna, sfrustrowana i spanikowana.

Czytała o zabójstwie w gazetach, ale Lisa Zeiger oddzwoniła do niej dopiero po trzech dniach. Karin próbowała się z nią skontaktować. Prasa nie musiała podawać nazwiska, żeby się

mogła zorientować. Chciała porozmawiać z kimś, kto zna Alexa i wie, jak on się czuje.

Chciała się dowiedzieć, czy się nim zaopiekowali. Czy ktoś go przytulił. Gdzie mieszka. Co się właściwie stało. Chciała się dowiedzieć wszystkiego, czego nie znalazła w gazetach.

Lisa nie była zbyt wylewna. Powiedziała tylko, że Karin nie ma po co kontaktować się z policją, bo i tak niczego jej nie powiedzą. Nie dlatego, żeby mieli coś przeciwko niej, wyjaśniła Lisa. Chodziło o to, by Karin niczym się nie sugerowała, była przecież ważnym świadkiem w śledztwie.

To tylko pogorszyło sytuację. Policja i pomoc społeczna sądziły, że Karin im pomoże. Jak jednak miała to zrobić? Jak miałyby odpowiedzieć na pytanie, czy Alex był na tyle agresywny, żeby zabić ojca? Nie miała pojęcia.

Mogła zgadywać. Popuścić wodze fantazji, przygotowywać sobie odpowiedzi na pytania, które dotąd nie padły. Wszyscy, którzy zajmowali się Alexem, ją ignorowali, a ona rozmyślała. Kiedy ciasto drożdżowe rosło, a radio pobrzękiwało przy akompaniamencie kolejnych zdychających much, Karin fantazjowała.

Podniosła wzrok znad blatu. Za oknem jakby się przejaśniło. Björn pewnie będzie chciał wyjechać jak najszybciej. Lato jest krótkie, mawiał. I tak za długie, odpowiadała mu w myślach Karin.

Naprawdę intrygowało ją, czy na jesieni Alex wróci do jej klasy zgodnie z planem. Jeśli tak, będzie musiała porozmawiać z dyrektorem. Będą musieli jakoś opanować sytuację, bo przecież niektórzy rodzice będą uważać Alexa za mordercę, agresywne dziecko stanowiące zagrożenie dla innych.

Karin nie spała po nocach, mamrotała pod nosem i w myślach toczyła debatę z przedstawicielami rodziców. Ważyła argumenty, czując, że jej opinie na temat Alexa zupełnie do nich nie trafiają.

Prawda była taka, że choć Karin nie sądziła, że Alex jest niebezpieczny, pewności nie miała. Bo i skąd?

Zastanawiała się, czy dla Alexa nie byłoby lepiej, gdyby przeniósł się gdzieś indziej, do jakiejś szkoły, w której nikt go

nie znał. Zapewne tak.

Gdyby nie to, że tak za nim tęskniła, już by to zaproponowała pomocy społecznej. Z egoistycznych pobudek udawała, że da się to jakoś zorganizować. Gdyby bowiem Alex i jego matka musieli się przeprowadzić, Karin pewnie już nigdy nie zobaczyłaby chłopca.

Lisa Zeiger nie odpowiedziała konkretnie na jej pytania, a nikt inny się z nią nie skontaktował. Dlatego snuła spekulacje, jakich policja i pomoc społeczna nie chciałyby słuchać. Próbowwała pocieszyć się tym, że nie jest sama. Gdy chodziło o dzieci, ludzie tracili rozum. Nikt nie umiał zachować neutralności. Wszyscy nienawidzą wojen, a kochają dzieci. Jeśli ktoś to podważa, wychodzi na człowieka bez serca.

Jako nauczycielka Karin przywykła do tego, że za wszelką cenę musi darzyć wszystkich swoich uczniów taką samą sympatią, poświęcać im tyle samo uwagi i zapewniać identyczne warunki nauki. Ewentualnie mogła też mieć ich wszystkich gdzieś, to też byłoby w porządku. Najważniejsze, żeby nie wprowadzać hierarchii, nie traktować niektórych priorytetowo.

Wszyscy wiedzieli, że tak się nie da, ale trzeba było grać w tę grę. Inaczej byłoby niesprawiedliwie. Nikt nie chciał doprowadzić do sytuacji, w której musiałby przyznać, że dzieci traktuje się nierówno.

Czasami cała ta hipokryzja była niegroźna, kiedy indziej jednak stanowiła zagrożenie dla społeczeństwa. Karin wiedziała, że dobrymi chęciami jest wybrukowane piekło.

Jeśli jakiś malec opowiada, że wsadzono go na miotłę i wysłano na zlot czarownic, z reguły nie trzeba wysyłać do lasu antyterrorystów zaopatrzonych w wianuszki czosnku, żeby znaleźli groby rytualnie mordowanych dzieci. A tak właśnie robiono.

W histerycznych reakcjach brakowało miejsca na autentyczną troskę. To, że opinia publiczna dopatruje się istnienia pedofilskich szajek w każdym ratuszu, nie uratowało jeszcze żadnego wykorzystywanego dziecka. Wykorzystywanie seksualne to realny problem, do przemocy fizycznej dochodzi

zdecydowanie za często. Rzeczywistość nie wymaga efektów specjalnych.

Karin nigdy nie podejrzewała, że Alexa wysyłano na zlot czarownic. Nie sądziła, że musiał pić krew i recytować Biblię wspan. Mimo to wiedziała, że coś jest nie tak, że ktoś krzywdzi tego chłopca. Alex zawsze był inny od kolegów z klasy.

Karin zamknęła oczy i zobaczyła go przed sobą. Jak czyta na głos, liczy, przegląda bajkę, bez różnicy. Zawsze coś robił, czasami dobrze. Mimo to wspomnienia bolały.

*

To było w październiku. Na długo, zanim doszło do przejścia nad nim opieki. W piątek, kiedy to wypadła kolej Alexa, żeby usiąść przy pani. Pora lektury.

Karin starała się czytać trochę dzieciom codziennie po lunchu. Wtedy były najbardziej zmęczone i trudno było je zająć czymś innym. Każde dziecko przynosiło z domu poduszkę i wszyscy siadali na podłodze w kącie.

Ławki z pulpitemi, pamiętające czasy szkolne Karin, były ustawione parami w rzędy. Znalazła je w składziku przed kilkoma laty.

Sprowadziła je do klasy i wstawiła zamiast tych kwadratowych z laminowanym blatem, które kupiono dla szkół w całej gminie. Jak dotąd nikt nie protestował.

Raz w tygodniu każdy uczeń sprzątał swoją ławkę i pokazywał Karin jej zawartość. Temu też nikt się nie sprzeciwiał, choć dyrektor uważał, że istnieje „ryzyko posądzenia szkoły o naruszanie nietykalności”.

Dzieciom ławki się podobały, były jeszcze na tyle małe, że lubiły, kiedy je chwalono za dobrze zatemperowany ołówek. Rodzice zaś głównie interesowali się nakazem mycia rąk przy wejściu do szkoły i zakazem używania komórek przez dzieci poniżej dziewiątego roku życia.

Tego dnia mieli zacząć nową książkę, obłożoną w plastikową okładkę, wypożyczoną tydzień wcześniej z gminnej biblioteki. Alex siedział obok i pochylał głowę w jej stronę. Jego grzywka ją laskotała. Objęła go ramieniem i przyciągnęła do siebie. Nie

protestował, a ona wolną ręką głaskała go po przedramieniu.

– Chcę zobaczyć obrazki!

Dzieci, które nie siedziały obok, jak zwykle głośno zaprotestowały.

– A ja muszę siku.

– A ja nic nie widzę.

– Przesuń się.

– Cicho, dajcie pani czytać!

Alex zgiął się w pół, ciało miał napięte, podkurczył nawet palce u stóp w niebieskich skarpetach.

Nikt nie powinien przerywać tej chwili. Teraz była jego kolej, aby usiąść obok i recytować tekst, który czytała Karin.

Karin uciszyła go i kilka razy szybko pogładziła po ręce, po czym cofnęła się i otworzyła książkę. Grzbiet nieco zatrzeszczał. Rozchyliła strony tak, by książkę dało się trzymać w jednej ręce.

Zapanował spokój. Dzieci znów zajęły miejsca. Większość rozłożyła się na podłodze z wyciągniętymi nogami. Anna ssała kciuk, a Love gmerał przy dekolcie T-shirtu. Linnea i Moa przytuliły się do siebie, złapały za ręce i chichotały cichutko. Anton ułożył się na boku, odwracając się zgarbionymi plecami do kolegów. Pewnie zaśnie, zazwyczaj tak się to kończyło.

Alex przysunął się bliżej, mocniej uwieszając się jej ramienia.

– Niech pani nie ziewa, proszę pani. Proszę czytać głośno. Nic nie słyszymy, kiedy pani ziewa.

– Dobrze, dobrze.

Karin zamrużyła oczami i otworzyła usta, żeby rozluźnić skurczone mięśnie szczęki. Z zazdrością spojrzała na Antona, który już zdążył zasnąć z kciukiem do połowy wetkniętym do buzi.

Rozprostowała nogi i poruszyła lewą stopą, żeby jej nie zdrętwiała. Najchętniej usiadłaby teraz na kanapie, ale nawet gdyby w szkole mieli taki mebel, w klasie nie było dość miejsca. Karin wykombinowała więc cienki materac. Przykrywała go narzutą, którą co piątek prała w domu. W dzisiejszych czasach wszystko często się pierze i czyści. Ludzie poszaleli. Propozycja, by przy wejściu zainstalować wykrywacze bomb i broni,

ustąpiła miejsca kolejnej: w szkole miały się pojawić duże opakowania żelu antyseptycznego, sprzątaczkę zaś miały pracować dwa razy częściej. Widmo świńskiej grypy skutecznie przesłoniło inne problemy zagrażające klasie średniej w cywilizacji zachodniej, w tym także terroryzm. Ludzie zawsze coś wymyślą.

Love kichnął w rękę, obejrzał swoje gile, po czym wytarł je dokładnie w spodnie Pellego.

– Zaczynamy! Jesteście gotowi? – Karin uniosła rękę.

– Chcę zobaczyć obrazki, proszę pani. Nic stąd nie widzę. Proszę pokazać obrazki.

Alex pociągnął Karin. Chwycił jej dłoń i położył ją sobie na ramieniu, po czym zaczął przesuwać w górę i w dół.

– Podoba ci się? – wyszeptła Karin. – Mam cię dalej głaskać?

Skinął głową, prawie niewidocznie. Ścisnął też mocniej jej dłoń.

No to będę głaskać, pomyślała Karin. Przytuliła się policzkiem do jego włosów. Oczywiście, że będę.

*

Pokręciła głową, żeby pozbyć się wspomnień o szkole i Alexie. Nic nie mogła zrobić, w każdym razie nie teraz. Wiedziała też, że nie ma co liczyć na deszcz. Czas jechać na piknik.

Spakowała ostatnie produkty do torby chłodzącej, zapięła ją i wysłała po podszyty plastikiem koc oraz wyściełany kosz piknikowy wyposażony we wszystko, od plastikowych kubeczków i sztućców po korkociąg, scyzoryk, książkę o grzybach, plastry, wodę utlenioną i zapalki. Björna miała zgarnąć po drodze. Pewnie właśnie naprawia jakiś układ elektryczny, naciera smarem silnik motorówki albo majsterkuje przy kolejnej maszynie, której przeznaczenie zna tylko on.

Karin postanowiła, że spróbuje z nim porozmawiać o czymś innym niż Alex. Może o pogodzie?

Do plastikowej torby spakowała przenośny grill, kilka starych

gazet i rolkę folii aluminiowej. Było ich tylko dwoje, posiedzą nad wodą najwyżej dwie godziny, a sprzętu i jedzenia starczyłoby na tydzień.

No właśnie, trzeba też wziąć kurtki od deszczu. Leżały w korytarzu. I stroje kąpielowe, ręczniki oraz krem do opalania. Gumiaki i kamizelki już leżały w łodzi.

Kiedy tylko wrócą, Karin pojedzie na rowerze do kiosku po wieczorne gazety. Może napiszą coś, o czym jeszcze nie czytała. Coś o Alexie, co wyjątkowo pozwoli jej pomyśleć o czymś przyjemnym.

31

NA DWORZE SKRZECZAŁY mewy. Sophia otworzyła okno na oścież. Czytała właśnie materiały, ale sama właściwie nie wiedziała, do czego mogłyby się jej przydać.

Nie było nic dziwnego w tym, że nie miała teraz nic więcej do roboty. Jeśli klienta nie schwytano i nie osadzono w areszcie, to podczas śledztwa jedynym zadaniem Sophii był udział w przesłuchaniach, wyjaśnianie, co się dzieje, i o ile leżało to w interesie klienta, kontakty z mediami.

Przesłuchania Alexa trwały krótko, jednak niektórzy dziennikarze wciąż tak bardzo emocjonowali się tematem, że Sophia postanowiła ich unikać. Alex miał duże potrzeby, ale nie należały do nich kontakty z prasą.

Odezwał się do niej inspektor Adam Sahla. Głos miał nieco urażony, jakby uznał, że wtedy potraktowała go jak idiotę. Zgodził się jednak spotkać i opowiedzieć o postępach w śledztwie.

– Bez obaw – dodał przez telefon. – Jak się pani może zorientowała podczas rozmowy z psychiatrą, nikt z nas nie uważa, że Linda Medner zasługuje na nominację do tytułu Matki Roku. Proszę nie wierzyć we wszystko, co piszą gazety. To nieprawda. Wierzy w to tylko prokurator i jej znajomi dziennikarze.

W zasadzie, dopóki wstępny etap śledztwa nie był

zakończony, Sophia rzadko otrzymywała zeznania świadków w sprawach przeciwko jej klientom, jednak dziesięć minut po rozmowie z Adamem Sahlą materiały wylądowały w jej skrzynce mailowej. Były to wyciągi z trzech przesłuchań Lindy Medner sprzed miesiąca. Linda opowiadała w nich o Christerze Anderssonie, o tym, jak bije ją i Alexa.

Sophia od razu zabrała się do lektury, próbując przebrnąć przez wszystkie rutynowe pytania.

Z zeznań wynikało, że Linda Medner też wychowała się w rodzinach zastępczych. Przerzucano ją po całej Szwecji, przenoszono ze szkoły do szkoły, od jednej rodziny do drugiej. Dość często. Sophii wydawało się, że widziała wzmiankę o tym w dokumentach z pomocy społecznej. Wielu klientów, nad którymi przejmowano opiekę, miało co najmniej jednego rodzica, który dorastał w podobnych warunkach. Sophia już nie zwracała na to uwagi.

Rozsiadła się przed oknem. Zastanawiała się, czy nie wydrukować reszty zeznań, żeby usiąść z nimi na podwórku. Postanowiła, że zrobi tak wieczorem, kiedy już trochę odpocznie, no i dostanie resztę dokumentów, które Adam Sahla chciał jej przekazać, a które musiała odebrać osobiście z komendy.

Sophia odwróciła się i uruchomiła drukowanie. Słyszała, że stojące w korytarzu urządzenie ocknęło się i zaczęło drukować.

Według prawa Alex był za mały, by zostać skazany i odbyć karę. Do pełnoletności brakowało mu dziesięciu lat. To mniej, niż niektórzy spędzają na dożywociu.

Jeśli dla Alexa karą było życie z matką, Sophia miała zamiar dopilnować, aby chłopiec uniknął tego losu. Uznała, że najlepiej będzie od razu pojechać do Adama Sahli, i tak nie miała nic innego do roboty.

– To bardzo miło, że zgodził się pan ze mną spotkać. – Sophia wyciągnęła dłoń do Adama Sahli, który właśnie pojawił się w recepcji. Ucisnął jej rękę i skinieniem głowy przywitał się ze strażnikiem, który czytał gazetę za kuloodporną szybą.

– Nie ma sprawy. I tak już wcześniej wydrukowałem dla pani kopię akt, a że nigdy niczego nie wyrzucam bez powodu, wciąż

ją mam. – Odchrząknął i lekko się zakołysał, przenosząc ciężar ciała na pięty. – Wysłałbym mailem, gdyby archiwum dysponowało wersją elektroniczną albo gdyby mieli czas ją zeskanować. Jednak szef archiwum z reguły odmawia. Tam w piwnicy stres jest nie do zniesienia, sama pani rozumie.

Sophia zaśmiała się uprzejmie. Adam mówił dalej. Drzwi były otwarte na oścież, zrobił się przeciąg.

– Jak już pani wie, zawsze badamy przeszłość rodziców. Dzięki temu ustaliliśmy, że ojciec Alexa miał za sobą karierę w boksie amatorskim.

– Ach tak. – Sophia odstawiła teczkę na podłogę.

Najwidoczniej zamierzał rozmawiać z nią tutaj, na stojąco. Rozejrzała się. Byli sami, nie licząc strażnika, który nadal pogrążony był w lekturze.

– To istotne. Mężczyźni ze skłonnościami do agresji to nasi ulubieni podejrzani w takich sprawach. Teraz oczywiście mam na myśli maltretowanie Alexa, nie zabójstwo. Jednak sprawdziliśmy też matkę i to wtedy natrafiliśmy na te akta.

Adam kolejny raz odchrząknął. Może był przeziębiony.

– Cóż, teraz jest już za późno na wyduszenie zeznań z ojca. Gdyby się jednak okazało, że to wina Lindy, to bez współpracy Alexa nie da się jej postawić przed sądem. Mimo wszystko skłaniam się ku temu, że to ona... – Adam zrobił wdech. – To znaczy ona wydaje się... Chociaż... nieważne, nie mamy podstaw. Nawet jeśli matka się nad nim znęca, i tak jej nie oskarżę. Chciałem podchwycić słowa Alexa o tym, że ojciec nie palił. Co jednak miałbym zrobić z taką informacją? Donikąd mnie to nie zaprowadzi. W każdym razie nie w sprawie o zabójstwo. Chyba że Alex zacznie mówić. Musiałby powiedzieć coś wprost, żebyśmy zrozumieli, o co mu chodzi.

– Niemożliwe.

Ależ on chaotycznie mówi, pewnie zastanawia się nad czymś innym, pomyślała Sophia.

– Zatem potrzebujemy Alexa. Nie tylko w sprawie znęcania się, ale i zabójstwa. Linda nie figuruje w kartotekach. Nie licząc kilku libacji i trudnego dzieciństwa, wydaje się taka jak inni ludzie. Jednak jej nazwisko pojawia się w aktach tego śledztwa

sprzed dwudziestu pięciu lat. To właśnie chciałem dać pani do przeczytania, kiedy rozmawialiśmy wiosną. Rzuca ono sporo światła na życie Lindy. Żaden ze mnie psycholog, ale można się zastanowić, jaki to wywarło na nią wpływ. Jako na matkę i w ogóle.

– No tak. – Sophia zaczęła się zastanawiać. Zatem on uważa, że śledztwo sprzed ćwierć wieku jest istotne. – Linda miała wtedy osiem lat. Była świadkiem czy ofiarą?

– Proszę. – Adam podał jej plik papierów, który trzymał w dłoni. Kiedy tylko się od nich uwolnił, skrzyżował ręce na piersi. – Sam nie wiem, co odpowiedzieć. Jednym i drugim.

Sophia włożyła dokumenty do teczki. Adam był dobrym policjantem, zapewniali ją o tym wszyscy, z którymi rozmawiała. Pewnie w papierach jest coś ważnego, choć nie bardzo rozumiała, do czego miałyby się to przydać. Przeczyta wieczorem. Na spokojnie. Najpierw jednak pojedzie na obiad z dziadkiem.

– Dziękuję, że poświęcił mi pan czas. – Skinęła głową na pożegnanie, on zrobił to samo. Kiedy Adam szedł korytarzem w stronę windy, Sophia przez chwilę wpatrywała się w jego plecy.

Na swój sposób wydaje się nerwowy, pomyślała. Albo zestresowany, na pewno chodzi tylko o stres.

Adam Sahla powoli szedł do windy. Nie czuł się dobrze. Dokuczala mu zgaga, miał problemy z zaśnięciem. Marzył, mimo że w jego gabinecie było ciepło.

Od czterech lat pracował w sztokholmskiej grupie zajmującej się przestępstwami wobec dzieci. Na siłowni śmiali się z niego, że ma ambicje, aby zostać szefem. On sam uważał jednak, że ma o wiele mniej skomplikowane podejście do śledztw niż większość policjantów. Dla niego liczyły się fakty. Intuicja to wymysł.

Teraz też nie chodzi o intuicję, przekonywał sam siebie. To zwykła logika.

Statystyka w pewnym sensie przeinacza fakty, mimo to Adamowi się podobała. Bez względu na to, na ile można było na niej polegać, najzwyczajniej w świecie trudno było mu zignorować to, co z niej wynikało. Tym bardziej gdy w grę

wchodziły tak jednoznaczne odpowiedzi jak w tym przypadku.

Jeśli chodzi o przemoc w rodzinie, to dopuszczali się jej głównie mężczyźni: najpierw wobec swoich kumpli, potem żony i dzieci. Z reguły porządek był właśnie taki. I nawet jeśli nie bili dzieci, to ci, którzy dorastali, patrząc, jak ojciec tłucze matkę, rzadko wyrastali na normalnych ludzi.

Wszystkie poważne badania dowodziły, że dzieci wychowane w takich związkach są wybuchowe, agresywne i nie znają umiaru. Tak przedstawiały się wyniki badań i żadna organizacja broniąca praw jednostki w społeczeństwie nie miała na to wpływu.

W statystykach często można było znaleźć przypadki synów zabijających ojców. W Stanach Zjednoczonych z rąk dzieci ginęło rocznie mniej więcej trzystu rodziców, a więc niemal jeden na dzień. Takie rzeczy się po prostu dzieją. Nawet w Szwecji.

Jak dotąd większość poszlak wskazywała na to, że Christer Andersson znęcał się nad żoną i dzieckiem. Oraz na to, że upiwszy się w Midsommar, znów miał zamiar ich skrzywdzić, ale Alex go powstrzymał.

Prawdopodobny scenariusz. Jednak Adam wciąż bił się z myślami. Coś mu mówiło, że wszystko rozegrało się inaczej. Coś mu nie pasowało.

Ruszył na ostatnie półpiętro. Nogi ciążyły mu, jakby były z łożu. Pochylił się do przodu przed drzwiami na korytarz, nie mogąc zgiąć kolan. Mięśnie ud odmówiły mu posłuszeństwa.

Linda Medner Andersson. Morderczyni znęcająca się nad dzieckiem. Matka, która namówiła jedyne go syna, by wziął na siebie winę za popełniony przez nią czyn. Na pewno tak właśnie było. Alex Andersson nie był sprawcą zabójstwa, Adam dałby sobie za to rękę uciąć.

Takie miał przecucie, bo niestety inaczej nie dało się tego nazwać. Tylko że przecucia nie są dowodem w sądzie, a co najwyżej przyczyną wrzodów żołądka i odwołanych urlopów.

Zupełnie jak z ciastem w proszku. Trochę whisky, trochę złości. Wystarczy dodać wodę.

Kiedy ojciec się upijał i bił kumpli, mama siedziała obok i się

śmiała. Nigdy nie mogłam pojąć, co ją tak śmieszyło. Może nic, może tak tylko chichotała. Kto wie, może chciała uszczęśliwić ojca? Nigdy nie wyglądał na szczególnie zadowolonego. Ja jednak się nie śmiałam, kiedy ojciec bił mamę. Siedziałam cicho. Musiałam słuchać i patrzeć, ale chciałam nie słyszeć.

Nigdy nie sądziłam, że sama będę mieć dzieci. Czasami wręcz nie pojmuję, jak mogłam być tak głupia. Chyba wydawało mi się, że coś takiego przytrafia się innym. Dopóki nie przytrafiło się mnie.

Kiedy byłam w ciąży, wybraliśmy się na wólcę do Indii. Chrille chciał, żebyśmy pojechała z nim, a ja uznałam, że to świetny pomysł. Ale potem... Chryste, ależ tam rzygałam. I jakie miałam rozwolnienie.

Czułam się strasznie. Tych cudów, o których wcześniej opowiadał Chrille, nie widziałam na oczy. Do tego krwawiłam. Czasami bardzo. Byłam pewna, że już jest po ciąży. A kiedy przyjechaliśmy, okazało się, że już za późno, już nic nie dało się z tym zrobić.

Kiedyś słyszałam, że w jednym wytrysku są miliony plemników. Ale Chrillemu nawet nie przeszło to przez myśl. Zawsze gadał, że gumka to jak jedzenie banana ze skórką i on nie zamierza się w to bawić. W każdym razie nie sądzę, żeby za jego zaciśniętymi powiekami kryły się jakiegokolwiek głębsze refleksje, kiedy się we mnie spuszczał. Cała męska krew spływała mu wtedy do fiuta.

Myśleniem zajmowałam się ja. Musiałam myśleć za nas oboje.

Wtedy kochaliśmy się cały czas. W kuchni, od tyłu, nocą, pod prysznicem, w przedpokoju na dywanie, który drapał mnie w plecy. Pewnego wieczoru po powrocie z pubu wszedł we mnie, jeszcze zanim zamknęliśmy drzwi. Nie zdążyłam zdjąć kurtki i spódnicy. Chrille rozerwał rajstopy, majtek nawet mi nie ściągnął, tylko odsunął.

No to będzie dziecko, pomyślałam wtedy.

No i oczywiście miałam rację. Zawsze byłam dobra w przewidywaniu katastrof.

– MASZ JAKIŚ WIĘKSZY GARNEK? – Sophia pomachała obdrapaną płaską patelnią. Dziadek przysiadł przy stole, żeby popatrzeć na nią, jak przygotowuje jedzenie.

– Sprawdź w szafce z tyłu. – Z zadowoleniem pogładził butelkę, którą właśnie wyjął z wiaderka z lodem. – I natychmiast przestań zrzedzić. Skoro przyjeżdżasz bez zapowiedzi, nie spodziewaj się, że nakryję stół ślubną porcelaną.

Cieszył się z jej przyjazdu, wiedziała o tym, i wcale nie był aż tak zaskoczony. Czasami wpadała na obiad, zwłaszcza wtedy, kiedy akurat nie miała chłopaka. Dziadek już się domyślił, że między nią i Peterem wszystko skończone. Nawet ją za to zwymyślał.

Sophia wrzuciła do miski kilka garści suszonych grzybów i zalała je letnią wodą. Ucięła kilka gałązek natki w doniczce stojącej na parapecie. Dziadek uważał, że w każdym domu powinno rosnąć co najmniej osiem gatunków ziół. Był to kolejny powód, aby ją ganić. W swojej kuchni urządzonej w stylu lat siedemdziesiątych Sophia nie miała uroczego ziołowego ogródka.

– I podaj tę kielbasę, proszę.

Dziadek nigdy sam nie polował, ale miał dobrego przyjaciela, który przesyłał mu mięso: kielbasę z dzika, sarni comber, pierś kaczki, filety i mięso mielone z łosia. Obiady Sturego cieszyły się dużym uznaniem we Fjärlilsgården.

– I nie dawaj za dużo śmietany. W lodówce mam solone masło, a gdybyś chciała, to chyba mam też kawałek tego włoskiego sera, który przywiozłaś ostatnio. Jest dobry, ale cholernie trudno utrzymać go na kanapce, ciągle się kruszy.

Sophia się uśmiechnęła i sięgnęła po kieliszek wina, który podał jej dziadek.

– Nazywa się pecorino. To ser podpuszczkowy.

Zjedli w kuchni. Nigdy dobrze nie wychodziły im poważne

rozmowy o życiu, tego typu tematy pojawiały się raczej w oparach sosu z czerwonego wina lub przy czyszczeniu lepkich korzeni skorzonery. Może zresztą, bez względu na metodę, na jedno wychodziło.

– Jak rozumiem, nie ma większego sensu mówić ci, żebyś zadzwoniła do Petera z przeprosinami?

Sophia wzięła kolejny kęs makaronu. Sos grzybowy wyszedł świetnie, grzyby były w sam raz twarde i miały lekko wędzony smak. Dobrze zrobiła, że dopiero na koniec dodała kilka kropli oleju truflowego. Pokręciła głową.

– Powinniśmy byli zjeść to z chlebem.

– Tak mi się wydawało. Jak zwykle nie potrafisz przyznać się do błędu. On był dla ciebie za dobry. – Dziadek rozlał do kieliszków resztę wina. – I lody. Lody też trzeba było podać.

Dziadek chciał się wcześniej położyć. Ubrany we flanelową piżamę i kapcie pocałował Sophię w czoło i dał jej jedną ze swoich poduszek. Pogłaskał ją po policzku. Zamknęła oczy i wyobraziła sobie dom dziadków, który sprzedali, i wakacje sprzed lat.

U dziadków zawsze było chłodno, pomyślała, wdychając zapach poduszki. Budziłam się z zimna, wchodziłam do łóżka dziadków i kładłam się między nimi.

Sophia popatrzyła na dziadka, kiedy zniknął w drzwiach sypialni. Na jego przygarbione, a kiedyś przecież tak szerokie ramiona.

Kiedy wstawaleś, pomyślała, ja zawsze gramoliłam się za tobą i próbowałam cię złapać za nogę. Ciekawe, czy pamiętasz, jak na niej wisiałam, dopóki mnie nie strząsnął. A potem szedłeś się załatwić i nigdy nie zamykałeś drzwi. Słyszał było, jak strumień rozbrzmiewa w porcelanowej muszli. Ja siedziałam na krześle w kuchni, wymachując nogami w powietrzu, i czekałam, aż skończysz. Objęłam piętami o drewniane nogi, aż bolały mnie obtarcia. Bo zawsze miałam obtarte pięty, babcia się ze mnie śmiała.

Półożąc na kanapie, Sophia zaczęła kartkować gruby plik dokumentów, który dostała od Adama Sahli. Materiałów było więcej, niż wcześniej sądziła. Zawierały czarno-białe zdjęcia,

opinie lekarskie, zeznania świadków i mnóstwo obszernych raportów policyjnych.

Sophia zabrała się do czytania o tym, co spotkało Lindę Medner 16 grudnia 1983 roku. Była wtedy małą dziewczynką. Jej największym zmartwieniem był co najwyżej rower i nierówna grzywka, którą pewnego ranka sama sobie przycięła kuchennymi nożycami, kiedy jej mama poszła spać. Była tylko dzieckiem, nie matką, nie żoną i nie pracownicą.

Lektura zajęła Sophii trzy godziny.

*

– Miała cholerne szczęście. Cholerne.

– Gdyby dzieciak przyszedł do domu kwadrans wcześniej, to kto wie.

Linda Medner, lat osiem, słyszała rozmowę policjantów, mimo że nie powinna jej była słyszeć ani zrozumieć.

Było ich czterech. Wszyscy w mundurach, rozmawiali niezbyt głośno. Nic to nie dało. Linda i tak zrozumiała. Nie zgadzała się jednak z nimi. Nie uważała, by miała cholerne szczęście.

Czasami je miewała. Kiedy drzwi sypialni były szczelnie zamknięte, zasłony szczelnie zaciągnięte, a w domu panowała cisza. To znaczyło, że mama jest zmęczona, a taty nie ma. Mama drzemała, kiedy Linda wracała ze szkoły. Uchyłała kołdrę, uśmiechała się słabo i przyciągała Lindę do siebie. Czasami kładła jej dłoń na policzku. Albo przesuwiała kciukiem po uchu, pochylając się tak blisko, że jej oddech łaskotał Lindę w szyję. Wtedy Linda mogła przytulić się brzuchem do pleców mamy, ułożyć stopy na jej grubych łydkach i przycisnąć się do flanelowej koszuli nocnej.

Linda lubiła leżeć w łóżku mamy. Czowała się wtedy trochę tak, jakby spała na cienkiej podłodze ponad ruchliwą stacją metra. W pewnym sensie czuło się spokój, ale też cały zgiełk, tak że aż ciało zaczynało drżeć. Materac się wybrzuszał, kiedy tak turlały się z jednej strony łóżka na drugą, a mama chrapała. Przez swoje kanciaste żebra przypominała suszarkę do prania, przy każdym jej wdechu i wydechu rozlegało się miarowe dudnienie. I tak bez przerwy.

Lindzie udawało się wślizgnąć do łóżka mamy, kiedy dopisało jej szczęście. Jednak tego dnia nie miała go ani trochę.

Policjanci wcale nie mieli racji. Poza tym nie mogła wrócić do domu kwadrans wcześniej. Nawet gdyby biegła całą drogę, nie dałaby rady i już.

Trzy dni w tygodniu kończyła lekcje za dwadzieścia czwarta. Już po trzeciej zaczynał ją boleć brzuch, a powrót do domu zazwyczaj zajmował jej od dwunastu do szesnastu minut. Linda wychodziła, kiedy tylko pani się z nimi pożegnała. Nie było na co czekać. Przecież i tak musiała wrócić, czy tego chciała, czy nie.

Kiedy rozlegał się dzwonek, Linda wtykała zeszyty, z których i tak potem nie korzystała, do plecaka, szła po kurtkę i wkładała ją, otwierając drzwi na dwór. Potem ruszała do domu.

Tego dnia padał śnieg. Zaspy rosły. Na tle ciemnego nieba oraz w świetle latarni widać było, jak śnieg zacina ukośnie. Nieliczne samochody, które ją mijają, jechały powoli, ślizgając się po jezdni i zostawiając coraz głębsze ślady.

Kilka godzin później, kiedy Linda siedziała na tylnym siedzeniu prawdziwego radiowozu, zrobiło się zimno, a do tego napadało już tyle śniegu, że opony buksowały. Póki co jednak śnieg zalegał na drodze miękkimi falami. Skrzypiało pod butami, było jej zimno w stopy. Rękawiczek też nie miała.

Obok czerwonej willi Majlis, która miała w ogrodzie jabłka, czyli w połowie drogi, Linda zaczęła biec. Wprawdzie kilka razy się poślizgnęła, bo miała na sobie cienkie adidasy, ale i tak udało jej się dotrzeć do domu szybciej niż zwykle. Już za dziesięć czwarta weszła do przedpokoju. Na chwilę tam przystanąła.

W domu było cicho. Na ulicy nie stał żaden obcy samochód, w środku nie grała muzyka, na podłodze nie było cudzych butów. Mimo to Lindę obleciał taki strach, że aż ugięły się pod nią kolana. Pewnie z powodu zapachu. Pachniało dziwnie, nie wymiocinami czy rozlanym pilznerem. Nie знаła tego zapachu. Nie podobał się jej. A jedyną rzeczą straszniejszą od jej dnia powszedniego było to, co nieznanne. To, czego się nie spodziewała.

Linda stała w przedpokoju i zastanawiała się, czy nie lepiej było zostać w szkole. Mogła ukryć się w toalecie albo za którąś z wąskich szafek zamykanych na klucz. Ręce zaczęły jej odtajać tak, że aż bolało. Próbowwała złagodzić uczucie mrowienia, pocierając dłońmi o spodnie.

Kiedyś udało się jej ukryć w szkole po lekcjach. Nikt nie zauważył, że została, dopóki Frida nie przyszła sprzątać. Frida skorzystała z telefonu w pokoju nauczycielskim i zadzwoniła po mamę. Godzinę później mama ją odebrała. Była zarówno zła, jak i zaniepokojona, miała czerwone plamy na szyi. Linda wiedziała jednak, że po prostu jest speszona, bo była pijana. Mamie zazwyczaj było wstyd.

Teraz jednak było za późno. Już znalazła się w domu, a tu nie było żadnej szafki, za którą mogłaby się ukryć. Ruszyła więc do kuchni. To mama tak śmierdziała.

Linda podbiegła do niej. Poślizgnęła się na gęstej jak syrop krwi, na plastikowej podłodze zrobiły się smugi. Krew pachniała mokrą trawą, a może glonami, które morze wyrzuca na brzeg, a potem wraz z latem o nich zapomina. Mama siedziała zgarbiona i oparta o ścianę, w brzuchu tkwił nóż kuchenny, wnętrzności wypłynęły jej na kolana. Na grzbietach obu dłoni miała centymetrowe nacięcia, a we krwi dwa promile alkoholu. Nie żyła od godziny i czterdziestu pięciu minut.

W sumie to wcale nie pachnie tak strasznie, pomyślała Linda. Tylko mokrą trawą.

Linda chwyciła pociętą matczyną rękę. Była spuchnięta i sztywna, większa niż zazwyczaj. Linda próbowała krzyczeć, z wysiłkiem otworzyła buzię. Nie było łatwo, wargi jej wyschły i się skleiły. Rozwarła je i zaciskając mięśnie brzucha, wyparła z siebie powietrze. Głos był słaby, gardło ją bolało. Z krtani dobył się tylko dziwny cichy dźwięk, jakby zgrzyt, do oczu napłynęły łzy, dużo łez. Rozplakać się jest łatwo, płacz przychodził sam z siebie, jednak teraz Linda nie chciała płakać. Chciała krzyczeć, może zawołać tatę. Nie dała jednak rady.

Próbowała jeszcze kilka razy, ale przeszkadzały jej łzy. Wyszła więc do salonu, żeby skorzystać z telefonu. W szkole nauczyła się, że jeśli potrzebna jest pomoc, trzeba zadzwonić

pod numer 90-000. Dziewiątka i dużo zer. A potem telefony rozdzwaniają się na policji, na pogotowiu i u wszystkich innych, którzy mają auta z syrenami i niebieskimi światłami na dachu.

W salonie, w pobliżu telefonu siedział tata. Zostawiwszy mamę z nożem w brzuchu w kuchni, poszedł do garażu i przyniósł strzelbę. Miał na nią pozwolenie, chociaż nigdy nie polował. Potem usiadł na fotelu i wetknął lufę w usta.

Później, o czym Linda nie wiedziała, płakał i smarkał, ssąc lufę przez godzinę. W tym czasie mama osuwała się coraz niżej, ślizgając się w gęstej krwi, Linda zaś siedziała w szkole i odpowiadała na pytania nauczycielki o cztery gatunki zbóż w Szwecji.

Dopiero kiedy zadzwonił dzwonek, a Linda zaczęła brnąć przez śnieg do domu, ojciec nacisnął spust.

Nie strzelił sobie jednak w gardło i nie rozerwało mu głowy. Najwidoczniej wyjął broń z ust, bo pocisk zakreślił łuk przypominający wachlarz i przeszedł przez szyję, szczękę i policzek. Nie był to zbyt fortunny pomysł, bo ojciec nie umarł, przynajmniej nie od razu. Może się wystraszył i chciał się wycofać w ostatniej sekundzie.

Kiedy Linda weszła do salonu, nie wiedziała, że ojciec nadal żyje. Nie można jej za to winić. W końcu zostało mu tylko pół twarzy. Wyglądało na to, że nie żyje, jak mama. I był nieprzytomny. Żył jednak jeszcze przez cztery godziny po przewiezieniu do szpitala i dopiero potem całkowicie osierocił Lindę.

Policjanci uważali, że gdyby Linda wróciła wcześniej, ją też by zabił. Linda nie powinna tego rozumieć, ale mimo to zrozumiała. Zgadzała się zresztą z policjantami. Ojciec wyszedłby do przedpokoju, kiedy tylko usłyszałby, że otwiera drzwi. Pewnie zabiłby ją tam, na miejscu, zanim zdążyłaby wejść do kuchni. Bo pewnie ojciec by nie chciał, żeby wiedziała, co się tam dzieje, nie chciałby, żeby się tak wystraszyła.

W takich kwestiach był zasadniczy. Nie podobało mu się, kiedy Linda wieczorami oglądała Columbo, horrorów też nie lubił. Tego filmu, w którym całe mnóstwo ptaków siedzi za

oknem i macha skrzydłami – też nie.

Jeśli ósmioletnie dziewczynki naoglądają się telewizji, to śnią im się potem koszmary, mawiał, całując ją w czoło. Powoli, w pół otwartymi ustami i z pewnym skupieniem. Zawsze był skupiony, kiedy robił coś ważnego. Potem Linda musiała iść spać. Od razu, żeby nazajutrz być przytomna na lekcjach. Co do tego ojciec też był zasadniczy. Nieco surowy, bardzo troskliwy i aż nazbyt często pijany.

Linda wiedziała więc, że gdyby wcześniej wróciła ze szkoły, ojciec zabiłby i ją. Nie zgadzała się jednak z policjantami w tej drugiej kwestii.

Bo Linda miała szczęście wtedy, kiedy mama była zmęczona, a taty nie było w domu albo gdy był, to chociaż nie pijany i zły. Mama leżała w łóżku i kładła Lindzie dłoń na policzku. Tak, czasami Linda miała szczęście, ale nie zawsze i nie tego dnia, kiedy tata zastrzelił mamę. To nie był szczęśliwy dzień. W żadnym razie.

*

Dokumenty były pożółkłe. Zeznania spisano lata temu na maszynie. Noc była jeszcze jasna, kiedy Sophia skończyła czytać, wygładziła kartki dłonią, wyprostowała rogi i wetknęła fotografie nieżywych rodziców Lindy Medner do teczki. Wstała z kanapy, na której miała zamiar spać. W ustach czuła gorycz. Sama nie wiedziała dlaczego, ale chciała wrócić do domu. Czuła, że musi.

Udało się jej ubrać w półmroku, napisać kartkę dziadkowi i wymknąć się na korytarz. Na ulicy zadzwoniła po taksówkę, która podwoziła ją do kancelarii. Dopiero kiedy zapłaciła i wysiadła, uświadomiła sobie, że to wcale nie tu chciała przyjechać. Postanowiła, że przejdzie z biura do domu na piechotę.

Grupka niemieckich turystów śpiewała na ulicy Helan gâr⁶. Któryś z mężczyzn zagwizdał głośno, kiedy Sophia przechodziła obok. Miała gołe nogi i choć wiatr był słaby, zaczęło jej się robić zimno, ruszyła więc biegiem. Dobięła do teatru Dramaten,

6 Tradycyjna szwedzka przyśpiewka biesiadna.

tam skrećila w Sybillegatan.

Kiedy była przy placu Östermalmstorg, chciała się przywitać ze Steffo, który leżał na swoim stałym miejscu przy cmentarzu. Spał jednak, i to równie mocno jak ostatnim razem, kiedy się widzieli. Wtedy siedział obok niej na sali rozpraw, a groziły mu trzy miesiące za pobicie. Dokładnie trzy, ni mniej, ni więcej, Sophia nie mogła nic z tym zrobić. Pewnego środowego wieczoru Steffo przyłożył jednemu z kumpli flaszką po aperitifie, o który to trunek się pokłócili. Sprawa zapewne nie skończyłaby się w sądzie, gdyby nie to, że Steffo chwycił zakrwawionego kolegę za kołnierz kurtki i, z pustą butelką w drugiej ręce, zaciągnął go do radiowozu zaparkowanego przy budce z hot dogami. Policjanci z patrolu chcieli kupić po bułce z parówką i wszystkimi dodatkami. Steffo chwycił jednego z nich i domagał się, żeby ten zrobił coś z nieuczciwym kumplem. Policjant odparł, żeby nie zawracać mu głowy, bo jest głodny i potrzebuje chwili spokoju, wobec czego Steffo kolejny raz przyłożył koledze butelką w głowę. Krew trysnęła na kupionego właśnie hot doga. Tego było już dla policjanta za wiele. Zapytał, dlaczego nie mogą pić wina z kartonu jak wszyscy menele, po czym wyrzucił jedzenie do kosza, a Steffo i kumpla zapakował na tylne siedzenie radiowozu. Zawiózł ich na komisariat, skąd połowę towarzystwa, czyli kumpla, przewieziono na ostry dyżur. Kilka godzin później do akcji wkroczyła Sophia, by z ramienia wymiaru sprawiedliwości spełnić kolejną niezbędną misję, a więc zapewnić Steffo uczciwy proces. Steffo był, rzecz jasna, niewinny. Co więcej, jak nie omieszkał zauważyć, rosita to klasyczny trunek, a takiego nie można zabrać kumpłowi bezkarnie.

Sophia bardzo dobrze znała Steffo, takich jak on znała zresztą aż zbyt wielu. Steffo jednak rzadko kiedy ją rozpoznawał.

Kim właściwie jestem dla moich klientów? – pomyślała. Dlaczego zawsze tak bardzo się nimi przejmuję?

Szumiało jej w uszach, kiedy wchodziła do mieszkania. Nie zdejmując żakietu, ruszyła prosto do sypialni. Położyła się na łóżku, zrzuciła buty i natychmiast zasnęła. Noc przeszła w

dzień, a jej nic się nie przyśniło. Obudziła się dwadzieścia po siódmej, cała złana potem. Zrzuciła ciuchy i weszła pod prysznic.

Pojechała metrem. Padał deszcz, a nie chciała dotrzeć do kancelarii przemoczona. Zrobiła rundę wokół Stortorget, żeby sprawdzić, czy coś jest otwarte i uda się jej kupić śniadanie, mimo że była sobota, sezon urlopowy, i to przed dziewiątą rano. Czuliła się nie najgorzej. Udało się jej zdobyć kanapkę oraz kawę.

Względny humor dopisywał jej, dopóki nie zasiadła w biurze. Wtedy serce zaczęło jej łomotać. Wiedziała dlaczego. Zdarzało się to już wcześniej. Kiedy nie miała kontroli nad tym, co się dzieje, kiedy nie mogła nic zrobić w ważnych sprawach.

Dlatego unikała tego, co nieznane, zawsze była czujna, nigdy nie odpuszczała, przynajmniej nie z własnej woli.

Anna nie była jej jedyną przyjaciółką. Przez lata Sophia poznała wiele osób, jednak za bardzo się do nich nie zbliżyła. Niektórym wydawało się inaczej. Zwłaszcza kiedy zwierzała się jej ze swoich problemów podczas niekończących się nocy i spacerów bez celu. Jej znajomi rzadko kiedy orientowali się, że Sophia jakby nie miała własnych kłopotów, że nigdy nie rozmawiają o niej.

Po skończeniu liceum zaczęła studiować historię literatury.

– To cię donikąd nie zaprowadzi – mówił dziadek. – Co będziesz robić z dyplomem z historii literatury? Będziesz zarabiać na chleb, pisząc teksty do pisemek dla dzieci?

Na pierwszym wykładzie jeden z profesorów powiedział, że jeśli ktoś wybrał studia z historii literatury, bo lubi czytać, to popełnił błąd. Z pierwszego kolokwium Sophia dostała słabą czwórkę, wtedy zrozumiała, że profesor mówił poważnie. Zmieniła więc kierunek na prawo, dokładnie tak jak chciał dziadek.

Chciała do czegoś dojść, czegoś konkretnego, z czego będzie mogła żyć. Była zaskoczona, kiedy się okazało, że naprawdę lubi te studia.

Prawo nie wiązało się z żadnymi rozterkami. Kolejne strony pozbawionego emocji tekstu do wykucia, w najgorszym razie

do zrozumienia. Rozterki wróciły dopiero, gdy Sophia zaczęła pracować i stosować spójne paragrafy do rozwiązywania rzeczywistych problemów ludzi.

Z początku prawo ograniczało się dla niej do ładu, logiki i zdrowego rozsądku. Nie było w nim miejsca na uczucia. Sentymentalny prawnik to zły prawnik. Nauczyła się tego dość wcześnie podczas czteroipółletnich studiów, wtedy wręcz ją to uszczęśliwiło.

– A kto był pierwszy? – zapytał dziadek, kiedy zadzwoniła, aby powiedzieć, że dostała drugi najlepszy wynik z prawa procesowego, i to spośród dwustu trzydziestu studentów. Sophia знаła odpowiedź, bo sama sprawdziła. Pierwszy był niejaki Per, szachowy mistrz Szwecji, który zaczął studiować prawo w wieku trzydziestu pięciu lat i od czasu do czasu przystępował do któregoś egzaminu. Wtedy miał niemal czterdziestkę i brakowało mu połowy zaliczeń.

– Szachista – odparł dziadek z namysłem. – Niech to szlag.

Dziesięć minut po rozmowie z nim znów siedziała na galerii biblioteki uniwersyteckiej ze stosem książek przed sobą. Za osiem dni miała kolejny egzamin. Równolegle wybrała fakultet prawniczy i kryminologiczny, przed ukończeniem semestru musiała więc zdobyć jeszcze kilka punktów, żeby nie zostać w tyle.

Jej koledzy siedzący obok w długich rzędach bibliotecznych stołów ustawionych pod wysokim sufitem, wśród woni skórzanych opraw oraz studenckiego potu, sądzili, że Sophia jest usatysfakcjonowana swoimi ocenami. Jednak jeszcze tego dnia wylądowała na ostrym dyżurze.

Lekarz stażysta kazał jej zwolnić tempo. Coś takiego często się zdarza w czasie trudnych sesji, wyjaśnił jej, siedząc naprzeciwko na obrotowym taborecie. Pochylił się i wręczył jej numer telefonu, pod który mogła zadzwonić, gdyby potrzebowała pomocy. Później musiał biec do następnego pacjenta.

Sophia nie chciała jednak niczyjej pomocy, nie potrzebowała jej. Jeśli tylko da z siebie wszystko, będzie dobrze, jeśli jeszcze trochę wykuje, zapanuje nad sytuacją. Wtedy strach zniknie.

Teraz Sophia siedziała sama w biurze, a serce waliło jej jak oszalałe. Historia Lindy Medner Andersson zszokowała ją, nie była na coś takiego gotowa. Może to przez te cholerne zdjęcia, może przez to, że jej los okazał się tak przesądzony.

Nie zareagowała zbyt profesjonalnie, wiedziała jednak, że niedługo jej przejdzie. Wkrótce skupi się w stu procentach na tym, na czym powinna, czyli na swoim kliencie Alexie Anderssonie.

Na poniedziałek wyznaczono kolejne przesłuchanie. Wtedy Sophia wróci do szczytowej formy.

33

DRUGIE PRZESŁUCHANIE ALEXA ANDERSSONA odbyło się w policyjnej placówce dla dzieci w Norrort. Kierowniczką placówki o imieniu Kattis, prokurator Maria Olsson, Lisa Zegier z pomocy społecznej i Sophia siedziały w tym czasie w sąsiednim pokoju, gdzie mogły śledzić przebieg przesłuchania na plazmowym ekranie telewizora. Widać było na nim dwa obrazy: policjanta i chłopca oraz samego chłopca.

Umebłowanie pokoju przesłuchań składało się w zasadzie tylko z dwóch foteli oraz ustawionego między nimi niskiego stolika. Na blacie stał karton z chusteczkami. Przytulanki, które zazwyczaj na nim leżały, zabrano z pokoju, bo rozpraszały Alexa.

Chłopiec siedział twarzą do drzwi. Chodziło o to, aby widział wyjście i nie czuł się zamknięty. Alex chciał, żeby drzwi zostały otwarte. Adam podłożył pod nie książkę, żeby same się nie zatrzasnęły.

Fotele były jasnoszare i miały podłokietniki. Alex nie sięgał nogami do podłogi. Przesuwał dłonią po obiciu i od czasu do czasu zerkał w wymierzony w niego obiektyw kamery.

Inspektor Adam Sahla mówił cicho, czasami trudno wręcz było usłyszeć jego słowa.

Pokój, w którym siedziały kobiety, pogrążony był w półmroku i Sophia omal nie przysnęła wsłuchana w pomruk ustawionego

obok sprzętu nagrywającego.

Minęło dziesięć minut, a policjant nie zadał jeszcze ani jednego pytania o zabójstwo ani o maltretowanie Alexa. Adam próbował nakłonić chłopca, aby opowiedział o szkole, do której chodził przed wakacjami, o ulubionym napoju i ośrodku, w którym mieszkali z mamą. Nietrudno było się domyślić, że stara się rozluźnić chłopca.

Kiedy Alex już opowiedział, że sam musi ścielić łóżko, a w szkole było beznadziejnie, Adam pokiwał głową. Chciał przejść do kolejnego tematu.

– Wiem, że trudno ci o tym mówić, ale chcę wyjaśnić, nad czym się zastanawiam. Możesz chyba mnie poprawić, jeśli powiem coś nie tak, prawda? – Alex otarł nos dłonią. Adam mówił dalej: – W wigilię Midsommar twoja mama odebrała cię od Pera i Leny około dziesiątej rano, tak?

– Nie znam się na zegarku.

Alex zmienił pozycję. Zsunął się z fotela, postawił stopy na podłodze i tylko opierał się pupą o siedzenie.

– Hm, no tak. – Adam zamilkł na chwilę. – To rzeczywiście trudne. – Znow zrobił przerwę. Pewnie zastanawiał się, jak namówić Alexa, żeby znow usiadł. Sophia pochyliła się w stronę ekranu, żeby niczego nie przegapić. – Ja nauczyłem się czytać godziny dopiero w połowie podstawówki.

– Był pan złym uczniem?

Adam zaśmiał się cicho i pokręcił głową.

– Co robiliście z mamą po powrocie do domu?

Alex stanął obok fotela.

– ...chciałem, żeby tata przyszedł.

– No tak, to zrozumiałe.

– Ale nie chciałem, żeby się upił i zaczął bić. Nie chciałem. A mama po niego zadzwoniła.

Alex szybko przetaił oczy grzbietem dłoni i odwrócił się plecami do Adama. Kamera przesunęła się z cichym szumem i uchwyciła chłopca w momencie, kiedy akurat przyciskał palcem wiszącą na ścianie grafikę.

Adam czekał, aż chłopiec się wyplacze.

– Pamiętasz, kto wymyślił, żeby zadzwonić po tatę? Ty czy

mama?

Alex otarł łzy rękawem bluzy.

– To była moja wina, mówiłem już. Nie chcę więcej o tym rozmawiać. Nie, bo nie, i niech się pan już zamknie.

Adam nie próbował zatrzymać chłopca, kiedy ten wybiegał z pokoju. Pochylił się do przodu i głęboko westchnął. Lisa i Kattis poszły po Alexa. Prokurator ruszyła za nimi. Sophia została w pokoju. Wpatrywała się w ekran, na którym było widać Adama.

Sprzęt wciąż nagrywał, szumiąc cicho. Po minucie Adam rozparł się w fotelu i podniósł wzrok w stronę obiektywu. Sophia popatrzyła mu prosto w oczy. Ciemne włosy miał potargane. W Sophii coś jakby pękło.

To nie na mnie patrzy, pomyślała, żeby się uspokoić. Przecież mnie nie widzi.

Wstała, żeby odejść od telewizora, i otworzyła okno.

Letni wiatr był bardzo zimny, aż Sophia dostała gęziej skórki, a krew odpłynęła z koniuszków palców. Kolana się pod nią uginały.

I co teraz zrobić?

Klasyczne kryminały, literatura z wątkiem prawniczym, zagadki detektywistyczne dla dzieci, CSI, Prawo i porządek, Morderstwa w Midsomer oraz hollywoodzka historia o kanibalu w kagańcu – inspektor Adam Sahla nienawidził ich wszystkich, a najbardziej wtedy, kiedy jego śledztwo grzęzło w miejscu. Bo wtedy mimowolnie zaczynał marzyć. Fantazjował, jak by to było, gdyby nie był prawdziwym policjantem.

Teraz właśnie doszedł do tego momentu. Śledztwo utknęło w martwym punkcie.

Gdyby fikcyjna przestępczość miała choćby odrobinę wspólnego z rzeczywistością, wszystko wyglądałoby inaczej.

Sprawa śmierci Christera Anderssona obfitowała w zagadki. Brakowało za to gotowych odpowiedzi, które spadłyby Adamowi wprost z nieba i stanowiły rozwiązanie całej sprawy.

W pierwszej kolejności chodziło o broń: nóż, japońskie dobrze naostrzone cacko, które znalazło się w domu Lindy i Christera Anderssonów. Oczywiście było dość dziwne, że patologiczna rodzina mieszkająca w tanim trzypokojowym

mieszkanu kupiła narzędzie za kilka tysięcy koron. Co robił japoński nóż w ich mieszkaniu? Dlaczego Linda Medner miałyby zaopatrywać się w nóż, który wystarczyło przyłożyć płazem do pomidora, by zrobić z niego papkę?

Gdyby Adam był jednym z tych policjantów z telewizji, okazałoby się zapewne, że to Linda kupiła nóż, że wybrała właśnie taki typ, i to z pobudek niemających nic wspólnego z kulinariami. Nóż byłby zapewne decydującym tropem, który doprowadziłby do rozwiązania.

W rzeczywistości jednak Anderssonowie dostali nóż od kolegi Christera. Facet zdobył go podczas błyskawicznego włamania do willi na Bromma. Kradzieży dokonał tego samego dnia, kiedy wybierał się do nich z wizytą. Wydawało mu się, że zabawnie, a zarazem elegancko będzie sprezentować nóż Lindzie. Nóż miał więc kryminalną przeszłość, zanim jeszcze utkwiał w plecach Christera Anderssona. Nie był jednak dowodem na to, że Linda z zimną krwią zamordowała męża.

Druga sprawa to brak telefonu. Adam miał wręcz obsesję na punkcie tej zagadki. Zrozumiałe było, że Christer Andersson nie miał abonamentu, pijaczki bez stałych dochodów wybierają raczej telefony na kartę. Dziwiło jednak, że Christer w ogóle nie miał telefonu.

Adam sprawdził wszystko. Billingi z telefonu stacjonarnego w mieszkaniu oraz z komórek Lindy i kumpli Christera. Nigdzie nie znaleźli numeru, który mógł należeć do Christera.

Gdyby Adam był bohaterem powieści kryminalnej, zapewne wszystko o to by się rozbiło. Kiedy już nie byłoby nadziei na rozwiązanie sprawy, okazałoby się, że Alex zadzwonił z zaginionej komórki taty i tym samym zdradził jej istnienie. Zadzwonił na przykład do rzecznika praw dziecka albo na linię zaufania, żeby opowiedzieć, co się stało. Wyszłoby na jaw, że mama Alexa połknęła kartę SIM, żeby nikt się nie dowiedział. Wymiociny w toalecie byłyby jedynym świadectwem pomysłowości Lindy. Karta SIM byłaby wyrokiem. Do więzienia, Lindo Medner, bez wykretów.

Bohaterski policjant Adam Sahla dotarłby do zapisu rozmowy, odnalazłby telefon i ustaliby, co się naprawdę stało

w noc zabójstwa Christera Anderssona.

A gdyby i ten trop zawiódł, cóż, wtedy na pewno udałoby się podczas przesłuchań.

W obskurnym pokoju Adam i jego koledzy ze Świata glin i Posterunku przy Hill Street do oporu wyeksploatowałyby sprzęt do nagrywania. Tylko z tego powodu Linda Medner by się załamała. Adam, jak na twardziela przystało, skonfrontowałby ją z takimi dziwnymi faktami jak choćby to, że tamtego wieczoru była trzeźwa, mimo że w kuchni miała świeżą butelkę drogiej jak cholera whisky. Albo to, że to ona, nie Christer, paliła jak komin, i to papierosy, które potem gasły na dziecinnej skórze Alexa.

– *Tell me truth!*⁷ – zagrzemiałby. Tylko oczywiście po szwedzku.

Wtedy już by nie wytrzymała. Wyznałaby wszystko.

Tak jednak nie było. Linda Medner Andersson szła w zaparte. Całe jej życie przypominało kurs radzenia sobie z policją i pomocą społeczną. Nie była typem, który ot tak zaczyna mówić, a potem się załamuje i przyznaje do winy.

Podczas rzeczywistych przesłuchań nie musiała mówić o wszystkim. Patrzyła tylko na Adama, chwilę popłakała i kilka razy powiedziała: „Nie wiem, czego wy ode mnie chcecie”.

Teraz pozostawało mu tylko jedno: nakłonić Alexa do wyjawienia, co się właściwie stało.

Adam Sahla nie spał po nocach i wyobrażał sobie, jak to jemu, nikomu innemu tylko jemu, udaje się dotrzeć jakoś do chłopca.

Trudno było nie marzyć o fanfarach i dźwięku skrzypiec, o filmowym zakończeniu sprawy, po którym pojawiała się już tylko lista z nazwiskami aktorów. Adam wiedział, że to głupie, taka świadomość jednak nie pomagała. Postanowił zostać bohaterem lub przynajmniej kumplem Alexa i koniec. To wyzwanie traktował poważnie.

Alex jechał samochodem z Lisą i Sophią. Za nimi własnym autem podążał Adam. Wybrali się do Pera i Leny, żeby Alex mógł pogłaskać Felixa, może też się przejechać. Był to pomysł

Adama. Adam mógł zyskać zaufanie Alexa w otoczeniu, w którym ten czuł się dobrze.

Nie chodziło o przeprowadzanie przesłuchań, to bowiem zaplanowano na później, chcieli tylko, by chłopiec poczuł się dobrze. By się zrelaksował, uznał, że Adamowi można ufać.

Jednak na wsi sprawy też nie potoczyły się po hollywoodzku. Alex bowiem nie chciał wysiąść z samochodu. Przez czterdzieści pięć minut reszta towarzystwa siedziała u Pera i Leny, chłopiec zaś ten czas spędził na tylnym siedzeniu samochodu wynajętego przez Sopię. Drzwiczki były otwarte na oścież. Nikogo nie było w pobliżu, wszyscy siedzieli w kuchni i starali się nie zerkać przez okno, żeby jeszcze bardziej go nie stresować.

Nic się nie wydarzyło. Nic, co nadawałoby się na scenę filmową, nic godnego kart dobrego kryminału ani nic, co mogłoby pomóc Adamowi w śledztwie.

Adam utknął w martwym punkcie. W dramatycznie beznadziejnej rzeczywistości.

34

SOPHIĘ OGARNAŁ STRACH. Była letnia noc, Sophia ze świeżo umytą głową leżała przy otwartym oknie, a krew w sercu buzowała niczym rzeka wzbierająca na wiosnę. Godzina mijała za godziną. Sophia nie mogła zasnąć.

W zasadzie sprawa była prosta. Prościuteńka. Jeśli nie będzie mogła pomóc temu klientowi, to pomoże następnemu. A spać przecież musi.

Jednak nic z tego. Kiedy tylko zaciskała powieki, widziała Alexa. Jego ciemne, wystraszone spojrzenie.

Oczy ją piekły i bolały. Wiedziała, że jak tak dalej pójdzie, sama długo nie pociągnie. Nie ma co udawać, że nic się nie dzieje, bo w gruncie rzeczy była przerażona. Dziadek był stary i chory, rzucił ją chłopak, a praca przyprawiała ją o zawroty głowy.

Ze wszystkich stron padały ciosy, a ona nigdy nie nauczyła

się, jak w porę zrobić unik. Musiała porozmawiać, i to nie z byle kim. Musiała porozmawiać z Anną.

*

Dziewięcioletnia Sophia spotkała Annę po raz pierwszy we wtorek tuż po lunchu. Nawet nauczycielka wyglądała na zaskoczoną, kiedy Anna otworzyła drzwi do klasy z kartką w ręce i niemal pustą plastikową torbą pod pachą. Miała za długie włosy i dżinsy w niemodnym kolorze. Nikt się nie spodziewał, że pojawi się u nich ot tak, w środku semestru, tygodnia lekcji.

Nauczycielka jednak szybko odnalazła się w sytuacji, niektórzy dorośli to potrafią. Wszystkie dzieci muszą chodzić do szkoły, nawet jeśli nie trafiają do niej na początku roku, a ich rodzice nie byli ani na zebraniu informacyjnym, ani na spotkaniu przed salą gimnastyczną.

Woźny doniósł ławkę i krzesło ze strychu. Anna usiadła niecały metr od Sophii. Nad uszami miała kucyki, a jej stopy w spiczastych butach kołysały się kilka centymetrów nad podłogą. Mróz wymalował kwiaty na oknach klasy, do jednej szyby przymarzył zeszłoroczny liść przypominający dłoń przyciśniętą do szkła. Sophia dokładnie mu się przyglądała, głównie po to, aby nie patrzeć na swoją nową sąsiadkę. Próbowała sobie wmówić, że Anna nie zasługuje na to, by się nią zainteresować. Bo kto to widział udawać taką dziwaczkę. Sophia wiedziała, co dziadek by o tym powiedział. Reszta klasy wpatrywała się w nią z wybałuszonymi oczami.

– No to masz już miejsce. Formalnościami zajmiemy się później – powiedziała nauczycielka i klasnęła, żeby rozładować napięcie w klasie.

Taka właśnie była ich pani, zarówno z literami, jak i z dziećmi radziła sobie od niechcienia. Nawet jeden blankiet i PESEL za dużo nie mogły jej wytrącić z równowagi.

Nowa koleżanka nie była Sophii do niczego potrzebna. Bo i do czego? Sophia miała świetną stalową temperówkę, dwie nowiutkie zapachowe gumki do wycierania i piórnik z obrazkiem szczeniaczka. Sama dawała sobie radę.

Za to jej koleżanki z klasy potrzebowały wszystkiego.

Całowały się z chłopakami, podawały sobie karteczki w stylu: „Myślisz, że mam szansę? Zaznacz «tak» lub «nie»” albo „Sądzisz, że Cilla jest ładna? Bo ja nie”. Żuły hubbę bubbę, za kieszonkowe kupowały gazetkę „Okej” i przyklejały zdjęcia pod pulpitami. Uczyły się słówek na pamięć i liczyły na palcach.

Sophia była inna. Nie przyklejała żadnych zdjęć na swoją ławkę, nikt też nie chciał wiedzieć, kto według niej jest brzydki.

Kiedy rozległ się dzwonek, Sophia poszła prosto na dziedziniec. Bez czapki, w rozpiętej kurtce zsuwającej się z ramion. Tak się chodziło, wszyscy tak robili, przynajmniej ci z czwartej klasy. A wszyscy z trzeciej robili to co czwartaki. Była to najprostsza reguła zachowania na dziedzińcu i nawet Sophia jej przestrzegała.

Zazwyczaj wystarczało, że stawała gdzieś z boku. Inni prawie od razu zajmowali się piłkami, kredami, skakanką i oblodzonymi drabinkami stojącymi na zamarznętym piachu. Rzadko kiedy dzieci były na tyle znudzone, by zwrócić uwagę na Sophię. A jeśli już tak się stało, i tak nie było po co bliżej się kolegować, bo zdarzało się to rzadko. Koleżankom z klasy szybko się nudziło jej towarzystwo, a droga do szkoły i z powrotem była krótka.

Echo jazgotliwego dzwonka jeszcze rozbrzmiewało w powietrzu, kiedy Anna podeszła do Sophii.

– Cześć – powiedziała. – Masz na imię Sophia, tak? – W zasadzie było to stwierdzenie, Sophia nie musiała odpowiadać.

Była zresztą tak zaskoczona, że zdołała tylko dziwnie prychnąć. Anna mówiła szybko. Z kieszeni kurtki wyjęła garść kulek do gry. Nakrapianych kamiennych, połyskujących szklanych i przezroczystych z brokatem. Wszystkie miały różne wzory, odbijały się od siebie i postukiwały. Anna podała jej kulki, a dla siebie wyciągnęła kolejne z drugiej kieszeni. Potem usiadła.

Sophia nadal stała, więc Anna niecierpliwie poklepała miejsce obok siebie. Sophia miała tam usiąść. Tak też zrobiła. Potem zaczęły budować piramidy z kulek. Złączyły ręce, żeby ogrzać ziemię i usypać z niej tor.

To wystarczyło, żeby się zaprzyjaźniły. Poszło łatwo i szybko.

Po szkole wracały razem, mieszkały niedaleko siebie. Pewnie przez przypadek, ale wydawało im się to oczywiste.

I tak w styczniu, na zimnym dziedzińcu, kiedy mróz głęboko skuwał ziemię, a świat toczył się gdzieś obok, Sophia znalazła swoją najlepszą przyjaciółkę. Anna i Sophia były nierozłączne. Wymieniały karteczki i tajemnice, miały odważne plany na pełną przygód przyszłość bez chłopaków, za to ze słodyczami podawanymi na lunch. Sopię zaskoczyło to niczym cud, zresztą to był cud.

*

Wstała z łóżka i stanęła przed oknem. Wciąż miała przyspieszone tętno. Przez chwilę stała, a nocny chłód wślizgiwał się jej pod koszulę.

Tęsknię za nią, ona jest moją najlepszą przyjaciółką, pomyślała, przykładając dłoń do czoła i zamykając oczy. Dlaczego tak trudno mi zrobić to, czego chcę? Nie kochałam Petera. Nie szkodzi, że nie czułam żalu, tak jak powinnam, kiedy mnie zostawił. Po prostu nie było mi szczególnie smutno. Gdybym jednak miała stracić Annę... cóż, to co innego.

Było po pierwszej, kiedy zadzwoniła, żeby przeprosić. Anna odpowiedziała po drugim sygnale. Rozmawiały prawie dwie godziny. Potem Sophia zasnęła z ciepłą słuchawką telefonu w dłoni.

35

ŻELAZNA FURTKA była zardzewiała. Zacinała się i można ją było otworzyć tylko w jedną stronę.

Pewnie kupiona za grosze na targu staroci we Florencji i zamontowana przez stolarza, który stosuje tylko tradycyjne metody, pomyślała Sophia, ruszając pod górę zadbaną żwirową ścieżką prowadzącą do głównego wejścia drewnianej willi.

Dom miał dwa piętra i stał w głębi działki. Otaczał go duży ogród z drzewami owocowymi, warzywami i szklarnią. Między dwiema jabłoniąmi wisiał hamak we wszystkich kolorach tęczy,

na jednym z dębów zaś zawieszona była ogromna huśtawka z siedziskiem dla co najmniej dwóch osób. Na tym samym drzewie, kilka metrów wyżej, między listowiem prześwitywał zarys drewnianego domku. Sophia nieraz się do niego wspinała, zapraszana na udawaną kawę serwowaną w prawdziwych porcelanowych filiżankach i parzoną na miniaturowej kuchence ustawionej obok białego stolika i czterech dziecięcych krzesełek w klasycystycznym stylu.

Obok dębu, pod daszkiem z ciemnego drewna, znajdowała się piaskownica i drabinki. Za domem zaś mieścił się basen w kształcie nerki z naturalnym kamiennym dnem. Obok stał stół z blatem z mozaiki oraz osiem krzeseł w tym samym stylu i grill wbudowany w mur otaczający taras.

Dom Anny zawsze robił na Sophii duże wrażenie. Razem skończyły szkołę, równocześnie studiowały w Uppsali, a kiedy dorastały, wydawało im się, że są jedynymi nastolatkami na Djursholm, które nie mają bogatych rodziców. Tata Anny był wprawdzie lekarzem, jednak po rozwodzie żył samotnie i wydawał swoją skromną pensję w krajach, do których wysłali go Lekarze bez Granic. Mama Anny, przedszkolanka, musiała wyżywić dzieci sama.

Anna nie odziedziczyła pieniędzy i nie wyszła bogato za męża. Zarobiła wszystko sama.

Teraz jej mama mieszkała w domku dla gości stojącym po drugiej stronie basenu. Nie pracowała już w przedszkolu, tylko pomagała córce i zięciowi w opiece nad dziećmi.

Anna, absolwentka prawa, nigdy nie pracowała w zawodzie. Założyła bazę danych w internecie, sprzedała ją, otworzyła kolejną internetową firmę, sprzedała ją i tak to się toczyło, aż w końcu miała więcej pieniędzy, niż mogła wydać.

Nadal „rozwijała projekty” – jak to nazywała. Między innymi miała firmę zatrudniającą trzydzieści osób, zasiadała też w dwóch czy trzech zarządach. Jej mąż miał zdecydowanie mniej odpowiedzialną pracę – był specjalistą od prawa gospodarczego w jednej z większych sztokholmskich kancelarii. Po tym, jak został jej współwłaścicielem, zarabiał mniej więcej jedną trzecią sumy, którą Anna sama sobie wypłacała jako

pensję.

Nigdy wcześniej nie gniewały się na siebie tak długo. Jako dzieci sprzeczały się niezwykle rzadko. Sophia nie umiała się bawić z innymi. Pewnego razu była zła na Annę i chciała, żeby ta poczuła, jak to jest, kiedy przyjaciółka będzie skakać na skakance z kimś innym. Jednak inne koleżanki nie pozwalały jej skakać, pozostawiało co najwyżej kręcenie skakanką. Kręciła więc, nieco za szybko, żeby się zemścić. Ale tylko przez moment, nigdy na tyle długo, żeby ktoś się przewrócił lub stracił rytm. Zazwyczaj szybko się jej nudziły wszelkie próby wzbudzenia zazdrości Anny.

Anna z rozwianym włosom ruszyła biegiem przez swój ogromny ogród.

Uściskała Sophie i mocno przytuliła do siebie.

– Tak bardzo za tobą tęskniłam. Mówiłam ci już?

Sophia pokiwała głową, objęta przez Annę ramieniem.

– Przepraszam, że nazwałam cię egoistką. Przepraszałam cię już?

Sophia znów przytaknęła. Wciąż się obejmowały.

– Nie rozumiem, jak mogłam coś takiego powiedzieć. Nie znam nikogo, kto robiłby dla innych więcej niż ty.

Uściskały się jeszcze raz.

– Ty i twoje dzieci nigdy nie macie dla mnie czasu.

– Sophiiiiia!

Troje z czworga dzieci Anny zbiegło po schodach. Gdy tylko przyjaciółki uwolniły się z objęć, dwoje z nich dopadło Sophie. Zaczęły ją ciągnąć, więc przykucnęła i próbowała przytulić je do siebie, trzecie, najmłodszą dziewczynkę, też. Jednak mała wybuchnęła głośnym płaczem i uciekła do mamy.

Sophia popatrzyła na Annę. Zaczęły śmiać się do utraty tchu.

Anna pochyliła się nad stołem i zapaliła kolejny zabytkowy żeliwny lampion.

– Chciałaś porozmawiać?

– Tak. – Sophia rozpięła guzik w dzinsach i podciągnęła kolana pod brodę. – Właściwie to muszę porozmawiać z kimś, kto zna się na dzieciach.

– Że niby ze mną? – Anna się zaśmiała. – Toś mnie ubawiła.

Powiedz to Emilowi.

Emil, lat dziesięć, był najstarszy i miał dość dorosłych w ogóle, a szczególnie własnych rodziców.

– Właściwie dlaczego nie porozmawiasz z dziadkiem? Przecież jest profesorem psychologii.

– Wiesz dlaczego. W każdym razie jeszcze nie teraz. I wiesz, że nie mogę rozmawiać o klientach.

– Zakładam więc, że chciałaś zadać kilka hipotetycznych pytań.

– Owszem. Choć zrozumieć, jeśli... – Sophia zawiesiła głos.

– Biorąc pod uwagę, co ostatnio wypisywały gazety, te hipotetyczne pytania muszą zostać między nami. Mam nadzieję, że rozumiesz to, jak i to, że właściwie nie mam wyboru. Muszę kogoś zapytać, muszę o tym porozmawiać, bo zwariuję, a co to za prawnik, który zwariował. Wiesz, że ci ufam.

– Zatem czysto hipotetycznie.

– Ile rozumie siedmiolatek?

Anna poważnie popatrzyła na Sophię. W ostatnim czasie wszystkie szwedzkie gazety, serwisy informacyjne i programy publicystyczne w radiu i telewizji dyskutowały o sprawie siedmioletniego klienta Sophii.

– Niestety całkiem dużo. – Anna przełknęła ślinę. – Powiem wręcz, że jeśli wydaje ci się, że siedmiolatek czegoś nie rozumiał, to możesz być pewna, że rozumiał każde słowo.

– A jak się rozmawia z siedmiolatkami?

– Co masz na myśli?

– Powinniśmy wyrażać się jakoś inaczej albo mówić w szczególny sposób?

– Nie, ja tak nie robię. To znaczy nie uważam oczywiście, że siedmiolatek rozumiałby parlamentarną debatę budżetową. Zresztą kto by rozumiał? Słuchałaś kiedyś Barnjournalen, tych dziecięcych wiadomości? Według nich trzeba mówić głośno i powoli, żeby dzieci rozumiały. I tyle, reszta tak samo. Coś w stylu „P-R-O-P-O-Z-Y-C-J-A B-UUU-D-Ź-E-T-OOO-W-A”. – Anna odchrząknęła. – Wracając do tematu. Myślę, że dziecko, które – mówię czysto hipotetycznie – dorastało z rodzicami

alkoholikami, nauczyło się samodzielności. Sądzę, że ten chłopiec nauczył się manipulować, kłamać, robić wszystko, by przetrwać. Podejrzewam też, że nauczył się bić. Choć to akurat inny temat.

Sophia pokiwała głową.

– On jest małomówny.

– Mówił coś o śmierci taty?

– Nie mnie. Według prokuratora chłopiec powiedział, że chciał pomóc mamie, być może też się zemścić. Sama nie wiem, on jest taki mały. Nie pojmuję tego... Teraz najbardziej martwię się, że policja umorzy dochodzenie w sprawie znęcania się nad chłopcem. W sprawie przemocy, która skłoniła pomoc społeczną do przejęcia opieki. Jeśli faktycznie je umorzą, to znaczy, że nie mają wątpliwości, że to ojciec go bił. I że chłopiec absolutnie może mieszkać z matką.

– No tak. Czy jednak te dwie sprawy, zabójstwa i przemocy domowej, nie wiążą się ze sobą? Nie wiem, czy powinnam się wypowiadać, bo to nie mój interes, ale w gazetach pisali, że ojciec chciał się rzucić na matkę, że wcześniej bił ją i dziecko... więc jeśli chłopiec jest wystarczająco silny, to wydaje mi się oczywiste, że chciał obronić mamę. I siebie. Czy było po prostu tak, że ojciec uderzył matkę, a chłopiec dźgnął go nożem, żeby przestał bić? Mniej więcej tak to opisywali w gazetach. A w takim układzie chyba dobrze, że chłopiec może być z mamą.

– Hm, sama nie wiem. – Sophia poczuła zmęczenie. – On prawie nic nie mówi, a jak już coś powie, to same dziwactwa.

– Porozmawiaj z nim jak z każdym innym klientem. – Anna z niepokojem popatrzyła na Sophię. – Może przykładasz zbyt dużą wagę do tego, że jest dzieckiem. Bycie dzieckiem to żadna choroba. Porozmawiaj z nim jak z kimś, kto nigdy nie studiował prawa. Wtedy najbardziej zbliżysz się do sposobu rozumowania dziecka.

– Nie podoba mi się jego matka. – Sophia przestała słuchać. Głos Anny pobrzmiwał jakby w tle. – Wiem, że to nie wystarczy, żeby go jej odebrać, ale to silniejsze ode mnie... Po prostu mi się nie podoba.

Chyba jednak muszę porozmawiać z dziadkiem, pomyślała

potem. O Lindzie i jej trudnym dzieciństwie. O tej strasznej historii.

Kto wie? Może to, że była taka biedna, ma jakieś znaczenie?

36

– MUSZĘ CIĘ ZAPYTAĆ o kilka rzeczy. O wychowanie dzieci i tym podobne.

– Jasne. – Właśnie zasiedli na kanapie w salonie. Dziadek zajrzał do miski ze słodyczami. – Spodziewasz się dziecka czy chodzi o któregoś z twoich klientów?

Sophia się skrzywiła.

– Nie wygłupiaj się. A jak ci się wydaje? Chcę porozmawiać o moim kliencie. Czytałeś o nim w gazecie. Jego mama miała trudne dzieciństwo. Przemoc, trauma, do wyboru, do koloru. Najgorsze dzieciństwo, jakie można sobie wyobrazić. Próbuję dociec, czy ta kobieta nadaje się na matkę. I czy chłopiec jest zabójcą. Mnóstwo niejasności i mało konkretnych pytań, coś w sam raz dla profesora psychologii.

Dziadek zachichotał zadowolony.

– Aha! Wpływ dzieciństwa na zachowanie w życiu dorosłym. Jak ważne jest to, czy wychowuje nas dobra matka? Wspaniale. Tak się nakręciłem, że nie wiem, od czego zacząć. – Sięgnął po kawałek czekolady. – Może od początku? Słyszałaś kiedyś o rezusach Harlowa?

– To te małpki, które dorastały z drucianymi instalacjami zamiast prawdziwych mam?

– Otóż to. Zanim zacznę, muszę jeszcze zaznaczyć, że to absolutnie nie ma nic wspólnego z tobą, Sophia. Ty myślisz, że wszystko odnosi się do ciebie, ale nie, nie tak. Może i zawiodłaś się na mamie, ale otaczało cię wielu odpowiedzialnych i kochających ludzi, którzy dołożyli starań, abyś wyrosła na tak wspaniałą osobę, jaką jesteś. Rozumiesz?

– Tak, dziadku. – Sophia się uśmiechnęła. – Wiem przecież. Nie musisz się niepokoić.

– Świetnie, chciałem tylko, żebyśmy to sobie najpierw

wyjaśnili. – Rozprostował plecy. – Eksperyment z rezusami Harlowa przeprowadzono w latach pięćdziesiątych, a zaowocował powstaniem znanej do dziś pracy z zakresu psychologii behawioralnej. Harlow zamknął grupę małpiątek w dwóch klatkach. W każdej z nich znajdowały się dwie instalacje, jedna stalowa z butelką mleka, druga powleczone w miękkie futro. Ta miękka w jednej klatce dawała mleko, a w drugiej nie. To, że małe wolały tulić się do miękkiej instalacji niż do stalowej z pokarmem, choć miękka nie dawała mleka, uznano za dowód, że wszystkie młode potrzebują bliskości matki tak samo jak jedzenia.

– Jak dla mnie brzmi to logicznie.

– Rozumiem. Jednak niektórzy nieco w to wątpili. Głównie za sprawą eksperymentu Harlowa padło sporo innych, popularnych wówczas teorii. Takich, które twierdziły, że dzieci powinno wychowywać państwo, bo matka to tylko źródło mleka, wytwór społeczny, zbędny, a w dodatku kontrrewolucyjny. Harlowowi udało się jednak poprzeć swoją tezę. Zapewne wszystkie te młode zwariowały, bo w końcu stal powleczone w futro nie zastąpi matki, mimo wszystko zawsze wybierały tę miękką instalację. – Dziadek wziął kolejny kawałek czekolady. – Jednak dalsza część jego eksperymentu okazała się jeszcze ciekawsza. Kiedy te osieroczone rezusy dorosły, Harlow przywiązał samiczki, aby samce mogły je zapłodnić, a one zostały mamami.

– A to przyjemniaczek.

– Owszem. – Dziadek się zaśmiał, humor wciąż mu dopisywał. – Mówi się, że Harlow zaczął spisywać pamiętniki, ale przed śmiercią spalił pierwszy rozdział o własnej matce, która najwidoczniej była właśnie taką drucianą instalacją. Sam miał problemy z relacjami rodzinnymi, więc stanowił potwierdzenie własnej teorii. – Dziadek odchrząknął. – Ale pewnie to nie o nim chciałaś porozmawiać. Najciekawsza była możliwość zaobserwowania, jak te mały same radzą sobie z macierzyństwem.

– A radziły sobie?

– Chyba cię nie zaskoczę, mówiąc, że nie. W ogóle. Nie miały

pojęcia, jak się zachować. A więc jeśli ktoś nie miał matki, to nie wie, na czym to polega. Wiele małą próbowało zjeść swoje potomstwo, wkładały sobie do pyska stopy i palce młodych. Kilka z nich pobilo małe na śmierć i tym podobne. Jednak większość po prostu ignorowała swoje młode. Jakby dla nich nie istniały. Matki nie miały pojęcia, co niby miałyby z nimi robić, tak więc nie robiły nic.

Na chwilę zapadła cisza. Sophia miała mętlik w głowie.

Najpierw wydawało się jej, że to dobry pomysł, że dziadek pomoże jej zrozumieć. Teraz jednak sama nie wiedziała, co jej przyszło do głowy.

Bo jak to się miało do życia Alexa i Lindy Medner Andersson? Niby co dziadek mógłby jej wytłumaczyć?

– Ale w zasadzie kto jest reżusem w mojej sprawie? – Popatrzyła na niego. – Czy mój klient jest małpiątkiem, czy jego mama jest drucianą instalacją? A może ona sama była małpiątkiem, które zostało matką?

– Możesz zastosować tę teorię w przypadku obojga albo żadnego. O ile w ogóle chcesz bawić się w coś, o czym nie masz pojęcia.

Dziadek pochylił się i sięgnął po pilota. Zmęczył się już. Wykład skończony.

– Ludzie zachowują się tak czy inaczej z tego czy też zupełnie innego powodu. Ty, moja droga, za każdym razem wymyślasz jakieś psychologiczne teoryjki, i to w tempie godnym młodej panny Freud. Zawsze bałaś się tego, czego nie rozumiesz. Fakt jednak pozostaje faktem. Uproszczenia tego typu sprawiają, że psychologów z telewizji uznaje się za geniuszy. Z dużym prawdopodobieństwem zarówno twój klient, jak i jego mama nie są normalni, jak byś pewnie powiedziała. Mimo że nie jest to określenie akceptowane w psychologii. A może też oboje są zdrowsi niż ty czy ja razem wzięci, cokolwiek by to znaczyło. Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, jak wygląda ta sprawa. I jeśli pytasz mnie, choć sama masz już gotową odpowiedź, wtedy na pewno nie pomoże ci to rozwiązać problemu, który według mnie masz. Wiele dzieci, nad którymi znęcano się w dzieciństwie, zostaje wspaniałymi rodzicami. Porozmawiaj

lepiej z policją i daj mi w spokoju obejrzeć telewizję. Chyba nie bawisz się w pannę Marple? To naprawdę kiepski pomysł, ktoś taki jak ty nie mógłby rozwiązać sprawy zbrodni. Przecież każdy może mieć motyw, by zabić osobę, którą kocha. Albo której nienawidzi czy też o którą nie może się już troszczyć.

Dziadek włączył telewizor i podgłośnił.

– Jeśli zastanawiasz się, kto zabił ojca twojego klienta, to proponuję ci zapytać policję, co oni o tym sądzą. Jeśli natomiast martwisz się, że twojemu klientowi grozi niebezpieczeństwo, jeśli zostanie z mamą, to zwróć się do pomocy społecznej i ich psychologów, którzy mieli kontakt z tą rodziną. Oni wszyscy na pewno są bardziej zorientowani niż emerytowany profesor psychologii, który nie spotkał nikogo z zainteresowanych, oraz pani adwokat, która nienawidzi swojej mamy i ma przez to wyrzuty sumienia.

Sophia została u dziadka. Patrzyła w telewizor, a dziadek przeskakiwał z kanału na kanał. Mylił się, wcale nie nienawidziła mamy.

Mamy, która była za młoda na to, by zostać matką, ale i tak nią została.

Problem tkwił tylko w tym, że Sophia nie umiała zrozumieć matki.

Po urodzeniu Sophia ważyła cztery kilo i dwieście gramów. Dużo. W niektórych krajach wręcz absurdalnie dużo. Jednak dziadek uznał, że nie ma się czym emocjonować. Spodziewał się, że Sophia będzie duża. W końcu jej mama, kiedy się urodziła, ważyła o kilkaset gramów więcej. Dziadek uwielbiał też historię o jakiejś kuzynce, która przychodząc na ten świat, rozłupała matce miednicę z taką łatwością, jakby chodziło o suchą gałąź.

Sophia niczego mamie nie złamała. Ochrzczono ją w dziedzicznym z pokolenia na pokolenie ubranku, które babcia pozszywała i wyprasowała. Imię też wybrała babcia. Pochodziło z greki i oznaczało mądrość. Podczas kazania szesnastoletnia mama Sophii przechyliła głowę na bok, widać to było na wszystkich zdjęciach. Wyglądała, jakby próbowała się wsłuchać, ale po prostu wydawało się jej, że uroczo wygląda w

takiej pozycji. I faktycznie wyglądała, jak zawsze zresztą. Na chrzest umalowała oczy niebieskim cieniem i założyła pasek w talii, nikt nie mógł jej przecież zabronić. Wtedy już było za późno na jakiegokolwiek zakazy.

To dziadek podawał ją do chrztu, a babcia podgrzewała butelki z mlekiem, całowała tłusciutkie uda z dołeczkami i pilnowała, żeby śpiąca na brzuchu Sophia się nie udusiła.

Jej mama była w zasadzie nieobecna. Uczyła się w Sztokholmie, a kiedy już zdobyła wykształcenie, poszła do pracy. W Sztokholmie było metro i każdego wieczoru można było gdzieś iść potańczyć.

Kiedyś zamieszkaś tam z mamą, mawiali dziadek i babcia, gdy Sophia była malutka i jej mama przyjeżdżała do domu na weekendy. A przyjeżdżała niechętnie, ubrana w krótkie spodnie za kolano, z ogolonymi łydkami i pustym wzrokiem.

Jeśli Sophia poszła spać przed jej przyjazdem, matka przystawała w drzwiach pokoju, który kiedyś należał do niej, i patrzyła na córkę i jej nóżkę zwieszoną z łóżka. Nigdy jej jednak nie budziła.

– Niech sobie śpi – mówiła i wracała do kuchni, nie podszedłszy nawet, żeby otrzeć pot z czoła Sophii. A Sophia tylko udawała, że śpi.

W niedzielę wieczorem, przed powrotem do Sztokholmu, mama stała w innych drzwiach i mówiła: – To na razie, malutka, niedługo się zobaczymy.

Sophia do dziś pamiętała, jak na siebie patrzyły. Mama widziała, że ona widzi, że mama widzi, że Sophia wie. W każdym spojrzeniu kryły się kolejne odsłony, jak w matryoszce. Matryoszce, która skrzypiała, jakby miauczała, kiedy się ją otwierało. Obie wiedziały. Mama jej nie chciała, nigdy.

Teraz Sophia widywała mamę kilka razy w roku, ale nigdy za nią nie tęskniła. Mimo wszystko nie miała nieszczęśliwego dzieciństwa. Więc to nieprawda, że nienawidziła matki. Jak by mogła? Nawet jej nie znała.

W pozostałych kwestiach dziadek miał jak zwykle rację.

Niedorzeczny pomysł, by mogła dociec, czy jej klient dźgnął nożem Christera Anderssona. Policja na pewno ustaliła fakty.

Może mieli ślady techniczne. Być może wszystko skończy się dokładnie tak, jak od początku sądziła. Jak pozostałe sprawy, które utwierdzały ją w przekonaniu, że system jest ważniejszy niż jednostka. Wymiar sprawiedliwości bez wątpienia zyska coś na tym, że Alex będzie musiał żyć z piętnem zabójcy. W tym zaś, że będzie musiał mieszkać z mamą, chociaż wcale nie miał na to ochoty, kryje się chyba jakaś większa wartość. Muszę pamiętać, żeby przy najbliższym spotkaniu pogratulować wymiarowi sprawiedliwości kolejnego niebywałego zwycięstwa.

Później Sophia jednak ochłonęła. W końcu prawo było dla niej jedynym łatwym do zrozumienia zestawem wartości. Nie zamierzała zmieniać swojego stosunku do prawa. W każdym razie nie z powodu wyrzutów sumienia, które ją nękały, bo własna matka poskąpiła jej miłości.

Włączyłam telewizję. Mówili o zlu. Kto właściwie jest zły? Czy wszyscy ludzie są źli? Czy dobry człowiek może robić złe rzeczy, a zły dobre? Bla bla bla.

Jezu, co za bzdury. Wypowiadał się jakiś mały grubasek. Lekarz. Powiedział, że nie możemy zapominać, że zło znajduje się wszędzie i wszyscy mamy je w sobie. Można dopuścić się złego czynu, nie będąc złym. Bo zło zawsze wiąże się z czynem, nie z człowiekiem.

Wiadomo przecież, że tak tylko gadał, aby widzowie uznali go za najwspanialszego faceta na świecie. Zaprzeczenie tych drani, co to chodzą po mieście i gwałcą dzieci.

Tak musi być: doktor siedzi na niewielkiej twardej kanapie, świeżo wymalowany do telewizji, z puszystymi włosami i mówi, że w każdym jest zło. Wtedy widzowie powinni załapać, że facet mówi tak tylko dlatego, że jest dobry.

Żaden zły człowiek nie przyznałby się w ogóle do tego, że jest zły. Bo to w sumie przypadek, nie wiadomo kto, kiedy już dorośnie, zagazuje osiem milionów Żydów.

Choć tego doktor nie powiedział wprost. Jakoś nikt nie ma wątpliwości, że to przypadek. To osobna historia, coś takiego nie tkwi w nas. Tkwiło tylko w Hitlerze i kilku innych oraz wszystkich tych potworach, które albo powinny umrzeć, albo

trafić do zakładu psychiatrycznego.

Ja wcale nie uważam, że Hitler był wariatem. Jakim cudem udałooby mu się stanąć na czele państwa, gdyby, dajmy na to, słyszał głosy albo gdyby wydawało mu się, że jest dwiema osobami jednocześnie?

Gdyby Hitler nie był normalny, miał lęki i nie mógł spać, czy nie byłoby to dowodem na to, że jest dobry, bo się wstydzi?

Zresztą to nieciekawe. Ludzie robią różne rzeczy, ale kogo to obchodzi?

Wszyscy myślą tylko o sobie. Tak to już jest.

Tylko to się liczy.

37

ADAMA DZIELIŁY OD URLOPU dwa dni. Taki był plan.

Jak zwykle próbował przekonać żonę, żeby nie kupowali wakacji all-inclusive, tylko pojechali samochodem na Korsykę. Zatrzymali się gdzieś po drodze, w jakimś małym pensjonacie. Rzucili się w odrobinę zaplanowany wir przygód klasy średniej. Albo odwiedzili rodzinę w Maroku. Mimo że o tej porze roku było tam nieznośnie gorąco i ani on, ani Norah nie mogli wytrzymać z jego matką więcej niż cztery godziny.

Norah się nie zgodziła. Pewnie miała rację, była bardzo rozsądną kobietą.

Jeszcze w listopadzie Adam usadowił się na kanapie i przejrzał katalog wyjęty ze skrzynki na listy. Po tygodniowej kłótni, którą przegrał, zarezerwowali wycieczkę do Chorwacji. Norah wybrała bezpieczną, przyjazną dla dzieci ofertę dwutygodniowych wczasów nad błękitnym basenem w dwugwiazdkowym hotelu z pełnym wyżywieniem i niewygodnymi łózkami.

Miała jechać cała rodzina. Dzieci nie posiadały się z radości, bo był tam też klub, w którym można było pić napoje bez ograniczeń.

Adam wiedział, jak będzie, bo zawsze było podobnie. Przez

pierwsze dni siedział przy ostatnim stoliku w sali restauracyjnej i nie rozmawiał z innymi gośćmi. Nocami zaś wiercił się w łóżku, narzekając na wszystko. Począwszy od pościeli po niezbyt smaczne hotelowe śniadania z wyschniętą marmoladą i czekoladowymi babeczkami w aluminiowych foremkach.

Po kilku dniach dyskomfort zniknął. Norah miała rację – najlepsze jedzenie to takie, którego nie trzeba robić samemu. Nie trzeba było zabawiać dzieci przez calutki dzień, więc on i Norah mniej się denerwowali – na nie i na siebie nawzajem.

Norah będzie mogła dłużej pospać rano, on pobiega po plaży. Tak wcześnie, że napotka tylko nastolatki wracające bez butów z pubów. On i Norah będą mogli godzinami leżeć i słuchać szumu morza, a dzieci będą się bawić z nowymi kolegami. Ten dołeczek za uchem Norah będzie pachnieć słońcem i słoną wodą.

Adam Sahla marzył o wakacjach z rodziną. Jego śledztwo utknęło jednak w martwym punkcie. Będzie je musiał zostawić.

On i jego koledzy przesłuchali Lindę Medner Andersson. Raz po raz opowiadała tę samą historyjkę. On pił, ona przygotowywała jedzenie, zaczęli się bić, ona się broniła. Alex się wystraszył, stanął Christerowi na drodze, zaczęła się kłótnia, Christer upadł. Linda zauważyła, że Alex wziął nóż, którym ona przed chwilą się broniła, ale była za daleko, żeby go powstrzymać przed wbiciem go ojcu w plecy. Zaczęła krzyczeć, Alex się rozplakał. Linda zadzwoniła po karetkę, próbowała uspokoić syna. Alex wyciągnął nóż z rany i przyłożył do niej poduszkę. Linda zwymiotowała. Alex zaczął się trząść, nie chciał się ruszyć z miejsca.

Przyjechała policja, potem karetka. Zabrali Christera do szpitala. Dziecko zawieźli do poradni rodzinnej w Sachsska.

Wielokrotne przesłuchiwanie Alexa nie miało sensu.

Chłopiec tego nie wytrzymał.

Adam wiedział, że kiedy zacznie się urlop, będzie musiał o tym zapomnieć. W przeciwnym razie Norah się wścieknie.

Ktoś z Ośrodka Pomocy Rodzinie poinformował, że Alex czuje się coraz gorzej, coraz mniej mówi i właściwie codziennie

wdaje się w bójki. Rozmowy z psychologami nic nie dały. Chłopiec nie ufał dorosłym i protestował za każdym razem, gdy musiał zostawić mamę samą.

W takiej sytuacji kolejne przesłuchanie wydawało się bezcelowe, jednak Adam nie miał wyjścia.

Alexa znów przewieziono do placówki policyjnej w Norrort. Sophia zabrała go z ośrodka razem z Lisą Zeiger. Mały poszedł z nimi, nie sprawiając większych problemów.

Wydawał się spokojny, przez całą drogę wyglądał przez okno.

Pracownicy placówki jeszcze tego samego dnia rano poszli do sklepu, kupili między innymi ulubiony napój Alexa oraz nadziewaną czekoladę. Alex wszedł do kuchni razem z kierowniczką, Kattis, i mógł sam wybrać sobie szklankę. Wybrał podobną do tej, jaką miał Adam – Sophię aż zakłuło w żołądku.

Może mimo wszystko Alex podziwiał trochę Adama? To byłby dobry znak.

Prokurator Marie Olsson zjawiała się dziesięć minut po wszystkich. Poproszono ją, żeby zostawiła w holu buty na dwunastocentymetrowym obcasie. Weszła do pokoju, nawet nie witając się z Alexem.

Adam i Alex wzięli picie do pokoju przesłuchań.

Przez sześć minut chłopiec kuczał na fotelu, kiwając się w przód i w tył. Trzymał szklankę oburącz i patrzył w kamerę, prosto w obiektyw. Sophia siedziała w sąsiednim pokoju i niemal bała się mrugnąć.

Adam był lekko pochylony do przodu i szeptał.

Nikt wcześniej nie widział Alexa w takim stanie. To nie oznaczało nic dobrego. Wszyscy to wyczuwali.

Lisa Zeiger wstała i kilka razy pokręciła głową.

– Musimy przerwać – wymamrotała, ale było za późno.

Alex się załamał. Po prostu. Przeżył załamanie. Nikt nie zdążył zobaczyć, jak do tego doszło, ale nagranie pokazało, że zaczęło się, kiedy Adam położył Alexowi rękę na ramieniu. Chłopiec podskoczył i go odepchnął. Szklanka się stłukła, a czerwony napój zmieszał się z krwią płynącą z rany na rękę.

Chłopiec krzyczał tak donośnie, że trzeszczały głośniki

zawieszony w sąsiednim pokoju.

– Mój tata zaraz po mnie przyjdzie. Nienawidzę was. Tata was pozabija, kiedy was tu zobaczy, bo was nie cierpi, a zaraz tu przyjdzie. Tata zaraz przyjdzie, zobaczycie...

Krzycząc jak opętany, zsunął się na podłogę. Trząśnięcie, dłonie i ręce mu drżały, głowa i ramiona podrygiwały mimowolnie. Oddech miał świszczący. Z ręki ciekła mu krew. Nikt nie odważył się ruszyć.

Adam jednym ruchem zdjął Alexowi T-shirt i owinał go wokół rany. Potem przytulił chłopca. Usiadł na podłodze, mocno objął ramionami drobne ciało. Dreszcze powoli ustępowały.

Alex był zwrócony nagimi plecami do kamery, która wyraźnie ukazywała jego skórę.

Całe plecy były pokryte bliznami. Wszędzie. Blizny przypominały ślady cieniutkich nóżek insektów albo myszy odcisnięte na dziewiczym śniegu. Małe nacięcia, a do tego zdecydowanie większe, okrągłe i podłużne, głębsze.

Chłopca bito po całym ciele. Przez wiele lat, na różne sposoby. Ciało Alexa Anderssona stanowiło dowód nieudolności systemu opieki. Pomoc społeczna, policja, psychologowie dziecięcy, jego nauczycielka i adwokat. Wszyscy ponieśli porażkę.

Zapadła cisza. Wszyscy patrzyli. Adam wstał i zaniósł chłopca do samochodu wynajętego przez Sophię.

Lisa usiadła na miejscu pasażera i zadzwoniła do szpitala, podczas gdy Sophia próbowała wyminąć natłok robót drogowych w centrum Sollentuny. Wydawało się, że wszystkie ulice rozkopane, chyba wymieniano całą nawierzchnię. Wszędzie było pełno robotników, koparek i traktorów. Pachniało smołą i spalinami.

Sophia zaciskała ręce na kierownicy, żeby przestały drżeć. Co chwila uderzała się pięścią w udo. Dokuczały jej skurcze. Lisa odsunęła telefon od ucha i kazała Sophii jechać do Szpitala Dziecięcego imienia Astrid Lindgren. Szpital Danderys nie przyjmował dzieci z poważnymi obrażeniami.

Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Alex dostał zastrzyk

i założono mu cztery szwy, prokurator Marie Olsson zdecydowała o umorzeniu śledztwa w sprawie zabójstwa Christera Anderssona.

Kiedy trzy godziny później Adam Sahla wrócił do pracy i włączył komputer, decyzja w wersji elektronicznej już na niego czekała.

Śledztwo umorzone.

To koniec. Nie można było nic więcej zrobić.

38

ISTNY CUD, że się nie pobili. Jediną osobą, która nadal siedziała spokojnie przy stole konferencyjnym, była Lisa Zeiger. Oparła łokcie o blat i chwyciła się za głowę, jakby się bała, że eksploduje.

– Sophia, proszę się natychmiast uspokoić.

Lisa poszarzała na twarzy i z rezygnacją popatrzyła na Sophię, która stała przed nią, trzymając w ręku resztki ciastka. Od trzeciego, katastrofального przesłuchania Alexa minął dzień. Postanowili zwołać naradę i porozmawiać o tym, co należało zrobić po umorzeniu śledztwa przez prokuraturę.

– Niby dlaczego? To cholernie ważna sprawa, a szlag mnie trafia, bo chyba jestem jedyną osobą, która przejmuje się tym chłopcem! Może będziesz tak miła i wyjaśnisz mi, dlaczego nie...

Adam Sahla podszedł do Sophii i wymierzył w nią palec wskazujący.

– Cicho! Raczy się pani zamknąć? Mam już dość. Najwyższy czas, aby pani zrozumiała, że nie tylko pani chce dobrze dla Alexa. Wszyscy chcemy mu pomóc. – Zatoczył ręką dokoła. – Nikt z nas nie śpi po nocach, bo wszyscy chcemy, żeby chłopiec zyskał choćby najmniejszą szansę na lepsze życie. Nawet ta pani... – Skinął w stronę stojącej nieco dalej Marie Olsson. Ona też pobladła. – ...z którą klóciłem się przez ostatnią dobę, ponieważ uważam, że decyzja o umorzeniu jest błędem. Jednak, jak rozumiem, pani prokurator też chce dobrze dla

chłopca.

– No to dlaczego nic nie robicie?

Adam westchnął i odwrócił się. Kręcił ciągle głową, kiedy Marie Olsson zaczęła mówić. Głos miała inny niż zazwyczaj. Sophia zastanawiała się, czy faktycznie jest tak wykończona, jak wyglądała.

– Musicie zrozumieć, gdzie przebiega granica. Musicie... jeśli o mnie chodzi, to sprawa jest skończona. Dalej nie zajdziemy z tym śledztwem. Mimo najszczerzych chęci więcej nie zrobicie. Wiecie doskonale, z czym mamy do czynienia. Alex powiedział, że zabił ojca, aby ratować mamę. Biorąc pod uwagę okoliczności, taki scenariusz wydaje się bardzo prawdopodobny.

– Alex wcale tak nie powiedział. – Na policzkach Adama pojawiły się czerwone plamy. – Dokładnie rzecz biorąc, powiedział: „Pomogę mamie, mama potrzebuje pomocy, a ja pomagam mamie”. Nigdy nie słyszałem, żeby stwierdził, że zabił ojca. Nikt nie słyszał, nawet policjant, który przyjął zgłoszenie.

– Cóż, ja uważam, że chłopiec wyraził się jasno. Poza tym nie jest wcale oczywiste, że on rozumie, co się stało. Ci z poradni psychologicznej twierdzą, że nie jest wykluczone, iż Alex niezbyt dobrze pamięta tamten moment. Nie rozumie do końca. Nie możemy wykluczyć, że chłopiec nie pamięta, co zrobił. Słyszeliśmy przecież, on wierzy, że tata przyjedzie i go zabierze. Trzeba mu pomóc i wyjaśnić tę sprawę, ale nie pomożemy mu, z uporem brnąć w śledztwo, które i tak nie doprowadzi do procesu.

– Zgoda, rozumiem, co chce pani powiedzieć. Jednak niczego na razie nie wyjaśniliśmy. Nie mamy jasności, co się wydarzyło. Proszę dać nam trochę czasu. Wbrew powszechnej opinii nic nie wskazuje na to, że to ojciec znęcał się nad bliskimi.

– Jasne, mimo wcześniejszych wyroków i policyjnych kartotek. – Marie zaczynała się irytować. – Zresztą dochodzenie w tej sprawie trwa, czyż nie?

– Ależ... – odparł Adam i zamilkł.

Marie podniosła głos:

– Jeśli uważa pan, że zaniechaliśmy czegoś, co powinniśmy zrobić... – Sięgnęła po bloczek żółtych kartek, napisała coś na jednej i podała Adamowi. – ...to proponuję skontaktować się z kolegami z wydziału kryminalnego. Wie pan równie dobrze jak ja, że nie mam żadnych podstaw, by wszcząć dochodzenie przeciwko matce. Obie osoby, które były na miejscu zbrodni, twierdzą, że to Alex trzymał nóż. Nadal miał go w rękę, kiedy policja dotarła na miejsce. Moim obowiązkiem jest skupić się na stawianiu przed sądem osób, które według mnie są winne zbrodni i które da się skazać. A nie sądzę, żeby w tym przypadku matka była winna. Nawet gdybym tak sądziła, nigdy nie udałoby się doprowadzić do skazania. Syn musiałby ją wskazać, a i wówczas sprawa byłaby trudna, zważywszy na to, co powiedział na miejscu przestępstwa. Linda nie potrzebowałaby nawet szczególnie rozcigniętego adwokata, żeby obalić zarzuty. Jeśli więc chce pan kontynuować ten wątek, to radzę się skontaktować z pomocą społeczną. – Marie odwróciła się do Lisy Zeiger, która nadal siedziała z głową wspartą na rękach. – Oni jeszcze nie zakończyli postępowania wyjaśniającego w sprawie przejęcia opieki. Jak zrozumiałam, pomoc społeczna przygotowała bardzo ambitny plan, który ma pomóc Alexowi i jego matce w powrocie do normalnego życia. Otrzymują wszelką możliwą pomoc. Jeśli nie zgadza się pan z ich propozycjami, proszę zgłosić to w ramach postępowania wyjaśniającego.

– Uważam, że to zły pomysł, aby Alex mieszkał z matką.

Adam wyglądał na wykończonego. Sophia pokiwała głową.

– Ja też.

– Jak już mówiłam, nie będę się do tego ustosunkowywać. To nie moja sprawa. Proponuję, kolejny raz, żeby porozmawiać z pomocą społeczną. Oni, mam nadzieję, nie zgodzą się z panem. Nie zechcą odebrać matce Alexa tylko dlatego, że nie da się wykluczyć jej winy w sprawie zabójstwa. Nie odbiera się dzieci rodzicom na podstawie podejrzeń.

– Owszem, odbiera się – powiedziała cicho Lisa Zeiger. – Właściwie cały czas tak robimy. Na więcej nie mamy odwagi. W przypadku Lindy Medner jest wiele niejasności. To wrak

człowieka. Zawsze zajmowały się nią różne instytucje. Co jednak mam zrobić? Ciągnąć sprawę? Tylko dlatego, że mam przeczucie? Dlatego, że na swój sposób jest nieprzyjemna? Że manipuluje? Nie mamy wystarczających podstaw, żeby odebrać jej chłopca. On sam nic nie powiedział. To znaczy niewiele. Powiedział, a jego zeznanie zgadza się z zeznaniem matki, że to on zabił ojca, a to nie uzasadnia przejęcia opieki. Zresztą ta sprawa jeszcze się toczy. Tylko dlatego mogę spać po nocach. Nadal prowadzimy postępowanie w sprawie Alexa Anderssona. Poza tym mieszka w ośrodku, który sprawuje nad nim nadzór. Dla nas to najlepszy sposób, żeby przyjrzeć się jemu i matce, nie rozdzielając ich. Pracownicy ośrodka niepokoją się, i to nie tylko o Alexa. O Lindę również. Nie możemy o niej zapominać, ta kobieta żyje w coraz większym stresie. Personel ośrodka martwi się o nią. Co jest w pełni zrozumiałe, bo bez względu na to, co się stało, Lindzie nie jest łatwo.

– Ją akurat mam gdzieś – powiedział Adam niemal szeptem.

– Ja też. – Sophia czuła, że chrypnie.

– No cóż, żegnam państwa. – Marie Olsson odwróciła się do Adama i wyciągnęła dłoń. – Słyszysz pan? Żegnam. Pana zadanie już dobiegło końca, proszę odpuścić. Wybiera się pan na urlop, a jeśli chce pan mieć pracę, do której będzie pan mógł wrócić, też radzę się pożegnać. Chyba wyrażam się jasno?

Adam popatrzył na Marie, zignorował jej wyciągniętą dłoń i obrócił się na pięcie. Wyszedł, nie zamykając za sobą drzwi.

Sophia w myślach policzyła do dziesięciu. Czekwała, aż jej tętno się uspokoi. Marie Olsson skinęła głową jej i Lisie Zeiger, po czym też wyszła. Kierowniczką placówki pogłaskała Lisę po ramieniu i również opuściła pokój. Lisa i Sophia zostały same. Sophia wyciągnęła rękę i chwyciła dłoń Lisy.

– Przepraszam.

– Obiecuję – odparła Lisa. – Obiecuję ci, że zrobię wszystko, co w mojej mocy.

Sophia pokiwała głową.

– Wiem, że zrobisz. Ja... po prostu przepraszam, Lisa. Przepraszam.

WIZYTA U ADWOKATA Larsa Gustafssona bez wcześniejszego umówienia wiązała się z pewnym ryzykiem. Wszyscy od dawna wiedzieli, że Lars puszcza baki w swoim gabinecie. Sophia była jednak zdesperowana. Czowała, że musi znaleźć jakieś rozwiązanie, że w sprawie Alexa Anderssona coś jeszcze da się zrobić.

Po zebraniu wróciła do kancelarii i poszła prosto do Larsa. Nawet nie zapukała do drzwi.

Lars rozmawiał ze studentką prawa, która zaliczała u nich letnie praktyki i gorączkowo wszystko notowała. Wszędzie zabierała notes. Kilka dni wcześniej Anna-Maria powiedziała Sophii, żeby w toalecie zachowywała się jak najciszej.

– Ona na pewno podsłuchuje, jak robisz siku. Zapisuje całą linijkę małymi „s”.

Studentka miała na imię Klara, a jej praktyka trwała dziesięć tygodni. Była umowa podpisana z Uniwersytetem Sztokholmskim. Lars Gustaffson twierdził, że dziewczyna jest niezwykle uzdolniona. Klara opowiedziała Sophii o swojej pracy dyplomowej, która dotyczyła analizy wyroków za stosowanie przemocy z perspektywy gender studies. Miała kwiatek wytatuowany na obojczyku, pstrokatą koszulę i po dwadzieścia kolczyków w każdym uchu. Przy niej Sophia czuła się jak emerytka.

– Wejdz! – Lars siedział rozparty w fotelu. Klara siedziała po drugiej stronie biurka. Sophia nie mogła powstrzymać uśmiechu, gdy zobaczyła, że ich młoda współpracownica jak zwykle ma notes. Otwarty w dodatku, dziewczyna trzymała długopis w gotowości kilka centymetrów nad kartką.

Lars pokiwał głową i coś wymamrotał. Wyglądał, jakby miał niesamowitą ochotę na papierosa.

– Uważam, że to matka mojego klienta zabiła jego ojca. Prokurator ma inne zdanie, ja jednak chcę, żeby to sprawdzono. To jedyny sposób, by oczyścić mojego klienta z zarzutów. Co więcej, jeśli się tego nie wyjaśni, pomoc społeczna

może podjąć złą decyzję w kwestii opieki nad dzieckiem. Co byś powiedział, gdybym wniosła akt oskarżenia jako oskarżyciel subsydiarny?

Lars zwlekał z odpowiedzią, najpierw popatrzył na Klarę. Zaczął mówić tym swoim szczególnym głosem, który Sophia знаła z czasów, gdy sama zaczynała tu pracę. Był to Głos Pedagoga. Kiedy tylko Sophia opanowała podstawy pracy, Lars zamienił go na Głos Autorytetu. Dopiero gdy została współwłaścicielką, dostała łaski poznania Głosu Kolegi.

– Osoba, która padła ofiarą przestępstwa... to znaczy tak zwany pokrzywdzony... lub też ktoś inny, według prawa upoważniony do wniesienia oskarżenia... ktoś z tak zwanym locus standi... może samodzielnie wnieść akt oskarżenia przeciwko komuś, jeśli prokurator nie decyduje się podjąć tego kroku.

Klara ściągnęła usta w różowy dzióbek.

– Wiem – odparła cicho. Widocznie myśl, że według Larsa nie zna tak podstawowych pojęć, wydała jej się uwłaczająca.

Niewzruszony Lars odwrócił się do Sophii.

– Zatem uważasz, że masz prawo wnieść akt oskarżenia za swojego klienta, ale on też ma do tego prawo w tym przypadku?

– Tak. – Sophia zmarszczyła czoło. – Cóż, jeśli matka Alexa zabiła ojca, to nawet jeśli Alex nie jest osobą bezpośrednio pokrzywdzoną, ma przecież prawo do odszkodowania... – Sophia myślała gorączkowo i mówiła jednocześnie. Nie zdążyła jeszcze przeanalizować tego pomysłu. – Rodzice Johana Asplunda⁸ mogli przecież wnieść akt oskarżenia, więc Alex chyba też może? No i mogłabym dorzucić coś o tym, że matka mogła go molestować psychicznie, nakłaniając go do wzięcia winy na siebie.

Klara popatrzyła na Sophię. Usta nadal miała ściągnięte w dzióbek. Przestała notować.

– Głównym celem tego oskarżenia, przynajmniej na

⁸ Zaginiony jedenastolatek uznany za jedną z ofiar znanego szwedzkiego seryjnego zabójcy Thomasa Quicka, później uniewinnionego, przynajmniej w przypadku niektórych zbrodni.

początku, nie byłoby uzyskanie satysfakcjonującego wyroku. Nawet jeśli sąd mnie wyrzuci, mogę wysłać kopię akt do prasy i dopilnować, żeby opisano sprawę ze szczegółami. Jeśli media nadal będą zainteresowane i wreszcie zorientują się, kim naprawdę jest matka Alexa, zyskam większą pewność, że pomoc społeczna sobie nie odpuści, że...

Sophia poczuła, że głos ją zawodzi i opuszczają siły. Co za głupi pomysł!

– Hm. – Lars zrobił półobrót w fotelu.

Przez chwilę wyglądał przez okno. Zawsze tak robił, kiedy się zastanawiał. Klara w pełnej gotowości trzymała długopis, na wypadek gdyby przemówił. Gdyby powiedział cokolwiek. Po dłuższej chwili odwrócił się z powrotem do Sophii. Popatrzyli na siebie.

– Według ciebie prokuratura rzeczywiście powinna wnieść akt oskarżenia przeciwko matce? I czy faktycznie istnieją dowody, które zignorowała? I dasz radę udowodnić to, czego według ciebie dopuściła się matka?

Sophia pokręciła głową. Nie mogła mówić, ścisnęła ją w gardle.

– No i zostaje kwestia uprawnień. Pomijając kwestie formalne, czy twój klient rzeczywiście tego chce?

– Nie, nie sądzę, ale on jest taki mały. Nie wie...

– W takim razie proponuję, żebyś pozwoliła, aby ta straszna sprawa trafiła do archiwum, i zajęła się czymś innym.

Sophia pokiwała głową. Nie mogła już dłużej powstrzymać płaczu.

Lars wstał i wyprosił Klarę. Zaskoczona dziewczyna wyszła z pokoju. Kiedy już drzwi zamknęły się za nią i jej notesem, podszedł do Sophii.

– Moja droga. – Chwycił ją za rękę. – Rozumiem, że trudno ci odpuścić tę sprawę. Sama jednak wiesz... zrobiłaś wszystko, co mogłaś. Chłopiec nie jest pozostawiony sam sobie. Nadal badają jego przypadek. Zamiast eksperymentować z dziwnymi zagraniami sądowymi, lepiej nękać pomoc społeczną, żeby, rewidując sprawę, podjęli właściwą decyzję. Oskarżenia subsydiarnego nie da się wnieść ot tak sobie. Nie rób sobie

niepotrzebnie wrogów, bo ucierpi na tym twój klient.

Sophia chwyciła chusteczkę, którą podał jej Lars, i wydmuchała nos. Cały czas kiwała głową, a on ją objął i czekał, aż się wypłacze. Potem mówił dalej:

– Jesteśmy adwokatami, moja droga, nie wszczynamy bezsensownych procesów i nie nakręcamy medialnych nagonek, jasne? Nie niszczymy ludzi tylko dlatego, że we własnym mniemaniu jesteśmy lepsi od systemu. Nie wiesz, co zrobiła i czego nie zrobiła mama chłopca, podobnie zresztą policja. Naszym zadaniem jest ukazać klientów od jak najlepszej strony. Jeśli coś wygląda jak iks, nie ma znaczenia, że w istocie jest igrekiem, o ile tylko przekonamy o tym sąd. Zapytaj każdego sędziego, jeśli nie wierzysz. Niektóre sprawy są trudniejsze niż inne, ale trzeba polegać na zasadach i systemie. Nie baw się teraz w eksperymenty. Daj sobie spokój, wyjedź na urlop. Nie zawsze można wygrywać.

Sophia płakała przez godzinę, choć już wyszła z gabinetu Larsa. Uciekła stamtąd jak najszybciej. Nie uszła jednak zbyt daleko. Zamknęła się w swoim gabinecie, wyłączyła komputer i z chusteczką przytkniętą do ust, żeby nie było jej słychać na korytarzu, wyplakała się do końca.

Po godzinie wcale nie poczuła się lepiej. O dziwo, bo przecież po letnich ulewach robi się pogodnie, wiatr cichnie, niebo się przejaśnia, duchota ustępuje. Sophia jednak czuła tylko mdłości.

Może to przez widok nagich pleców Alexa, wszystkich tych blizn. Już je zaleczono, ale nikt się nimi nie przejmował, kiedy wciąż krwawiły. A może to przez milczenie Alexa: gdy czekali w izbie przyjęć, nie pisał ani słówkiem. Potem też nie, nawet kiedy dali mu zastrzyk i zszywali ranę ciemnymi, mocnymi jak struny nićmi.

A może to przez spojrzenie Lindy, które im posłała, kiedy przywiozły go do ośrodka. Jak ona na nich patrzyła. Na wszystkich – na nią, na Adama i Lisę. Na wszystkich z wyjątkiem Alexa. To spojrzenie nie dawało Sophii spokoju, nie wiedziała, co znaczyło. Nie wiedziała, czy Linda nienawidziła ich za to, że Alex zrobił sobie krzywdę, czy też zwyczajnie ich

nienawidziła, Alex zaś nie miał tu nic do rzeczy.

Linda nie przytuliła syna. Może zrobiła to później, gdy oni już odjechali, a może nie miało to większego znaczenia.

Sophia rozłożyła przed sobą akta. Dokumenty pokrywały cały blat: zdjęcia, opinie lekarskie, notki, protokoły z przesłuchań, billingi, jej własne notatki, orzeczenia sądu, kopie artykułów prasowych, papiery z postępowania przygotowawczego, wytyczne poszczególnych instytucji i umowa z Sądu Rejonowego. Sophia przesuwiała dłonią po stercie papierów, od czasu do czasu wyciągała jakąś kartkę, spoglądała na nią, sprawdzała, co jest na drugiej stronie, po czym znów ją odkładała.

Przeczytała już wszystko, i to wielokrotnie. Nie było tam niczego, o czym jeszcze nie wiedziała. Mimo to czuła, że sprawa jeszcze się nie skończyła. Bo jak mogła się skończyć?

40

ALEX JUŻ SPAŁ w pokoju. Kiedy Linda mu ścieliła, ktoś z personelu ośrodka się jej przyglądał. Pewnie żeby sprawdzić, czy robi to jak należy.

Teraz już nikt się na nią nie patrzył. Nikt jej nie filmował, nie przesłuchiwał, nie rozmawiał, nie protokołował, nie resocjalizował, nie nawiązywał nici porozumienia, nie notował, nie analizował, nie radził, nie rozwijał tematu, nie przepracowywał problemów, nie pouczał, nie badał.

Linda była sama, nie licząc Alexa, który leżał w pożyczonej pościeli i ślinił się na płaską poduszkę.

Ośrodek, w którym mieszkali, nie był ośrodkiem zamkniętym. Linda o tym wiedziała. Mogła wychodzić i wracać, kiedy chciała. Tak twierdził personel. Oczywiście kłamali, bo nie mogła robić tego, na co miała ochotę. Nie mogła wychodzić. Nawet kiedy ścieliła, ktoś się na nią gapił ze zmarszczonym czołem. Nie zdziwiłaby się, gdyby w materiałach dochodzeniowych znalazły się notki o tym, jak poprawia albo nie poprawia poduszki Alexa.

Na myśl przyszła jej biało-niebieska plastikowa taśma. Rozwijana z wielometrowej rolki, znak charakterystyczny dla każdego miejsca przestępstwa. Przypomniała sobie mamę i tatę. I Christera. Biały i niebieski, proste, zupełnie jak flagi kibiców piłki nożnej. I jak jej życie. Biało-niebieskie.

Kiedy Alex był mały, też powlekała mu kołdrę i poduszkę w biało-niebieskie poszewki. Bo chłopcy i faceci muszą mieć czystą, biało-niebieską pościel.

Mogli okleić taśmą drzwi do naszego pokoju, pomyślała. Założyć taśmę na krzyż, taką, co furkocze na wietrze. Nie muszą wcale zakładać mi kaftana bezpieczeństwa. Wystarczy, że mam Alexa. On jest ich wymówką. Tyle im wystarczy, żeby kontrolować, co robię, i decydować o mnie. Sprawować nadzór, przyglądać się, czuwać, nagrywać, rozmawiać, resocjalizować. Spotkania, sesje, informacje zwrotne, notatki, analizy. Przesłuchania, konsultacje, rozwój osobisty, przepracowywanie problemów, kształcenie, wyjaśnienia.

Gdyby wsadzili mnie do dwunastometrowej celi z dziurką jak w karmniku zamiast okna, odizolowali od świata i zabrali komórkę, i tak byłabym bardziej wolna. Bo komu potrzebne są gazety i SMS-y? W izolatce przynajmniej jest się samemu.

Zrozumiała to, kiedy Alex wrócił ze szpitala w tym kretyńskim bandażu, a za nim ciągnął się ogon złożony z przedstawicieli połowy szwedzkich instytucji. Wtedy wszystko stało się jasne. Alex wszedł do pokoju, a wszyscy gapili się na nią, czekając, aż ruszy za nim.

Po chwili poszła. Alex siedział w butach, mimo że wszędzie wisały kretyńskie tabliczki „Prosimy zdjąć buty” z dorysowanymi serduszkami, słoneczkami i uśmiechami.

Jasne, że nie zdjął butów, choć powinien. Bo i czemu miałyby zdejmować? I tak tylko ona obrywała za to, że Alex nigdy nie robi tego, co mu kazano. Ona, zawsze ona. To ją winili. Kiedy on zrobił coś nie tak, nikt nie zwracał na to uwagi. Przecież to tylko dziecko, ma prawo. On jest najważniejszy. Wszyscy tak sądzili.

Spróbowała więc zdjąć mu buty, udawała, że chce mu pomóc. W końcu skaleczył się w rękę. Być może nie mógł zdjąć butów

sam, miał szwy i w ogóle. Musi na siebie uważać, żeby go nie bolało, żeby znów się nie skaleczyć.

Ale sznurowadła były sztywne, supły twarde jak kamień, nie dawało się ich rozwiązać. Nie zdjęła mu więc butów. Zresztą i tak się rozbeczał, kiedy weszła do pokoju.

Beeee-eee... Cały personel się na nią gapił. Mia i Fia, Lotta, Svenne i Ronnie i cała reszta, jak im tam. Ciekawe, jak sobie poradzi. No ciekawe, jak jej pójdzie. Uda się jej go uspokoić? Jak to zrobi? Patrzcie, patrzcie.

Alex gryzł knykcie, a z nosa ciekły mu gile. Linda musiała przykleknąć, ale i tak nie dało się rozwiązać sznurowadeł, a wszyscy tylko się gapili. Niby po co tam byli? Mieli ją oceniać jacyś obcy ludzie ze zmarszczkami, wydepilowanymi brwiami, wąskimi ustami?

Gapili się. Bez przerwy. Oceniali ją. Osądzali.

Nie dajesz sobie rady, myśleli. Było to po nich widać. Nie dajesz sobie rady.

Stróżki potu ściekały po plecach. Coś dziwnego działo się z mięśniami serca. Tak dłużej być nie może. Zrozumiała to, kiedy Alex wrócił z bandażem na ręce i w tych butach, których nie dało się zdjąć.

W końcu ściągnęła je bez rozwiązywania. Jedną ręką ścisnęła łydkę, drugą z całych sił chwyciła piętę buta. To nie był dobry pomysł. Nie powinna tak robić. Było widać, że uznali, iż straciła panowanie nad sobą.

Patrzyli. Myśleli. Osądzali.

– Au, mamó – jęknął Alex. – To boli.

Teraz już spał. A ona była sama. Jednak o wpół do ósmej czekało ich wspólne śniadanie. Zresztą wszystko zacznie się na nowo już wcześniej. Trzeba będzie wybrać mu ubranie, umyć zęby i zaścielić te cholerne łóżka.

To ona będzie musiała to zrobić. Jak zawsze. Ścielić, ubierać, pilnować porządku, myśleć o innych. Dopilnować, by Alex o siebie zadbał.

Skąd przyszło jej do głowy, że Alex może jej pomóc? Nie dałby rady, był za słaby.

Linda była ubrana. Na dworze się rozjaśniło, zaczął się już

letni poranek. Okna były otwarte. Nie wiedziała, jak długo Alex wytrzyma. Była to jednak tylko kwestia czasu. To ten moment. Wkrótce zrobi się za późno.

Był cicho, kiedy go obudziła. Wiedział, że nie ma sensu protestować. To ona decydowała. On skoczył pierwszy. Od ziemi dzielił ich niecały metr, więc nie marudził i udało mu się uniknąć kontuzji. Linda skoczyła za nim. Trawa była mokra, niedawno skoszona. Ubrudziła sobie buty na zielono.

Pokonali niecałe kilkaset metrów. Nie mieli żadnego bagażu. Można się bez niego obyć, jeśli chce się być wolnym.

Kiedy znalazła odpowiedni samochód zaparkowany kilka przecnic dalej, Alex się rozpłakał. Jednak tylko ona go słyszała. Usadziła go z tyłu, ale najpierw uderzyła go w szczękę – targanie za uszy było dla mięczaków. Cios był mocny, więc Alex zajął się ssaniem dolnej wargi, a ona mogła odpalić silnik. Miała już gdzieś, czy ktoś widzi, że straciła panowanie nad sobą.

– Mamo. – Alex nadal płakał, ale już ciszej. – Maaamooo...

To była dobra decyzja. Choć raz zrobiła, co chciała. Teraz musi tylko sprawić, żeby Alex się zamknął.

NORAH STAŁA W KUCHNI. Miała na sobie rozwiązany szlafrok. Nazajutrz rano mieli jechać. Adam włączył ekspres, pochylił się i pocałował żonę w policzek. Dzieci jeszcze spały, mimo że dochodziła dziesiąta.

Chwilę wcześniej zajrzał do ich sypialni. Wspaniałe dzieciaki. Odgarnął synowi przepoconą grzywkę z czoła i podniósł z podłogi misia córki.

Teraz przyciągnął Norah do siebie i chwycił ją w talii.

Jakoś to będzie, zdążył pomyśleć. Uda im się ten urlop, w końcu na to zasługiwali. Niedługo wszystko się ułoży. Pomoc społeczna musi sobie poradzić z rozwiązaniem sprawy Alexa. On zrobił, co mógł.

Jego komórka leżała na kuchennym stole. Nagle zaczęła

wibrować i podskakiwać, odbijając się od blatu, a po chwili rozległ się dzwonek. Adam od razu się domyślił, że coś się stało. Skoro ktoś dzwonił do niego podczas urlopu, i to rano, na ten numer, to i on, i Norah wiedzieli kto.

Kiedy się odwrócił, żeby odebrać, pokręciła głową i ciasno zawiązała pasek szlafroka. Zaczął rozmawiać, a ona wciąż powoli kręciła głową.

– Nie mam siły tego słuchać – powiedziała, kiedy tylko się rozłączył. – Dłużej tego nie zniosę. Możesz o tym opowiedzieć komuś innemu, kto szanuje twoje priorytety, bo ja i dzieci zawsze schodzimy na drugi plan.

Wyszła z kuchni.

– Alex zaginął – wyszeptał Adam w stronę pustych drzwi. – Alex zaginął. Jego matka ukradła samochód i uciekła. Nic nie rozumiesz. Może nie żyje. Może już go zabiła. Nie mogę z wami jechać. Nie mogę jechać na urlop, skoro Alex zaginął.

W kącie pomrukiwał ekspres. Ciemny napój skapywał powoli przez filtr. Adam przyglądał mu się przez chwilę, po czym ruszył za żoną. Musiał się ubrać, śniadanie zje na komendzie.

42

LINDA MEDNER ANDERSSON siedziała na najwyższej skale Falkerberget i rozmawiała sama ze sobą.

– *This is the first day of the rest of your life*⁹ – wymamrotała. – Dobry przyjaciel jest na wagę złota. Chcieć to móc. Brzeg jest granicą morza. Nadzieja idzie w parze ze szczęściem.

Powiedzonka dla wariatów.

Alexa już nie było. On zawsze był słaby i miękki. Na nic nie miał odwagi i nie można było na nim polegać. Nigdy. Gdyby nadal wlokła go ze sobą, ludzie by się na nią gapili, chcieliby decydować o jej życiu.

Ale teraz będzie wolna. Alexa wreszcie nie było.

Lindzie podobała się panująca wokół cisza.

Nie chciała zabić Chrillego. Nie planowała tego, w każdym

9 To pierwszy dzień reszty twojego życia.

razie nie w ten sposób. Jednak kiedy tak leżał na podłodze i jęczał, wszystko wydało się proste. Był tak cholernie uciążliwy.

Zabicie go okazało się trudniejsze, niż sądziła. Przynajmniej pierwszy cios. Zupełnie jakby wbijała tępy nóż w kurczaka. Chrille wydawał z siebie dźwięki, jakby kasłał i odchrząkiwał jednocześnie, ale się nie obudził. Tylko leżał. Trochę wierzgnął nogami i tyle. Po wszystkim zwymiotowała. A dzieciak tylko piszczał i krzyczał. Wyciągnął nóż i próbował zatamować krew tą głupią poduszką. Kiedy tak siedział z nożem i się mazgał, wpadła na pewien pomysł. Powiedziała mu o tym, a on pokiwał głową. Z płaczem. Potem zadzwoniła pod numer alarmowy.

To był niezły pomysł, żeby Alex przyznał się do zabójstwa. Jego i tak nie mogli ukarać. Przecież nie prosiła go, aby resztę życia spędził o chlebie i wodzie, skuty łańcuchami w jakimś lochu. Poza tym on też by na tym zyskał. Mógł nadal mieszkać w domu, nie musiałyby poniewierać się po obcych, którzy i tak mieli go gdzieś.

Niby od początku załapał, o co jej chodzi, ale to było dla niego za dużo. Nie mogła mu ufać. Widziała to.

Tutaj było cicho. Szum z autostrady zagłuszał inne dźwięki, ale i tak było cicho.

Palce już zaczęły jej mrowieć, nogi zdrętwiały. Rozbolą ją głowa, zaschło w gardle. Wiedziała, że jeśli będzie tu siedzieć zbyt długo, zaśnie, a wtedy wszystko trafi szlag.

Jednak widok był niczego sobie. Woda połyskiwała. Piękny dzień.

Po drugiej stronie zatoki kąpało się mnóstwo ludzi. Będzie musiała skoczyć daleko. Może w wodzie są prądy? Może poniosą ją daleko stąd. Wtedy szybko jej nie znajdą.

To wszystko wina Alexa.

Pierwszy raz uderzyła go, kiedy miał nieco ponad rok. Zaczął już chodzić, pętał się po mieszkaniu i ściągał rzeczy z półek.

Nie była nigdy typem matki, która kołysze swoje dziecko do snu. Nigdy się w to nie bawiła. Płacz dziecka nie brzmiał aż tak strasznie. Nigdy nie robił na niej wrażenia. Wystarczyło zamknąć drzwi i podkręcić muzykę. Albo podgłośnić telewizor. Dopiero później zaczęła bić. Wtedy, gdy muzyka z wieży już nie

wystarczała.

Z początku nie biła mocno, nie było takiej potrzeby. Uderzała lekko i szybko. Czasami wtedy darł się jeszcze głośniej, a czasami milkł. W każdym razie najczęściej kończyło się tym, że robił to, czego chciała. Kiedy powpychał wszystkie książki na regał, mimo że ona wołała, by ich grzbiety stały w równej linii na brzegu półki, zaciągnęła go tam, złajęła i ścisnęła mu piąstki, kiedy próbował docisnąć książki z powrotem. Takie metody skutkowały.

Bicie wcale nie jest takie groźne. Ludzie zawsze to robili. I w zasadzie we wszystkich krajach poza poprawną Szwecją nadal można bić.

Dać klapsa w tyłek albo wytargać za uszy. Po tym nie było nawet śladu. Co do psów na przykład wszyscy są zgodni, że można je bić. Inaczej nic nie rozumieją. A dzieciak, który nic nie mówi, też nie rozumie. Przecież nie można mu przetłumaczyć: „Skarbie, czy możesz nie wtykać palców do kontaktu? Czy możesz zjeść kaszkę teraz, bo nie dam rady zrobić ci kolejnej porcji za pół godziny, i to tylko dlatego, że teraz kaprysisz?”. Dzieci nie rozumieją, kiedy się do nich mówi, ale kiedy boli, wtedy każde załapie. Czasami wystarczy jeden raz, żeby zrozumiały, o co człowiekowi chodzi.

Jednak im był starszy, tym częściej trzeba było bić. Nie wystarczał już zwykły klaps. Musiała wymyślić nowe metody. Takie, których się bał, bo skutkowało tylko wtedy, gdy miał stracha.

Kiedy patrzył na nią tym swoim spojrzeniem, wiedziała, że się udało. Przestań, proszę, czytała w jego oczach. Czemu miałyby przestać? Przecież odnosiło skutek.

To nie tak, że opętał ją jakiś demon. Nigdy nie ciemniało jej przed oczami, nie uderzała w transie. Nie była wariatką. Zastanawiała się nad tym, co robi. Obmyślała nowe metody. Musiała, bo te nowe zawsze okazywały się najlepsze. Jak na przykład wtedy, gdy pierwszy raz zamknęła go w toalecie. Boże, kiedy go wypuściła, był potulny jak baranek. Przez tydzień nie sprawiał problemów, miał minę jak chłopczyk z chóru. Było lepiej, kiedy zachowywała spokój i kalkulowała na chłodno.

Szkoda, że to nie wystarczało.

Na skałach wiało. Przytrzymując czapkę ręką, Linda wstała. Kołowało się jej w głowie. Cofnęła się o kilka kroków. To już czas.

Ludzie to idioci, pomyślała i zamknęła oczy, żeby odzyskać równowagę. Nie rozumieją, że życie to nie frazesy z kartek urodzinowych. To zwykła nędza, bo szczęście i powodzenie i tak zrównoważą pecha, cholernego, wrodzonego pecha.

Zrobiła wdech. Pachniało lasem.

Ludzie nie są normalni. Jeszcze nie zrozumieli, że każdy kolejny dzień jest jak dożywocie.

Zacząła liczyć w myślach. Lepiej zabrać się do rzeczy. Raz, dwa, trzy, na cztery ruszy. Musi wziąć porządny rozbieg, jakby miała przed sobą most. Wprost w ciemne morze z mulistym dnem. Może będzie krzyżeć.

Muszę skoczyć daleko, pomyślała. Hen, hen daleko. Nie boję się. W ogóle.

Okazało się to trudniejsze, niż sądziła. Potknęła się i zamiast skoczyć, zsunęła się z krawędzi. Już po kilku metrach uderzyła w skałę. Spadła i utknęła na wąskim paśmie piachu między skałami a wodą. Wtedy właśnie złamała kręgosłup i rękę. Pękła jej też czaszka. Linda straciła przytomność. Głowę miała zwróconą w stronę głębokiej na dziesięć centymetrów wody.

Nie utopiła się jednak i nie zabiła. Na górze wciąż wiało.

Policję zawiadomiła kobieta stojąca po drugiej stronie zatoki. Nie umiała dokładnie opisać, gdzie to się wydarzyło, ale już dziesięć minut później na miejscu była karetka. Jeden z sanitariuszy zszedł na brzeg i przywiązał Lindę do noszy. Potem ją wciągnęli i zawieźli na izbę przyjęć szpitala Danderyd.

Była nieprzytomna, ale żyła. Właśnie zaczął się dla niej kolejny dzień, wciąż dużo brakowało mu do końca.

Jedna z rodzin, u których mieszkałam, miała psa. Gończego fińskiego, suczkę. Wabiła się Stoja. Była brązowo-biała i zwariowana. Kiedyś podczas polowania na łosie, gdy musiała czekać godzinę w samochodzie, pogryzła całutką tapicerkę.

Mój pokój był obok kuchni, a tam stał kojec Stoi. Stoja

miała paciorkowce i musiała nosić kołnierz, żeby nie rozdrapać sobie uszu. To było dla jej dobra, ale Stoja nie cierpiała tego kołnierza.

W nocy męczyła się najbardziej. Nie mogła spać, włóczyła się po kuchni, drapała w laminowaną podłogę, skomlała i popiskiwała. Nigdy nie była spokojna, nigdy się nie kładła. Jeśli akurat nie biegła, to próbowała uwolnić się z kołnierza. Gdy tylko jej się udało, rozdrapywała uszy do krwi, a potem drapała dalej zakrwawionymi pazurami.

Czasami myślę o tej zwariowanej suce upapranej we krwi. Zastanawiam się, czy uszczęśliwiła ją rozdrapywanie ran, czy się uspokajała, kiedy wreszcie mogła zrobić, co chciała.

43

CZEKALI NA PSY. Ktoś wziął ze sobą termos, Adam popijał colę, a Sophia wodę z plastikowej butelki.

– Naprawdę sądzisz, że jest sens jeszcze raz przeczesać teren?

Sophia była zdenerwowana. Adam siedział najbliżej niej.

– Poprzednio nie mieliśmy psów. Może coś znajda. Mają jeszcze raz przeszukać ten opuszczony dom. Może mały leży gdzieś, gdzie nie mogliśmy się dostać.

Nie patrzył na nią.

– Myślisz więc, że Alex nie może odpowiedzieć na nasze wołania? Że szukamy zwłok? Czekamy na psy szukające trupów, tak?

Wzruszył ramionami. W lewym oku pękło mu naczynko. Helikopter, który od dziesięciu minut krążył nad okolicą, właśnie zawrócił do bazy. Adam wyglądał, jakby zaraz miał się rozpląkać.

Sophii zrobiło się głupio. Adam pracował nieustannie od dwóch dni. Kontaktował się z mediami, zorganizował ochotników, którzy zgłosili się do poszukiwań, i pewnie zrobił wiele innych rzeczy, o których nie miała pojęcia.

Ona sama musiała tylko porozmawiać z kilkoma najbardziej

upartymi dziennikarzami, a ci jak zwykle byli dla niej mili.

Niestety cały cyrk medialny zaczął się na nowo. Sophia zapewne przeoczyłaby doniesienie w „Expressen”, ale Adam do niej zadzwonił z informacją, że jej klient zaginął. Kilka minut później wiadomościami zasypali ją dziennikarze, którzy chcieli, by opowiedziała im, co się stało. A jeszcze lepiej, co się stanie.

Pod wieloma względami ta nagonka była jeszcze gorsza, jednocześnie towarzyszyła jej inna atmosfera. Wyczuwało się żal, ale też mniejsze poruszenie, jakby już było po wszystkim. Jakby chodziło o oczywiste zakończenie historii, tragicznej na tyle, że trudno było zrozumieć ją do końca.

Ośrodek Bromstengården zawiadomił policję chwilę przed tym, jak pogotowie zabrało Lindę ze skał. Teraz leżała na OIOM-ie, jednak Alexa jeszcze nie odnaleziono.

Jedna z hipotez była taka, że Linda wepchnęła go do wody, zanim sama skoczyła. Albo że na przykład udusiła go, zakopała ciało gdzieś w lesie, a potem rzuciła się ze skał.

Jednak gazetom przedstawiono jedynie trzecią hipotezę, według której Linda zostawiła gdzieś chłopca, co znaczyło, że Alex żyje. Jak dotąd nie znaleziono zwłok, mimo że pierwsi członkowie ekipy poszukującej wyszli w teren w niecałe pół godziny po tym, jak zabrano Lindę. Skończono już wstępne przeczesywanie terenu, teraz wszyscy szykowali się do powtórki.

Alex mógł być wszędzie. Robiono wszystko, by go odnaleźć. W mediach opublikowano jego zdjęcie, policja wysłała w teren helikoptery wyposażone w kamery termowizyjne. Bez skutku, po chłopcu nie było ani śladu. Od Lindy niczego się nie dowiedzieli, bo nadal była nieprzytomna.

Sophia zastanawiała się, jakie dyskusje toczą się teraz w redakcjach, które jeszcze kilka tygodni temu określały Alexa mianem najmłodszego ojcobójcy w Szwecji. Czy czuli się zakłopotani teraz, kiedy policja postawiła hipotezę, że to nie chłopiec zamordował ojca. Zrobiła to jego matka, która – kiedy presja wzrosła – zdecydowała się odebrać życie sobie i dziecku.

– Kiedy pierwszy raz spotkałem Alexa, pomyślałem, że będziemy kumplami. Ja i on.

Adam mówił głośno. Patrzył się przed siebie i dopiero po chwili Sophia zrozumiała, że mówi do niej.

– Jestem taki dumny z tego, że naprawdę znam się na dzieciach. Wiem, jak rozumują. Mam dwójkę własnych i potrafię z nimi rozmawiać. Rozumiem, co mówią, i bardzo dobrze sobie radzę jako śledczy w sprawach dotyczących dzieci. Policjant ojczonek. Do tego z imigranckiej rodziny. Po prostu mokry sen każdego polityka.

Sophia pokiwała głową. Rzeczywiście tak się o nim mówiło. Wszystko się zgadzało.

– Pojechałem do domu dziecka, w którym był. Kupiłem mu prezent. Taką figurkę z filmu akcji zapakowaną w ładny papier ze wstążką. Wszystkie dzieci lubią paczki. Wcześniej czytałem o badaniu, według którego takie figurki i gry wojenne pomagają dzieciom z niską samooceną. Dzięki nim dzieciom wydaje się, że zyskują supermoce, że nie są małe i słabe, przeciwnie, mogą zrobić wszystko i być bardzo odważne. Mogą nawet przemówić do rozsądku rodzicom. Tak mi się wydawało. Ależ byłem głupi, myślałem, że się zakumplujemy, bo ja potrafię pomóc wszystkim dzieciom i jestem duży i silny jak Superman.

Sophia tylko westchnęła. Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Nie musiała nic mówić. Adam oderwał wzrok od puszki z colą i popatrzył jej prosto w oczy.

– Ta figurka leżała w sypialni Alexa, kiedy zginął jego ojciec. Widziałem ją, gdy oglądałem miejsce przestępstwa. Była zepsuta, zdeptana. Jedna noga była wyrwana, a oczy zamalowane flamastrem. W sumie to nic dziwnego. Alex rozumiał pewnie, że figurka nie ma żadnych supermocy, że nie może mu w niczym pomóc. Zrozumiał, że ta lalka jest jak ja. Do niczego, pusta i z plastiku.

SOPHIA OBLIZAŁA USTA. Ręką pomacała torebkę, stwierdziła jednak, że makijaż może poprawić, kiedy już będzie na miejscu. Niepotrzebnie męczyła się z bólem brzucha,

wyrzutami sumienia i stresem. Adam powiedział przecież, że to dobry pomysł. I tak nic nie mogła zrobić. Poza tym to czekanie przyprawiało ją o utratę zmysłów.

Chłopca nadal nie odnaleziono. Adam miał iść na komendę, przejrzeć zgłoszenia od ludzi, sprawdzić, czy któreś tropy warto podchwycić. Obiecał, że zadzwoni, jeśli coś się będzie działo.

– Dobrze ci zrobi, jeśli wypijesz ze dwa kieliszki wina, porozmawiasz o czymś innym, a jutro zaczniesz od nowa – dodał z poważną miną.

Przed wyjściem z domu zadzwoniła do niego trzy razy, a teraz, z autobusu – czwarty. Wciąż przebywał na komendzie, nic się nie wydarzyło.

Muszę przestać do niego wydzwaniać, stwierdziła, w przeciwnym razie oskarży mnie o nękanie.

Uznała, że jeśli wybierze się na imprezę u Carla, to przynajmniej coś zajmie myśli. Do wyboru miała wielogodzinne krążenie po mieszkaniu albo odbijanie się od ścian niewielkiego biura. Pomyślała, że wolny wieczór jej się przyda. Taka chwila wytchnienia, kiedy nie będzie rozmyślać o tym, ile jeszcze trzeba czekać w wakacyjnie wyludnionym Sztokholmie na wiadomości o Alexie. Kilka godzin odpoczynku, może przecież wyjść z imprezy po kolacji.

Sophia szła z przystanku przez Djurholms torg, minęła hotel, a potem ruszyła Strandvägen i wąską promenadą. Dojście do Villa Pauli, kiedyś willi, potem klasztoru, a dziś zamkniętego klubu, powinno jej zająć z pięć minut.

Zaprosił ją Carl Bremer, kolega ze studiów w Uppsali. Carl był pierwszą po Annie osobą, z którą Sophia się zaprzyjaźniła. Postanowił przenieść się do Tanzanii z nowym chłopakiem, była to więc impreza pożegnalna. Chłopak Carla wychował się w tej okolicy i był członkiem klubu Villa Pauli.

Kiedy z prawej strony mijała prywatną wyspę Björna z Abby i przejazd na drugą, też prywatną wyspę jednego ze sztokholmskich deweloperów, obok przeszedł jakiś nieznamy mężczyzna, spacerujący z jasnym labradorem. Przywitał Sophie skinieniem głowy, a ona odpowiedziała.

W tej okolicy panował taki zwyczaj, bez względu na to, czy się

kogoś znało, czy nie, Sophia doszła do wniosku, że lepiej się do tego przyzwyczajać. Nie byłoby miło, gdyby u Carla dała wyraz swojemu przygnębieniu. Sięgnęła do torebki i wyluskała telefon. Było za wcześnie. Jeszcze nie powinna dzwonić.

*

– Witaj, kochana!

Tata Carla, Carl-Johan, stał u dołu schodów i witał gości szerokim uśmiechem, błyszczącym niczym łuski na świeżym lososiu.

Carl-Johan miał dwóch synów, Carla i Johana. Sophia zapytała go kiedyś, jak by nazywała się jego najmłodsza córka, Béatrice, gdyby urodziła się jako chłopiec.

– Carl-Johan, rzecz jasna – odparł Carl-Johan i długo się śmiał. Sophia nie była pewna, czy żartuje.

– Miło, że przyszłaś, moja droga! – Mama Carla, Adrienne, pochyliła się i pocałowała ją lekko w policzek. Pachniała wanilią i miała zwiewne dłonie.

– Tak się cieszę, że jestem! – odparła Sophia. Kiedy tylko to powiedziała, uświadomiła sobie, że to szczerza prawda.

Przyciągnęła do siebie Adrienne i mocno ją uściskała. Adrienne odwzajemniła uścisk. Zanim puściła Sophię, położyła jej dłoń na policzku i wyszeptła do ucha:

– Nasza wspaniała dziewczynka. Wiedz, że o tobie myślimy. Z twoją pomocą chłopiec na pewno się wkrótce znajdzie...

– Sophia! – Na schodach ukazał się Carl. Zapiszczał i uniół ją w powietrze. Jego rodzice się zaśmiali, odrobinę zakłopotani.

– Uważaj na jej fryzurę – mruknął Carl-Johan. Pochylił się i dodał szeptem: – Słyszałem o tobie i Peterze. Przykra sprawa, moja droga, ale on nie był w twoim typie. Powiedziałem więc Carlowi, żeby posadził cię koło jakiegoś miłego singla. Twierdził, że nie będzie tu takich hetero, ale że ty i tak wolisz gejów. Ale znasz mojego syna. Mój Boże, czasami sam nie rozumiem jego dowcipów.

Sophia się uśmiechnęła. Od dawna była ulubionym przedmiotem troski Carla-Johana, on zaś był jedynym swatem, którego akceptowała.

– Mimo to nadal szukam kogoś, kto zrozumiałby, że spotkać ciebie to szczęście. No i musi to być ktoś, kto umiałby cię porządnie wyśmiać!

– Przestań się wygłupiać! – Adrienne lekko klepnęła męża w ramię i wywróciła oczami. – Obiecuj, że nie będziesz zwracać uwagi na mojego nietaktownego małżonka. I że przy najbliższej okazji serdecznie ucałujesz ode mnie dziadka. Mam nadzieję, że szybko to nastąpi. Chyba nie zostawisz go samego, żeby marniał?

Sophia najpierw pokiwała głową, potem nią pokręciła. Wciąż się uśmiechała, kiedy dostała pierwszy kieliszek szampana. Unosząc rękę jak do bójki, przecisnęła się do niewielkiego saloniku przy jadalni, żeby sprawdzić, czy Anna już przyszła.

W takich imprezach było coś przyjemnego, co nigdy się jej nie nudziło. Odprężenie, radość, wrzaski, pozorne deklaracje miłości niemające nic wspólnego z rzeczywistym szczęściem, dzięki którym wszystko było łatwiej znieść.

Zatrzymała się przy jednym z narożnych stolików. Przysiadła na kanapie pomiędzy bratem Carla, Johanem, a chudą jak patyk blondyną. Wypiła dwa kieliszki szampana, a potem wyszła do szatni, żeby zadzwonić do Adama.

Nie miał żadnych nowin. Wybierał się zjeść coś z kolegami, którzy wcześniej pomagali w poszukiwaniach. Obiecał zadzwonić, jeśli coś się wydarzy. Głos miał szorstki, zmęczony i poirytowany.

Naprawdę muszę przestać do niego wydzwaniać, zostawić go w spokoju. Muszę pomyśleć o czymś innym.

Sophia wróciła do saloniku i zaczęła się rozglądać za szampanem.

Kolejny raz zadzwoniła po upływie co najmniej godziny. Czekając na ciepłe danie, kiedy akurat trwała dziwna, absurdalnie długa przemowa, wróciła do pustej szatni. Stała przy króciutkim futerku z królika. Nieco dalej stała inna kobieta, która wykradła się z imprezy, żeby zadzwonić do opiekunki.

Tym razem głos Adama brzmiał inaczej. On i koledzy skończyli właśnie jeść. Nie słychać już było w nim irytacji, tylko

zdziwienie.

Słyszała, że jest w pubie. Mówił za szybko, przytłumionym głosem, jakby się wstydził, że poszedł do knajpy. Jakby obwinał się o to, że nie wiedzą, co się stało z Alexem. Jakby Sophia miała go znienawidzić za to, że siedzi w pubie i się zajada, zamiast krążyć z latarką po lesie. Może trochę się napił.

– A miałem być z rodziną na wakacjach – powiedział. Sophia zorientowała się, że przemowa dobiegła końca. Ktoś na sali klepnął kogoś w plecy i rozległ się głośny rechot. – No cóż. – Adam przerwał, jakby chciał, żeby dostrzegła coś, co wisi w przestrzeni dzielącej ich telefony. – Musieli jechać sami. Kiedy tylko Alex się znajdzie, dołączę do nich. A jeśli za kilka dni wciąż go nie będzie, cóż, wtedy też pojedę. Teraz muszę się zająć czymś innym. Już dość długo jeździłem po mieście i go szukałem... Mój szef powiedział, żebym choć przez kilka godzin porobił coś innego. Mówi, że powinienem się przespać, ale nie mogę. I co mam zrobić? Przecież w tej sytuacji nie mogę ot tak jechać do domu i iść spać.

Tak, Adam zdecydowanie się upił.

– Rozumiem – wymamrotała.

Będzie musiała poprosić kelnerkę o szklanekę wody. Nie tylko Adamowi trudno się było skupić. Nie zaszkodzi, jeśli trochę przyhamuję z toastami, pomyślała.

– Absolutnie rozumiem.

– Zadzwoń, jak będą jakieś nowiny. – Adam odchrząknął i zakasłał do słuchawki. Może czuje się podle. Może nawet płacze. – Obiecuję, że zadzwonię, jak tylko się czegoś dowiem.

– To przyjedź tutaj.

Gdy sobie uświadomiła, co powiedziała, nie pożałowała swoich słów, ale była zaskoczona. Zresztą co za różnica, pomyślała, i tak nie przyjedzie.

– Weź ze sobą któregoś z kolegów i przyjedźcie tutaj. Wtedy nie będę musiała tak wydzwaniać i wykosztowywać się na telefon. Przyjedźcie. Tu jest ponad sto osób i w gruncie rzeczy wszyscy się do siebie nawzajem dobierają. Możemy razem zająć myśli czymś innym. Naprawdę, weź kolegę i przyjeżdżaj. Moi znajomi są znakomici w odwracaniu uwagi od problemów.

Adam się zaśmiał. Jego głos zabrzmiał nieco weselej. Wydmuchał nos. Czy to naprawdę możliwe, że siedzi tam i płacze?

– Słowo daję. – Sophia zamknęła oczy, próbując opanować zawroty głowy. – Są w tym świetni. Carl, gospodarz imprezy, będzie zachwycony, jak ściągnę tu policjantów. Możecie wpaść w mundurach?

*

Carl mawiał, że Sophia nie może przejmować się tym, co w opinii innych powinna robić. Ewentualnie mogła uważnie wysłuchać ich zdania, a potem zrobić na odwrót. Według Carla Sophia dawała sobą manipulować i była zdecydowanie za dobrze wychowana.

Gdy powiedziała, że bez pytania zaprosiła Adama na imprezę, bardzo się ucieszył, wręcz rozpromienił.

Kiedy Adam przyjechał, sam i po cywilnemu, akurat podawano kawę. Carl chwycił swojego chłopaka za rękę i ruszył za Sophią, żeby się przywitać.

Adam wymienił z nimi uścisk dłoni i podziękował za zaproszenie, przepraszając, że tak się wepchnął. Potem położył Sophii dłoń na ramieniu, przysunął ją do siebie i pocałował w oba policzki.

Kątem oka dostrzegła, że Carl się uśmiecha. Kiedy znów na siebie spojrzeli, mrugnął do niej i powiedział coś bezgłośnie, ale nie zrozumiała.

Wiedziała jednak, że Carl ani przez sekundę nie wierzył, że to ten policjant, którego w zasadzie nie lubiła. Uznał, że to jakiś przypadkowy znajomy, który musiał się na trochę oderwać od kolegów i poszukiwać Alexa.

Carl bardzo się ucieszył z takiego gościa.

Sama jednak nie wiedziała, co powinna teraz zrobić. Ściągnięcie Adama Sahli było beznadziejnie głupim pomysłem. O czym niby mieli rozmawiać? Co mieli robić? Czy teraz będzie musiała z nim zatańczyć?

Nie licząc sześciu kolesi w cekinowych sukniach, Adam był jedynym facetem bez smokingu. Nie wydawał się tym

speszony, Sophia była jednak tak zdenerwowana, że ścisnęła ją w dołku.

Miała przecież zamiar świętować z dawnymi znajomymi. Po co sprowadziła kogoś, kogo ledwo zna i za kim nie przepada? Pociła się. Sukienka ją cisnęła, a Adam stał tak blisko. Serce podchodziło jej do gardła.

Chwilę później Carl się nachylił i wyszeptał o wiele za głośno:
– Wreszcie znalazłaś odpowiedniego faceta. Najwyższa pora.

Adam i Sophia poczęstowali się kawą i limoncello serwowanymi na stoliku w bibliotece. Potem wyszli do ogrodu. Za ścieżką, kilka metrów od miejsca, w którym stali, rozciągała się woda. Było na tyle jasno, że widzieli nawet Lindingö. Czasami zimą, kiedy woda zamarzała, całe chmary wycieczkowiczów w puchowych kurtkach, ocieplanych rękawicach i z zawiniątkami z jedzeniem wybierały się na szkiery. Teraz jednak było lato.

Sophię po limoncello zazwyczaj bolała głowa, jednak o tej porze rzadko kiedy o tym pamiętała. Serce przestało jej już walić, postanowiła się wyluzować. W sumie to nie był zły pomysł. Może ona i Adam się zaprzyjaźnią. Takie rzeczy się zdarzają: ludzie najpierw się nienawidzą, a potem zostają przyjaciółmi. A jej przydadzą się kontakty w policji, jej praca na tym zyska.

Oznaczało to jednak, że musi się trochę odkryć, pokazać swoje prywatne ja. Na pewno musi mu okazać radość z powodu jego pojawienia się tutaj. Po prostu fajna sprawa i już.

– Uważam, że jesteś bucem.

Adam spojrział na nią zdziwiony, przez kilka sekund milczał, a potem zaniósł się śmiechem. Trzymał się za brzuch, a z oczu pociekły mu łzy.

– Chyba nie mówisz poważnie? – Z kieszeni wyciągnął chusteczkę.

Sophia się uśmiechnęła. Szczelniej otuliła się kocem, który zabrała z tarasu. Na chwilę przestał się śmiać i zapalił papierosa. Pierwszy raz widziała, jak pali. A nie wyglądał na palacza, papierosy jakoś nie pasowały do jego barczystej postury.

– No dobrze, to już wiesz. – Też wyciągnęła papierosa z paczki, przyjrzała mu się, po czym odłożyła z powrotem. – A ty nie cierpisz mnie. Zauważyłam, a że znam się na ludziach, to wiem, że mam rację.

– Zgadza się. – Adam się uśmiechnął. – Te twoje domysły to czyste szaleństwo. – Jeszcze chwilę się śmiał, po czym dodał: – Właściwie to nic dziwnego, że cię nie cierpię. Jesteś niewiarygodnie wręcz zaabsorbowana samą sobą. Może i jesteś dobra w tym, co robisz, ale rzadko bywasz miła. Musisz wiedzieć, że ludzie o tobie gadają. Łatwo ciągle żyć w przekonaniu, że zawsze ma się rację, podczas gdy inni nie mają nic mądrego do dodania.

– Ale ja mam zawsze rację. No, prawie zawsze. Na tyle często, że nie trzeba zwracać uwagi na wyjątki od reguły. Te mieszczą się w marginesie błędu.

– Cóż. – Adam mocno się zaciągnął i spojrzał jej prosto w oczy. – To też o tobie mówią.

Wydmuchał dym.

Na gołych ramionach poczuła nocny wiatr. Nie było jej do śmiechu, to przestało być zabawne. Popatrzyła na Adama.

– Powinnaś być była posłuchać, wiem. Nie zrobiłam wystarczająco dużo dla Alexa, powinnaś być zrobić więcej. Robiłam, co mogłam, ale to nic nie dało. Wszyscy robiliśmy, ale to nie wystarczyło, bo teraz Alex zaginął, może nie żyje. To moja wina. Twoja zresztą też. Bo jeśli nie Alexa ani niczyja inna, to musi być nasza, prawda? Jeśli nie da się wskazać winnego, okaże się, że to, co robimy, nie ma sensu, czyż nie?

Adam zamrugał oczami, upuścił na wpół wypalonego papierosa na ziemię i zdeptał go.

– To nie twoja wina. Nie to chciałem powiedzieć. – Pochylił się i wytarł dłonie w dzinsy. – Posłuchaj. Nie chciałem cię zasmucić, chodziło mi o coś innego. Ja... – Niepewnie uniósł kąciki ust i delikatnie pogłaskał ją po ramieniu. Próbował zrobić wesołą minę, ale wyglądał, jakby miał się rozplakać.

– Rozumiesz? Nie o to mi chodziło.

Popatrzył na nią. Odwzajemniła jego spojrzenie i przygryzła wargę.

Obok przeszedł Carl. Towarzyszyła mu chuda blondyna, teraz wyglądająca blado. Carl obejmował ją w pasie.

– Chyba musimy zacząć jeszcze raz. W końcu po to przyjechałem na imprezę, żebyśmy oderwali myśli od tej sprawy. – Adam zbliżył się jeszcze bardziej i położył jej dłoń na nodze. – Zacznę jeszcze raz. Może przyniosę coś do picia? Mogę też zrobić rewizję osobistą temu koleśowi w różowym smokingu. Założę się, że znalazłbym coś do wypalenia. Czy może masz ochotę zatańczyć?

Dopiero po chwili Sophia zorientowała się, że Adam żartuje. Powoli pokręciła głową.

– Ha, ha – zaśmiała się niepewnie i popatrzyła na Carla i jego towarzyszkę. Chudзина miała na sobie sandaalki na wysokim obcasie, z paskami pnącymi się aż do kolan, a do tego fryzurę, która wymyślnością przytłaczała jej szczupłą szyję. Aż głowa się jej kiwała pod ciężarem.

Wygląda jak mieszanka greckiego antyku z cudzymi pieniędzmi. Może to klasyczny przykład funduszu hedgingowego, pomyślała Sophia. W tym momencie kobieta wygięła odziane w jedwab ciało i zwymiotowała w różany krzew.

– Tak czy inaczej podejść jeszcze do tego suto zaopatrzonego baru. Na Boga, w końcu dziś wieczorem jestem singlem. Pójdę więc potańczyć, popoflirtuję z jakimś bezpruderyjnym gejem. No i sprawdzę, czy nie dałoby się pogadać z tatusiem Carla o polityce bliskowschodniej. Potem wrócę do mojego domku w szeregowcu. Jutro mam zamiar wcześniej iść do pracy. Przejrzę zgłoszenia, mamy ich sporo. – Adam uśmiechnął się niepewnie. – Ale teraz o tym nie rozmawiajmy, w końcu mieliśmy zająć się czymś innym. Jest impreza. Powinniśmy się bawić.

Sophia czuła, że ma miękkie kolana. Wyprawa do baru była świetnym pomysłem. Oczywiście, że będzie się bawić, po to tu przyszła. Żeby pomyśleć o czymś innym, poprawić sobie humor.

Czas zatańczyć na parkiecie do wszystkich tych kawalków z lat siedemdziesiątych, które leciały jeden po drugim. Poudaje Abbę z Anną, pośpiewam te banalne teksty, może wypiję

drinka z jasnozieloną słomką. Cokolwiek, byle już nie rozmawiać z Adamem. Nie będę tu z nim siedzieć, skoro nie traktuje mnie poważnie.

Odważyła się go zagadnąć dopiero po kilku godzinach, kiedy już wszystko widziała jak przez mgłę. Wiedziała, że nie powinna, ale jak zwykle nie miała dość rozsądku. Rzadko piła, nie lubiła tracić kontroli nad sytuacją. Podczas studiów, dorabiając jako barmanka, przyzwyczała się, że jest trzeźwa, że nie szaleje jak klienci. Jeśli jednak piła, to dlatego, że alkohol pozwalał zapomnieć. Piła, kiedy naprawdę musiała, gdy nic innego już jej nie pomagało. Wiedziała, że to niebezpieczne, miała dość oleju w głowie, ale czasami było to jedyne wyjście.

– Musisz iść ze mną – powiedziała. – Chcę na chwilę wyjść i chcę, żebyś poszedł ze mną.

Adam właśnie rozmawiał z jakąś kobietą przy barze. Wcześniej z nią tańczył. Na pewno nie po to, żeby wzbudzić zazdrość Sophii, bo po co miałby to robić? Mimo to ona nie mogła przestać o nich myśleć. Nawet kiedy nie patrzyła, widziała, co robią. Wiedziała, co mówią, nie słuchając.

Kiedy do nich podeszła, Adam wyglądał na zirytowanego. Odwrócił się jednak do kobiety, przeprosił ją i poszedł za Sophią. Zrobiło się chłodno.

Pewnie mu zimno, pomyślała. Gdzieś tam jest Alex. Żyje, na pewno żyje. Ale jest mu zimno.

Przeszła z Adamem żwirowym nabrzeżem wzdłuż Strandvägen w stronę Stocksund. Najpierw szli w milczeniu, pół metra od siebie. Kiedy byli przy Ekudden, Adam chwycił ją za rękę. Szli dalej.

Sophia popatrzyła na Aludden położone za zatoką i przypomniała sobie, ile to razy biegała tam na bosaka po mchu. Wspinała się na drzewa, kora zostawała jej za paznokciami, kiedy się podciągała na gałęziach.

Pamiętała też, jak jeździła rowerem po zarośniętej trawie ścieżce pomiędzy Götavägen i Sveavägen, żeby jak najszybciej dostać się na Auravägen do domu Anny.

Skęcili w Skärrviksvägen. Dopiero po chwili zorientowała się, że płacze. Nie wiedziała czemu, ale łzy jakby wypływały z

tego miejsca, które najbardziej ją bolało, i przecinały wszystko na swojej drodze.

Miała mokrą szyję. Wydmuchała nos w chusteczkę, którą dał jej Adam. Zatem to dlatego chwycił ją za rękę – żeby ją pocieszyć. Tylko tyle.

– Muszę cię mieć – powiedziała w końcu.

Niezbýt głośno, może jej nie usłyszał. Może tylko wyszeptała.

Powtórzyła więc, tym razem nieco głośniej. Adam wyjął telefon z kieszeni.

– Zadzwoń po taksówkę – odparł. – Trzeba cię zawieźć do domu. Musisz się przespać.

Rozpadało się w trakcie jazdy. Siedzieli z tyłu. Taksówkarz puszczał jakieś radosne arabskie pieśni. Adam pochylił się między fotelami i zaczął rozmawiać z szoferem po francusku. Mówił szybko, nie rozumiała go, ale nadal trzymał ją za rękę.

Kiedy taksówka zatrzymała się przed jej domem, zapłacił i wysiadł z nią. Przez chwilę myślała, że ją zostawi, ale potem razem ruszyli po czterostopniowych schodkach. Gdzieś w połowie drogi pocałował ją. A może ona jego. Sama nie wiedziała, czuła tylko, że usta ją bolą, palą, swędzą. Całowała go raz za razem.

Otworzyła drzwi, a on ją podniósł. Delikatnie rozpiął jej sukienkę na plecach. Ona zawsze miała z tym problemy. Resztę zdarła z siebie sama, inaczej za długo by to trwało i nie wzięłby jej tak mocno. Założyła mu ręce na szyję i przyciągnęła bliżej.

Zorientowała się, że cicho popiskuje, nigdy wcześniej tego nie robiła. Jakby z oddali słyszała jego pojękiwanie. Brzmiało tak, jakby coś go bolało.

Adam rzucił na podłogę swoją torbę, dużą, niebieską, z materiału. Zamek był na wpół otwarty. Sophia to zauważyła i pomyślała, że on już się zbiera do wyjazdu. Wtedy pochylił się, dotknął ustami jej piersi, a dłonią wewnętrznej strony ud. Ułożył ją na łóżku i wszedł w nią.

Tak po prostu. Myślała, że to wystarczy. Że tylko tego chce i kiedy już to dostanie, nie będzie potrzebować niczego więcej. Myliła się.

– To moja wina – powiedziała. Adam pocałował ją w powieki,

w kącki ust i chyba w rękę. – To moja wina, że Alex zaginął. – Znow zaczęła płakać. Może tak naprawdę wcale nie przestała. – Jeśli on nie żyje, to też moja wina.

– Cśśś... – odparł Adam. Już nic więcej nie mówiła. Znow ją pocałował. Jego usta smakowały ziemią i żelazem. – Cśśś...

Potem Sophia położyła się naprzeciwko niego. Oboje leżeli na boku. Byli spoceni. Wdychała jego oddech, delikatny jak górskie powietrze. Kciukiem przesunął po jej brwiach i drugi raz tego wieczoru popatrzył jej prosto w oczy.

Chwyciła jego drugą dłoń. Przyłożyła ją sobie do ust. Nadal ją bolały. Przycisnęła spuchniętą dolną wargę do jego palców.

Tylko nie zaczynaj płakać, pomyślała. Nie mogę cię zatrzymać. Zostawisz mnie. Tylko nie zaczynaj płakać, bo nie wytrzymam.

Objął ją, a ona zasnęła z nosem przy jego szyi.

*

Był w niej, kiedy się obudziła. Mimo zaciągniętych zasłon w pokoju i tak było jasno. Okno było otwarte i zasłonę wywiało na zewnątrz.

Spojrzał jej w oczy. Przyciągnął ją jeszcze bliżej. Jego ciemne policzki drapały ją w szyję. Bolało ją całe ciało. Chciała, by nigdy nie kończył. Mówił coś, szeptał, ale nie miała odwagi słuchać. Potem ułożyła go na plecach. Sama się wyprostowała. Adam suwał dłońmi po jej piersiach, podniósł się i zaczął lizać jej sutki. Zatrzymał się w tej pozycji, kiedy doszła.

Godzinę później zadzwonił jego telefon. Obudził ich oboje. Adam, nie wstając, wyciągnął rękę i wyłuskał ze spodni komórkę. Zerknął na wyświetlacz, po czym odebrał, przedstawiając się z imienia i nazwiska.

Sophia spojrzała na niego, rozbudzona. Myśli miała klarowne jak powietrze po burzy.

Nie mówił dużo. Mruczał coś, bawiąc się swoim ciemnym lokiem. Nawijał go na palec. Kilka razy zdecydowanym tonem powiedział „oczywiście”. Potem się rozłączył, położył Sophii dłoń na policzku i uśmiechnął się. Przytulił ją mocno, na palcach wciąż miał jej zapach.

– Znaleźli go. Znaleźli Alexa. Żyje – wyszeptał.

WŁAŚCICIELKA STAJNI STAŁA na dziedzińcu w szerokim rozkroku. Stadnina leżała w sielankowej okolicy, między okazałymi posesjami i zadbanymi podjazdami. Budynek stajni miał kształt litery T i owalny wybieg przylegający do krótszej ściany. Kobieta miała buty do jazdy konnej sięgające kolan i uda, które zdawały się kończyć tuż pod spiczastym podbródkiem.

– Popatrz, macha do nas – wyszeptała Sophia, gdy podjechali, żeby zaparkować.

– Witaj Sophio! – powiedziała kobieta, gdy wysiadali z samochodu.

Widać pamięć ma dobrą jak jej konie, pomyślała Sophia.

– Znacie się? – Adam spojrzał na nią zdziwiony.

– Jeździłam tu konno, gdy byłam mała. Eva była wtedy instruktorką, teraz jest właścicielką stadniny. Że też mnie pamiętasz! – zawołała i wyciągnęła rękę, ale Eva pochwyciła ją całą w ramiona.

– To nie było przecież tak dawno. Wciąż jeździsz konno?

– Nie tak często, jak bym chciała.

– Daj znać, gdybyś chciała trochę poćwiczyć – stara instruktorka wskazała na łąkę. – Na koszt firmy.

– Przepraszam, jeśli przerywam to wzruszające spotkanie po latach. – Adam wetknął rękę między dwie kobiety i poirytowany zaczął nią wymachiwać. – Jestem tu, żeby odebrać chłopca, który, jak do niedawna sądziłem, pływa gdzieś na dnie zatoki Edsviken i którego matka leży nieprzytomna na OIOM-ie. Jeśli się obudzi, dopilnuję, żeby trafiła za kratki, przynajmniej dopóki Alex nie będzie pełnoletni. W każdym razie chłopiec jest w zasadzie sierotą, więc może odłożmy rozmowy na później?

– Alex siedzi w siodlarni i je chleb z serem. Znalazłam go dziś rano, gdy szłam karmić konie. Wydaje mi się, że pogodził się już z tym, że jego mama w pewien sposób zniknęła. Nie miała

już dla niego czasu, tak mi powiedział.

– Rozmawiał z panią?

– Spędziliśmy dziś rano razem dłuższą chwilę. Dobrze się czuje w stajni. Konie to chyba jego pasja. Jeśli dobrze rozumiałam, matka wyrzuciła go z samochodu niedaleko uniwersytetu. Stamtąd dotarł tu na piechotę. Dodam tylko, że szedł po torach.

Wskazała na nasyp kolejowy graniczący z łąką. Adam i Sophia odwrócili się i spojrzeli w tamtym kierunku. Poczuli zapach ciepłych końskich odchodów i torfu.

– Mógł wpaść pod pociąg, ale bardzo chciał dotrzeć do stajni, w której mieszka jakiś Felix. Pamiętał, że jeździł tam pociągiem, więc postanowił iść torami tak długo, aż rozpozna okolicę. Zamiast tego wylądował u mnie. W innej stajni, pierwszej, która znajdowała się po drodze, z innymi końmi, ale ponieważ był zmęczony, postanowił zostać. Spał na stogu siana, nocami schodził do kuchni i wcinał jedzenie po kryjomu.

– Jak on się czuje?

– Fizycznie chyba dobrze. Jak mówiłam, ma apetyt. A poza tym? Cóż, skąd mogę wiedzieć? Wydaje mi się że dość dobrze.

– Nawet jeśli, ten stan prawdopodobnie szybko minie. Pewnie poczuje się dużo gorzej po rozmowie z nami. Niestety nie mamy dla niego dobrych wieści. Idziesz, Sophia? Chciałabym, żebyś była obecna podczas naszej rozmowy. Będą przynajmniej dwie osoby, które choć trochę zna.

– Jak chcesz, mogę to zrobić sama. – Sophia zwróciła się do Ewy: – Miałabyś coś przeciwko, gdybym pożyczyła twojego najładniejszego kucyka? Wydaje mi się, że wolałby teraz takie towarzystwo, kogoś, na kim mógłby jechać stępem, a ja mogę iść obok.

– Jasne. Zaraz przyprowadzę Dove. Naszego psychologa, kuca gotlandzkiego.

Zadzwonił telefon Adama. Ten spojrzął na wyświetlacz i podniósł rękę.

– Poczekaj!

Obie kobiety patrzyły na Adama, który wsłuchiwał się w głos rozmówcy. Powoli opuścił aparat, a na jego czole, między

gęstymi brwiami, pojawiła się głęboka zmarszczka. Rozłączył się i odwrócił do Sophii.

– Linda Medner nie żyje. Operowali ją, ale bez powodzenia. Zmarła przed chwilą. – Adam bezsilnie opuścił dłonie po bokach i spojrzał w niebo.

W oddali grupa koni gwałtownie bryknęła na łące. W tej samej chwili zarzuciły grzywami i pogalopowały spłoszone. Potem zwolniły, zaczęły dreptać po trawie, pochyliły łby i zabrały się do jedzenia. O ścianę stajni stała oparta taczka, wysokie na cztery metry drzwi wychodzące na uprzątnięty wybieg były otwarte. W powietrzu roiło się od much i gzów.

Adam zaczął płakać.

– Kurwa mać!

– To gdzie jest ten Dove? – Sophia wzięła Evę pod rękę. – Jak już mówiłam, chciałabym porozmawiać przez chwilę z Alexem, jeśli nie macie nic przeciwko. Jest kilka rzeczy, które musimy omówić. Pewien mądry człowiek powiedział mi jakiś czas temu, że powinnam rozmawiać z nim jak z dorosłym. Teraz chyba na to zasłużył.

Nie wiedzieć czemu Sophia myślała, że ciało Lindy leży nagie w szufladzie, którą wsuwa się do chłodni w kostnicy. Że Linda ma karteczkę przyczepioną gumką do dużego palca stopy – że tak właśnie będzie wyglądać, kiedy Alex przyjdzie ostatecznie pożegnać się z matką.

Kiedy zapytał, czy może jechać do mamy, Sophia zadzwoniła najpierw do szpitala, żeby porozmawiać z lekarzem upoważnionym do wydawania takich decyzji. Nie udało się, ale jakaś pielęgniarka zapewniła ją, że nie ma przeciwwskazań, by pojawić się z siedmiolatką. Personel robi przecież wszystko, co w ich mocy, by taka sytuacja przebiegła jak najmniej boleśnie. Alex nie był pierwszym chłopcem, który żegnał się z rodzicami.

Linda leżała na czymś, co przypominało normalne łóżko. Miała na sobie białą koszulę nocną z długim rękawem i była przykryta białym prześcieradłem. Ramiona leżały na prześcieradle, a czaszkę zasłaniał opatrunek. Niedaleko łóżka znajdował się stolik z okrągłą świeczką oraz dwa krzesła, na

których mogli usiąść. Okrągłe okna były zasłonięte i oprócz świeczki paliła się słaba lampa sufitowa. W pokoju było chłodno.

Ale nie zimniej niż w piwnicy, pomyślała Sophia i chwyciła Alexa za rękę, głównie dlatego, że sama się bała. Trzymał ją przez chwilę, lecz puścił, gdy podeszli do łóżka.

Linda miała na czole ranę, widoczną jedynie w miejscu, gdzie kończył się bandaż. Alex przesunął po niej palcem. Jego mama była mocno poobijana. To było widać na pierwszy rzut oka, chociaż Sophia sądziła, że najgorsze obrażenia znajdują się pod opatrunkiem.

– Martwym ludziom nie leci krew, wiedziała pani o tym? – Spojrzał na Sophię i ciągnął dalej: – Musiała mocno się potłuc, jeśli skoczyła z tak wysoka, jak mi pani opowiadała. Myśli pani, że to bolało?

Sophia nie wiedziała, co odpowiedzieć. Nie wiedziała nawet, czy w ogóle powinna coś mówić.

– Mhm. Pewnie bardzo bolało.

– Pracuje pani dla mnie, tak?

– Tak. – Sophia usiadła na krześle. Płomień świeczki zadrżał od jej nagłych ruchów. – Tak, pracuję dla ciebie. Wiem, że nie wyszło zbyt dobrze, ale tak, pracuję dla ciebie. Szkoda, że nie poradziłam sobie lepiej z tą sprawą.

– To nie pani wina. Mama chciała zrobić to, co zaplanowała. Zawsze robiła to, co chciała, zwłaszcza kiedy ktoś próbował decydować za nią.

Alex znów chwycił ją za rękę. Był spocony i miał czerwone strupy na prawie każdym palcu. Patrzył dalej na swoją martwą matkę.

– Co się teraz stanie? Będę miał nową mamę?

– Mam nadzieję. – Sophia kilka razy przełknęła ślinę. – Mam nadzieję, że znajdziesz kogoś, kto będzie dla ciebie dobry.

Mam nadzieję, że znajdziesz kogoś, kto cię zechce, pomyślała. To wcale nie będzie łatwe. Jesteś za duży i nie jesteś dziewczynką. W zasadzie masz nawet nieodpowiedni kolor włosów.

– W każdym razie postaram się dopilnować, abyś mieszkał z

dobrą rodziną.

– Chcę mieszkać u Felixa.

Alex poprawił Lindzie prześcieradło.

– Mhm. Wiem.

Nie było sensu kłamać. Przede wszystkim nie powinna go teraz zwodzić. Nigdy nie okłamywała swoich klientów, niezależnie od tego, jak przykra była prawda. To była dobra zasada, może najlepsza, jaką się kierowała.

– Ale nie możesz, zrozum. Per i Lena opiekują się dziećmi tylko od czasu do czasu. Nikt nie może u nich zostać całe życie.

Alex przytaknął skinieniem głowy. Przygryzł dolną wargę, potarł dłonie.

– Ale postaram się, żebyś mógł tam mieszkać, dopóki nie znajdziemy kogoś na stałe.

– Zrobi to pani dla mnie?

Do oczu Alexa napłynęły łzy.

– Tak, to jest moja praca.

Alex wydał z siebie cichy jęk. Chwycił się rękami za brzuch. Trząsał się od płaczu.

– Nie chcę tego.

Sophia przysunęła się bliżej i przyciągnęła go do siebie. Pod bawełnianą koszulką wyczuła jego kręgosłup, jego oddech palił ją w szyję.

Zdawało się, że jest dużo młodszy, może nawet mały jak noworodek, uniosła go i położyła sobie na kolanach. Jego głowa spoczywała na jej jednej ręce, a drugą Sophia podpierała mu kolana. Przytulił się do niej. Wstała, trzymając go w ramionach, następnie pchnęła drzwi i wyszła na korytarz.

– Myśli pani, że ktoś opiekuje się teraz mamą?

– Możliwe.

Miał takie miękkie i ciężkie ciało. Wydawało się, że śpi.

Linda Medner Andersson nie wyglądała, jakby zasnęła w spokoju. Jej śmierć z pewnością była gwałtowna.

– Możemy mieć taką nadzieję – skłamała.

– DZIEŃ DOBRY. Przepraszam, że dzwonię o tej porze. Mówi Veronica Svensson z „Expressen”.

– Dzień dobry. – Sophia nie potrafiła ukryć zaskoczenia.

– Nie przeszkadzam? Chciałam spytać, czy znalazłaby pani czas, by chwilę porozmawiać?

– Tak.

– Przede wszystkim chcę powiedzieć, że to wspaniale, że udało się pani poukładać sprawy Alexa. Chciałabym zrobić dłuższy i bardziej szczegółowy reportaż. Nie jest jeszcze pewne, czy faktycznie zdecydują się wszystko wydrukować, w każdym razie chciałabym spróbować. Naprawdę zależy mi, by opisać dalszy ciąg tej historii. Wydaje mi się, że warto.

– Jaki dalszy ciąg? Chcecie ustawić reklamy na mieście i przez dwa tygodnie pisać dziewięć artykułów na pierwszą stronę o tym, że Alex jest całkowicie niewinny i został pomówiony przez swoją podłą matkę?

– Wie pani, że tego nie zrobimy. I wie pani również, dlaczego. Ale gdyby to pani mogła zdecydować, to chciałaby pani, żebym o czym napisała? Czy jest coś, co mogłoby pomóc Alexowi?

– Pomóc Alexowi?

– Tak, lub przynajmniej innym dzieciom w podobnej sytuacji.

– Proszę napisać, że opieka społeczna zastanawia się, czy przenieść Alexa z jego starej szkoły, żeby koledzy nie nazywali go mordercą. Byłoby dobrze, gdyby ich rodzice dowiedzieli się, że jest niewinny. Że nikogo nie zabił i w miarę możliwości potrzebuje teraz wrócić do swoich starych, codziennych zajęć. Gdyby mogła go pani przedstawić jako miłego, jasnowłosego chłopca, byłoby jeszcze lepiej. Nie zamierzam prosić o wymyślanie nowej tożsamości. Uważam, że nie powinien wstydzić się tego, kim jest. Nie zrobił przecież nic złego. Proszę napisać, że nie ma rodzin zastępczych dla dzieci ze skłonnościami do agresji. Alex przebywa teraz we właściwym miejscu, ale może będzie potrzebował innego domu. Nie jestem nawet pewna, czy uda nam się coś dla niego znaleźć. Mamę i

tatę, na przykład. My wszyscy, policja, prokurator, opieka społeczna, nawet ja, zawiedliśmy Alexa. Niby zrobiliśmy wszystko, co do nas należało, wszystko, co było w naszej mocy, a jednak coś poszło nie tak. Alex był bity i wykorzystywany przez swoją matkę, był świadkiem śmierci ojca i musiał wyprowadzić się z domu. Jego historia została opisana w mediach i mimo że nie opublikowaliście jego imienia i nazwiska, wszyscy, których znał, wiedzieli, że chodzi o niego. Jedyną dobrą rzeczą, jaka go spotkała, to samobójstwo matki. Można powiedzieć, że w loterii życia wyciągnął pusty los. Zawiedliśmy Alexa, wszyscy go zawiedliśmy. Nie możemy zapobiec kolejnym takim wypadkom. Bo niby jak? Czy lepiej byłoby odebrać dziecko rodzicom? Nie sądzę. Przesadna reakcja może być gorsza niż brak odpowiedniej reakcji. Musimy nauczyć się żyć z tym, że nie jesteśmy w stanie uratować lub ukarać wszystkich. Nawet jeśli w grę wchodzi dziecko. Ale nigdy nie powinniśmy się poddawać. Wymiar sprawiedliwości nie zawsze bywa sprawiedliwy, nawet dla dzieci.

– Nie wierzy pani w to, że można pomóc dzieciom w ciężkiej sytuacji?

– Ależ jestem o tym przekonana. I ludzie robią to cały czas. Pomagają poprawić życie dzieci, które nie mają tyle szczęścia co inne. I robią to, nie otrzymując nic w zamian, czasem nie mając nawet pewności, że to tym dzieciom faktycznie pomoże. Nie jesteśmy tylko cynikami. Wśród nas zdarzają się także romantycy.

– Czy mogę zacytować panią w artykule?

– Oczywiście.

– Świetnie. Myślę, że mam wszystko, czego potrzebuję.

DWA TYGODNIE PO POGRZEBIE ojca Alexa Anderssona i niecały tydzień po pogrzebie Lindy Medner Andersson odbyło się ostatnie przesłuchanie. Lena przywiozła chłopca do

placówki w Norrort. Mieszkał u niej i Pera. Alex miał na sobie strój do jazdy konnej.

Lena czekała w kuchni. Sophia, Lisa i Marie Olsson siedziały w pokoju obok i śledziły przebieg przesłuchania na ekranach telewizyjnych.

Alex zaczął opowiadać.

„Tata przyjechał do domu na Midsommar. Mama kupiła wcześniej jakiś dobry alkohol, tacie podobała się ta butelka. Na początku był zadowolony. Obejmowali się, ale potem zaczęli wrzeszczeć.

Tata uderzał od czasu do czasu, głównie biła mama, ale nie lała się krew. Ale i tak było strasznie, zawsze bardzo się bałem, bo tata był potwornie silny. Był chyba najsilniejszą osobą, jaką znałem.

Rodzice krzyczeli, a ja schowałem się w łazience, ale wyszedłem, zanim tata upadł. Krzyczałem, żeby przestali, ale nie słuchali. Mama go popchnęła, a nie wolno się przecież popychać. Usiadła mu na plecach i wbiła nóż, dwa razy. Cały nóż, tak że prawie zniknął. Próbowałem zamknąć oczy, bo nie chciałem na to patrzeć, ale i tak wiedziałem, co się dzieje. Oczy same patrzyły, chociaż nie chciałem.

Mama poszłaby do więzienia, gdybym jej nie pomógł. To wszystko moja wina. To ja poprosiłem ją, żeby zadzwoniła do taty, chociaż dobrze wiedziałem, że tata może się zdenerwować, zwłaszcza jak jest święto.

Policja zamknęłaby mamę, a ja trafiłbym do domu dziecka albo do złych ludzi, bo tak się stało z mamą. Wiedziała, jak to jest. Mama dobrze to wiedziała.

Ale i tak było mi ciężko. Nie umiałem być taki jak inne dzieci, bo wszystko było inaczej. Mama była zła, kiedy skaleczyłem się w rękę, bo nie byłem jak inne dzieci.

Mama wpadła wtedy w taki szal, jak czasami jej się zdarzało. Mimo że mówiłem kilka razy, że to moja wina. Moja wina, chociaż to nie ja wbiłem mu nóż w plecy.

Musiałem siedzieć z tyłu, gdy jechaliśmy. Mama znalazła jakiś samochód, cudzy, ale zbiła mnie po buzi, gdy powiedziałem, że nie chcę jechać. Zatrzymała się na przystanku

i powiedziała, że mam wysiadać, bo nie chce mnie więcej widzieć. Że mnie nienawidzi i że zrujnowałem jej życie. Nie pierwszy raz tak mówiła, ale na pewno ostatni, bo później umarła”.

– Czy moja mama była zła?

Alex podkurczył nogi na krześle. Adam był opalony po powrocie z rodzinnego urlopu w Chorwacji.

– Oj, to bardzo trudne pytanie. Ale myślę, że w pewnym sensie była, bo zachowała się wobec ciebie niemądrze, a to było złe. Ale może robiła te głupoty, bo wcześniej inni wyrządzili jej wiele krzywd. Ale pewnie robiła też dobre rzeczy. Może była dobra i zła?

– Czy ja też będę zły? Bo ona była dla mnie niedobra i ze mną będzie tak samo?

– Nie sądzę. Wszyscy robią w życiu jakieś głupstwa, chodzi o to, żeby... myślę, że jesteś wspaniałym chłopcem. Jesteś mądry i byłeś bardzo dobry dla mamy. Staraleś się być dla niej dobry nawet wtedy, gdy ona robiła te wszystkie głupie rzeczy. Nie, w zasadzie to myślę, że zawsze będziesz takim miłym chłopcem. I słyszałem, że świetnie idzie ci jazda konna.

Alex uśmiechnął się.

– Mhm.

– Wiesz co... chyba nie mam już więcej pytań. Byłeś bardzo dzielny, że mi to wszystko opowiedziałeś, a teraz porozmawiasz jeszcze chwilę z Ulfem. Wiesz, tym psychiatrą, którego już wcześniej poznałeś. Opowiesz mu, co się stało, i wszystko będzie dobrze. Na pewno poczujesz się lepiej. Wiele osób próbuje ci pomóc i im więcej będziesz z nimi rozmawiał, tym będzie ci łatwiej.

– A kto to jest psy-cha-tra?

– To ktoś, z kim można porozmawiać, jeśli czujesz się źle lub jak przydarzy ci się coś smutnego. Taki lekarz, leczący rany, z których nie płynie krew, a mimo to sprawiają ból... a właśnie... mam coś dla ciebie.

Adam wyjął z lewej kieszeni wizytówkę i podał ją Alexowi.

– Tu masz mój numer telefonu. I jeśli jest coś jeszcze, co chciałbyś mi powiedzieć o tej sprawie lub o czymkolwiek

innym, możesz do mnie zadzwonić. Nie musisz o tym nikomu mówić, jeśli nie chcesz, możesz po prostu zadzwonić, kiedy będziesz chciał.

Alex spojrział na wizytówkę i obrócił ją kilka razy w palcach.

– Chyba niewiele dzieci dostaje pana numer, prawda?

Jest ich zdecydowanie za dużo, pomyślał Adam.
Zdecydowanie.

– Masz rację, chłopie. Ale ty dostałeś moją wizytówkę, a gdybyś ją zgubił, dam ci nową, jak będziesz chciał.

48

– ZATRZYMAJĄ GO NA JESZCZE TROCHE, ale nie może zostać u Leny i Pera na dłużej. Lato wkrótce się skończy i musimy znaleźć rodzinę, u której mógłby zamieszkać. Najlepiej byłoby, gdybyśmy już teraz mogli zacząć ich wdrażać.

Dyskutowali przez kilka godzin i nic nie wymyślili. Lisa zakreśliła długopisem, który trzymała w dłoni, i mówiła dalej.

– Per i Lena nie są dla Alexa żadnym rozwiązaniem. To dobrzy ludzie, zadeklarowali nawet, że chętnie się nim zajmą, ale Alex potrzebuje rodziny, w której będzie jedynym dzieckiem. Ludzi, którzy na poważnie zaangażują się w rodzicielstwo. Dorastanie w takim środowisku, z innymi dziećmiakami po przejściach, nie jest w jego przypadku wskazane. Chciałabym znaleźć kogoś, kto będzie gotowy go adoptować. Mamę i tatę. Rodziców, którzy będą go chcieli. Musimy zastanowić się nad ostatecznym rozwiązaniem. Naprawdę zależy mi na uniknięciu sytuacji, w której Alex przekazywany będzie z jednej rodziny zastępczej do drugiej.

Westchnęły jednocześnie.

– Najlepiej byłoby, gdyby znaleźli się jacyś krewni, którym można byłoby powierzyć opiekę, ale nic z tego.

– Co się w zasadzie robi w takich sytuacjach?

Sophia była zmęczona. Pracowała dużo więcej, niż planowała. W poniedziałek miała ruszyć w rejs, czas urlopów dobiegał już końca. Wszyscy oprócz niej zaliczyli już wakacje.

Adam zniknął i pojawiał się z powrotem, ale w zasadzie nie rozmawiali od czasu, gdy Sophia zabrała Alexa do szpitala, żeby pożegnał się z matką. W każdym razie nie poważnie.

Sophia tego nie chciała. Adam wydzwaniał do niej na komórkę, przychodził do kancelarii i pytał o nią, a później znów dzwonił, ale nie chciała z nim rozmawiać. Nie chciała wysłuchiwać, że żałuje tego, co się stało. Po prostu nie chciała, by tego żałował.

Peter również pojechał na wakacje. Wcześniej, jak na kulturalnych ludzi przystało, zjedli kolację w eleganckiej restauracji z obrusami na stołach i srebrnymi sztućcami. Opowiadał, że jedzie do Hiszpanii na cały miesiąc, będzie grał w golfa i odpoczywał. Obiecał, że zabierze swoje rzeczy z jej mieszkania, jak tylko dostanie klucze do swojego M3.

Sophia chciała jechać na żagle na dwa tygodnie. Nie mogła się już tego doczekać. Tylko ona i pilot automatyczny, pełna torba jedzenia, mydło z solą morską i brak z góry ustalonego kursu. Planowała spać na pokładzie, słuchać jedyńki, dopóki będzie odbierała szwedzkie programy radiowe, oraz objadać się kupionymi już luksusowymi półproduktami tak długo, jak będą się nadawały do spożycia.

– Czasami dorosli z otoczenia dziecka wiedzą, z kim ono ma bliższą więź. Kto angażuje się w jego sprawy i wychowanie. Najczęściej jest to jakiś krewny, ale jak wiecie...

– Ktoś, kto byłby dobrą matką.

Sophia parsknęła śmiechem. No jasne! Zachichotała. Jak się nad tym zastanowić, sprawa była prosta.

– Czujesz, że budzi się w tobie instynkt macierzyński? – Lisa uśmiechnęła się szeroko, ale pokręciła głową. – Przykro mi, ale nie sądzę, żebyś była dla Alexa dobrą matką. Nie bierz sobie tego do serca, ale za dużo pracujesz. Poza tym istnieje pewnie etyka zawodowa, która zabrania adwokatom adoptowania swoich klientów.

Sophia pokręciła głową. To przecież oczywiste, że też wcześniej o tym nie pomyślała!

– Zwariowałaś! Nie zamierzam mieć dzieci. Nigdy! Zupełnie się na tym nie znam, a jednak wiem, kto powinien się zająć

Alexem. Wiem, kto zrobi dla niego wszystko. Kto będzie jak jego prawdziwa mama. To znaczy będzie taki, jak jego matka powinna była być.

NAUCZYCIELKA NAUCZANIA POCZĄTKOWEGO Karin Lidstrand nigdy nie miała dość odwagi, żeby wierzyć w Boga. Za bardzo się obawiała, że będzie zawiedziona, gdy umrze i okaże się, że po śmierci nic nie ma.

Jednak było coś, na co skrycie liczyła, mianowicie miała nadzieję, że po śmierci przestanie tęsknić za tymi, których kochała.

To byłoby wspaniałe królestwo niebieskie – takie, w którym można uciec od tęsknoty.

Było wpół do czwartej nad ranem. Cyfry na elektronicznym budziku świeciły. Za oknami było ciemno. Na początku leżała nieruchomo i próbowała utrzymać ten stan. Czasem udawało jej się przetrwać kilka sekund na granicy snu i rzeczywistości.

Nie chodziło o to, że wydawało jej się, że Olle wciąż żyje. Wiedziała, że zmarł, ale sen o nim był jedynym momentem, kiedy to w pewnym sensie wciąż czuła jego obecność. Robił wtedy rzeczy, których nigdy wcześniej nie widziała. Sen nie ograniczał się do wspomnień.

Wiedziała, że to nieprawda, ale przez kilka sekund, gdy gładziła go po policzku, znów mogła poczuć pod opuszkami palców ten aksamit. Czuła jego oddech na szyi.

To wszystko zniknęło na chwilę przed otwarciem oczu. Już nie był szczęśliwy i zdrowy. Już nie trzymał jej za rękę. Nie szli nową, nieznaną drogą. Nie bawił się nową zabawką i nie wymyślał nowych zasad gry, w której ona tak naprawdę nigdy nie chciała wygrać.

Karin zamknęła oczy. Bolało ją biodro, więc położyła kolano na nodze Björna. Wiedziała, że powinna jeszcze zasnąć na kilka godzin. Szumiało jej w głowie, prześcieradło owinęło się jej wokół nogi. Próbowwała się uwolnić i uderzyła piętą w udo

Björna.

– Śpij jeszcze.

Objął ją ramieniem i przyciągnął do siebie. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie powinna wstać i wziąć tabletki na sen, ale zdawała sobie sprawę, że to nie jest rozwiązanie. O tej porze jedynie bliskość Björna pozwalała jej ponownie zasnąć, jego ciepło, jego ciało.

Psycholog, do którego się zgłosili po śmierci Ollego, powiedział im, że po takim zdarzeniu pary często się rozstają lub jeszcze bardziej zbliżają do siebie.

Przez dłuższy czas Karin sądziła, że ona i Björn należą do tej osobliwej trzeciej grupy. Ludzi, którzy stają się sobie obcy, a jednocześnie nie potrafią od siebie odejść.

Gdy umarł Olle, wszystko się posypało. Jakby się nie znali. Nie potrafili się całować, nie rozmawiali ani się nie obejmowali.

W nocy, kiedy umarł Olle, Karin siedziała przy jego łóżku i gładziła go po czole, aż zobaczyła, jak ulatuje z niego ciepło. Ale w ogóle nie dotykała Björna, ani razu. Siedział obok nich z pochyloną głową i zaciśniętymi pięściami. Nie można było go dotknąć, nie umiała się do niego zbliżyć.

Sytuacja wyglądała tak przez kilka miesięcy, ale pewnego dnia Karin wróciła wcześniej z pracy i zastała Björna w pokoju Ollego. Leżał pod kołdrą w czerwone ciężarówce i strasznie zawodził. Płakał tak potwornie, że nie była w stanie rozpoznać żadnych dźwięków, tak głośno, że nie słyszał, gdy weszła. Nie brzmiało to już nawet jak zawodzenie człowieka. W tym, co czuła, nie było zresztą nic ludzkiego. A ona patrzyła na niego, lecz nie potrafiła wykrztusić z siebie ani słowa, tylko ruszyła do samochodu, aby wrócić do szkoły. Jednak po jakimś czasie musiała zatrzymać się na autostradzie. Zjechała do zatoczki, położyła ręce na kierownicy i zaczęła krzyczeć tak głośno, że obudziła kierowcę zaparkowanej obok ciężarówce.

– Mój syn nie żyje! – wrzeszczała.

Kierowca, który podszedł do jej auta, by sprawdzić, czy nie trzeba jej pomóc, uciekł do swojej ciężarówce i szybko odjechał. Karin wydawało się, jakby przesiedziała w środku kilka godzin. Następnie wróciła do domu, do męża i na nowo pościelonego

łóżka zmarłego syna.

Nigdy nie opowiadała o tym Björnowi, ale po tym dniu czuła się już mniej samotna. Po raz pierwszy od czasu śmierci Ollego udało jej się spojrzeć mu prosto w oczy i zaproponowała, że może powinni z kimś porozmawiać. Z kimś, kto będzie potrafił ich wysłuchać. Björn się zgodził.

Na początku wszystko wskazywało na to, że się rozstaną. Ich życie się skończyło i nie miało najmniejszego znaczenia, czy ona i Björn będą jeszcze razem. Najważniejsze było, żeby nie sprzedawać domu, żeby przypadkiem nie musiała ściągać pościeli z łóżka Ollego.

Trwało to dość długo. Czasami zdawało się, jakby dopiero się wydarzyło. Ale mimo to dotarło do niej, że potrzebuje swojego męża. Nie tylko jako ujścia dla własnego bólu, ale również na co dzień, ponieważ oprócz tego, że Björn kochał Ollego równie mocno, był też jedyną osobą, która cierpiała jak ona. Potrzebowała bliskości kogoś, kto wiedział, że ona cały czas myśli o Ollem, kto nie będzie jej mówił, że powinna pójść na jakiś kurs, spotkać się ze znajomymi, postarać się o kolejne dziecko albo przynajmniej kupić psa.

– Śpij, kochanie.

– Nie mogę.

– Śniło ci się coś? – Oparł się na ramieniu i zaczął mrugać oczami, żeby się rozbudzić. – Chcesz porozmawiać?

– Nie, chyba nic mi się nie śniło, w każdym razie nie był to koszmar. Ale skontaktowała się ze mną pracownica pomocy społecznej, która zajmuje się Alexem.

– Ty i ten twój Alex. – Björn opadł na poduszkę i zamknął oczy. – Co z nim?

– Lisa chciała mnie zapytać o jedną rzecz, o której oboje powinniśmy porozmawiać, ty i ja. Na spokojnie. Ponieważ późno wróciłeś do domu, pomyślałam, że z tym poczekam, ale nie mogę zasnąć.

Björn usiadł.

– O co chciała zapytać?

Karin chrząknęła i zaczęła opowiadać.

Björn słuchał, potem odpowiadał na jej pytania. Później

oboje wybuchnęli płaczem. Wciąż dyskutowali, gdy do środka wpadło światło, przedzierając się przez zasłony. Na zewnątrz panował już dzień, gdy się kładli, żeby ponownie zasnąć, a Björn przyciągnął Karin do siebie. Pocałował ją w ucho i przyłożył usta do wgłębienia między jej szyją a obojczykiem.

Obróciła się w jego ramionach, przysunęła się do niego i go objęła. Leżeli przytuleni.

Zamknęła oczy i czekała, aż ogarnie ją sen.

Wkrótce znów będą rodzicami, ona i jej Björn. Olle byłby starszym bratem. Na pewno by mu się to spodobało.

50

SOPHIA CZĘSTO NIE UMIAŁA odpuścić, rozgrzebywała rzeczy, z którymi nie potrafiła sobie poradzić. Samotne wyprawy żaglówką dodatkowo pogarszały sprawę. Jej umysł przypominał teraz żółtego walkmana, którego miała od liceum. W środku była kasetą z nagraniem ulubioną piosenką, dwadzieścia razy z rzędu, na dwóch stronach.

Przez cały czas myślała o jednym.

Wypowiedziała to nawet na głos prosto w opustoszałe wrześnie szkiery, niedaleko Kallskär, gdzie zacumowała, żeby przenocować. Nikt nie odpowiedział, a ona zjadła smażone na maśle gołąbki z chrupkim pieczywem. Grzyby znalazła, kiedy weszła na górkę w poszukiwaniu malin moroszek.

Następnej nocy była na Håkansskär. Czowała wieczorną bryzę, widziała orła bielika i czujnego kormorana, który podsłuchiwał ją, gdy próbowała przekonać samą siebie do zrobienia tego, co właściwe. Co rano upominała się tymi samymi słowami: nie myśl o nim, to się nigdy nie wydarzy. Ale za każdym razem było za późno. Myśl już się pojawiła i nie zamierzała odpuszczać.

Dzisiaj pomyślała, czego chciałaby w zamian – odniosło lepszy skutek.

Przynajmniej umysł miała spokojniejszy.

Przez ponad godzinę w ogóle nie było widać łądu. Sophia

włączyła autopilota i położyła się na dziobie. Słaby wiatr z zachodu, który towarzyszył jej od trzech dni, kiedy opuściła port na Gräddö, ustał. Czekala teraz na mocniejszy wiatr i wsłuchiwała się w wodę pluskającą figlarnie pod mieczem żagłówki.

Nie widziała żadnych promów, żadnych statków przewożących drewno lub nieopłacalną masę drzewną. O tej porze nie było już turystów, została sama. Nic nie mogło się wydarzyć, błękitne niebo przypięte było do jeszcze bardziej niebieskiego morza, zamknięte w owalnej nieskończoności.

Może to nie jest pełnia szczęścia, pomyślała i zmrużyła oczy, patrząc w słońce, które wciąż grzało. Ale jej to wystarczało.

Odpłynęła. Przez chwilę nawet śniła. Był to sen o innym dziecku, innym dzieciństwie, wypełnionym soczystymi poziomkami na żdźbłach trawy, o które można było sobie przeciąć wargi. O dziewczynce, która szło boso po igliwiu i mchu, klóciła się z kolegami w przedszkolu, której płynęła krew z nosa i która sama wymyślała zabawki. Pewnego dnia najadła się czereśni i nazajutrz była chora, a trzeciego dnia spadła z rowerka, podążając w nikomu nieznanym kierunku.

Dziewczynka z poobijanymi kolanami i różową skórą pod strupami, która nigdy nie przewracała się sama. Nie musiała myśleć o szczęściu i nigdy sama nie przygotowywała sobie kanapek.

Dziewczynka miała dziadka, który parzył kawę z prawdziwych ziaren, palił je na palniku kuchenki gazowej i mielił w drewnianym młynku. Na śniadanie jadła maślanek z płatkami w cieście, od których kręciło ją w nosie, piła rozcieńczony sok jabłkowy i wcinała chleb ze słonym masłem i serem. Masło było zbyt zimne, by je równo rozsmarować, i na środku kanapki robiły się grudki. Plastry sera były grube, do krojenia nie używano nigdy łopatk. Dziadek składał kanapkę na pół, gryzła gdzieś pośrodku i przeżuwała w buzi grudkę masła, dopóki nie stała się miękka. Babcia była najpiękniejsza na świecie, malowała się różową szminką i jasnym pudrem, wypijała filizankę czarnej jak smoła kawy, stojąc w drzwiach, a następnie biegła do autobusu.

We śnie Sophia skoczyła z zielonej skały pokrytej śliskimi algami prosto na meduzę, która przyczepiła się do jej kostiumu. Babcia smarowała poparzenia kwaśną śmietaną, żeby złagodzić ból, a Sophia z trudem poruszała wargami, bo były całe sine z zimna.

– Chyba już ci wystarczy – mówiła wtedy babcia. – Nie możesz się więcej kąpać, dopóki się nie zagrzejesz.

Gdy zapadał wieczór, babcia zajmowała się sieciami. Siadała wtedy na skale i czekała, ssała sznurek kapoka, a ciepło opuszczało szary kamień i znikało nad zatoką. Dłonie babci świeciły od rtęci i ciemnoczerwonej krwi ryb. Zimno zakradało się od tyłu, od zbliżającej się nocy, jesieni i dorosłości.

Sophia znowu się obudziła.

Z braku wiatru żagiel to się wybrzuszał, to robił wklęsły. Spojrzała w dal na horyzont. Wkrótce nadejdzie wieczorna bryza.

Kurs ustawiony był na Kobbaklinter i latarnię morską w Marhällan. Może powinna przenocować w porcie Rödhamn. Zaczynało się ściemniać. Gdyby zdążyła, zanim widoczność całkiem się pogorszy, powinna podpłynąć jeszcze kawałek i położyć się na jednej z wysp na północ od portu, tej z zatoczką, która zawsze dawała osłonę od wiatru.

Jutro miała być w porcie Mariehamn. Prom dziadka przyplýwał w porze obiadowej. Anna miała załatwić bilety i dopilnować, żeby wszedł na pokład.

Coraz trudniej było jej leżeć na pokładzie bez poduszki. Przekręciła się na bok, próbując znaleźć lepszą pozycję, i wtedy poczuła w kieszeni telefon. Powinien leżeć pod pokładem, pomyślała, wstała i wyjęła go ze spodni. Zaskoczona spostrzegła, że ma zasięg.

Nie wiedząc dokładnie, co chce właściwie powiedzieć, wstukała numer dziadka i zadzwoniła. Gdy czekała na sygnał, ponownie pomyślała o tym żonatym mężczyźnie, który nigdy nie będzie jej.

– Może będę sama do końca życia. – Sophia zmrużyła oczy, patrząc w stronę zachodzącego słońca. – Ale przecież nie jestem sama, bo kocham ciebie, dziadku. Kocham cię całego.

Maj 2010

TO BYŁ JEDEN Z LEPSZYCH DNI. Alex miał na sobie nowe buty do jazdy konnej. Żmije wypełzały na wieczorne słońce i wolał te buty niż zwykle gumowe kalosze.

Nie miało znaczenia, jak bardzo były zabłocone. Stawiał je przy łóżku, kiedy szedł spać, i wkładał je na gołe stopy, do piżamy, gdy jadł śniadanie. Za każdym razem gdy wracał ze stajni, czyścił je bardzo dokładnie. Na podszewce napisał pionowo swoje imię, a poziomo imię Felixa. Imiona układały się w lustrzane odbicie L i miały wspólną ostatnią literę.

Poprzedniego wieczora Alex nie mógł zasnąć. W nocy znów zmoczył łóżko, ale przyszedł do sypialni Karin i Björna, chwilę popłakał i zasnął ponownie. Spał długo, spocony i z rękoma i nogami rozrzuconymi na boki.

Alex miał szczęście, jak stwierdził jego psycholog, ponieważ Karin i Björn byli w stanie go wysłuchać. Usłyszeli całą historię. To się rzadko zdarza.

Dzieci nieczęsto relacjonują najbardziej traumatyczne przeżycia, ponieważ dorośli nie mogą znieść tego, przez co przeszły. Nie chcą słuchać. Jeśli dorosły boi się tego, co usłyszy, dziecko szybko zauważa, że jego życie naprawdę musi być straszne. A co, jeśli te wszystkie okropne przeżycia są zaraźliwe? Bo to jest przecież rzeczywistość, a nie jakieś zwykłe opowiadanie z rozdziałami równej długości.

Alex mógł jednak wszystko powiedzieć Karin i Björnowi. Żył, im to wystarczyło. Dni, kiedy Alex robił się nerwowy, zdarzały się coraz rzadziej. Przynajmniej tak im się wydawało.

Teraz miał iść na ryby. Okonie brały najlepiej po zmroku. Björn i Alex mieli pójść nad jezioro. W zasadzie nie było daleko, ale też się nie spieszyli. Największe ryby dopiero czekały, żeby je złapać. Wędkarz zawsze najbardziej cieszy się w drodze do łodzi. Alex biegł półtora metra przed lub za Björnem, wymachując wędką w powietrzu. Poziom wody był wysoki. Lato już prawie nadeszło.

Ojciec, którego Alex dotąd nie miał, wyciągnął rękę i przygarnął go do siebie.

– Mój mały brzdącu – powiedział, bardziej do samego siebie. Alex usłyszał go, pozwolił, by duża dłoń chwyciła jego małą rączkę.

Mój tata, pomyślał i się zaśmiał. Jego szczery szczebiot najpierw zrobił się głośniejszy, potem przycichł, a za chwilę dał się słyszeć no nowo.

Dwaj chłopcy dotarli na miejsce. Jeden z nich był co prawda dorosły, ten drugi zaś w końcu znowu stał się dzieckiem, nikiem innym, po prostu dzieckiem.



lesiojot